

Emma Chase

ZAKOCHAĆ SIĘ JEST ŁATWO.
TRUDNIEJ WYTRWAĆ W MIŁOŚCI.

Zakrećeni



seria
Tangled

Emma Chase

Zakrećeni seria *Tangled*

Przełożyła
Katarzyna Agnieszka Dyrek

FILIA

*Łatwo się zakochać
trudniej wytrwać w miłości*

*Dedykuję tę książkę wszystkim,
którzy w miłości wytrwali*

PROLOG

Kobiety stąpają po cienkim lodzie.

Cnotki.

Dziwki.

Złoźnice.

Ciche myszki.

Definiowanie, kim jesteście dla świata, to nieustanne balansowanie. To wyczerpujące. Niektóre kobiety znają jednak sposób na chwilową ucieczkę od rzeczywistości. Mają wymówkę, która pozwala im powiedzieć, co tak naprawdę myślą, wybaczyć, choć dobrze wiedzą, że nie powinny, i która popycha je do oddania się tym wszystkim małym, perwersyjnym fantazjom – bez rumieńca na twarzy.

To alkohol.

Może dodać odwagi, by poświntuszyć w rozmowie i wrócić do domu z barmanem. Może zapewnić alibi. Historię, dzięki której kryjesz własny tyłek.

Przecież nie wy to zrobiłyście – byłyście zamroczone rumem Captain Morgan czy wódką Grey Goose.

Niestety, jestem w stanie wlać w siebie sporo alkoholu.

Przerąbane.

Przez te wszystkie lata, Billy'emu nie udało się upić mnie do nieprzytomności. Ani razu. Może dlatego, że miałam już praktykę w piciu. A może taka się już urodziłam.

Tak czy inaczej, trzeba sporo, by zaczęło szumieć mi w głowie, a jeszcze więcej, by mnie upić.

To właśnie dlatego kiedyś wolałam trawkę.

Była dużo bardziej efektywna.

Tak, dobrze słyszałyście – Kate Brooks, nadzwyczajny palacz zioła. Mogłabym się zaprzyjaźnić z gwiazdami rocka. Trawka dodała mi odwagi i pod jej wpływem machnęłam sobie tatuaż. Niestety to już przeszłość. Gdy zaczęłam studiować finanse, zdałam sobie sprawę, że cena, jaką mogę zapłacić za przyłapanie z nielegalnymi substancjami odurzającymi, jest bardzo wysoka.

Zatem teraz truję się wyłącznie legalnymi środkami. Głównie winem.

Pijemy je z Drew co wieczór, by się zrelaksować. A raz w tygodniu mamy wieczór specjalny – coś jak randkę. Wspólnie gotujemy. Drew jest wielkim fanem kuchni meksykańskiej.

Pijemy wtedy, jemy, rozmawiamy, po czym znów pijemy.

Dzisiaj wypiliśmy nieco więcej niż normalnie. Zatem, nawet jeśli nie jestem pijana w powszechnym rozumieniu tego słowa, mam miękkie kolana. Czuję się zrelaksowana. Brak mi zahamowań.

Zaciekawiałam was?

Świetnie.

Moje drogie, otwórzcie okna – zaczyna się robić gorąco.



Jesteśmy w łóżku.

Leżę na plecach. Drew znajduje się pomiędzy moimi nogami. Cóż, przynajmniej jego twarz.

– Uwielbiam twoją cipkę.

Jęczę, kiedy potwierdza to mokrym, skutecznym i gorliwym działaniem. Jest w tym dobry.

– Mógłbym tu, cholera, zamieszkać.

Przyspiesza i nim zdążyłybyście powiedzieć „wychłostaj mnie szpicrutą”, ciągnę go za włosy i wykrzykuję jego imię.

Kilka chwil później uśmiechnięty i dumny Drew wczołguje się na mnie i przygniata swoim ciężarem. Opadłam z sił za sprawą wypitego wina

oraz, oczywiście, orgazmu. Wszystko wokół jest rozmazane, zasnute mgłą przyjemności, co sprawia, że czuję się jak we śnie.



Całujemy się, a żar rozchodzący się po moim ciele niczym prąd na powrót mnie ożywia. Sprawia, że znów czuję się przytomnie.

Ośmielona alkoholem, odsuwam usta od jego warg i szepczę:

– Drew... Drew, chciałabym czegoś spróbować.

To przyciąga jego uwagę.

– Czego chcesz spróbować? – Przeciąga językiem po moim sutku.

Uśmiecham się i przygryzam wargę.

– Czegoś nowego.

Unosi głowę i patrzy na mnie spod na wpół przymkniętych powiek.

– Lubię nowe rzeczy.

Śmiejąc się, spycham go z siebie, wstaję i podchodzę do komody – po drodze wpadając na szafkę nocną.

– Przepraszam.

Otwieram górną szufladę i wyciągam dwie pary

kajdanek. Delores dostała takie na poślubnym wieczorze panieńskim, ale to nie była dla niej nowość.

Nie pytajcie.

Obracam nimi na palcu. Mój seksowny powrót do łóżka zostaje zniweczony potknięciem się w dziesięciocentymetrowych szpilkach, co sprawia, że chichoczę.

Drew klęka na łóżku. W jego oczach dostrzegam pożądanie. Wygląda jak wygłodniały lew przyglądający się soczystemu stekowi, który znajduje się poza jego zasięgiem. Wyciąga rękę, by wyrwać mi kajdanki, ale go odpycham.

– Kładź się na plecy, chłoptasiu.

Wiem, co myśli. Też go słyszycie, prawda?

Mmm... Kate chce zrobić małe show. Ciekawe.

Układa się na plecach i unosi dłonie do słupków zagłówka. Łapię go za nadgarstki i mocuję metal. *Klik. Klik.*

Szarpie, obiema rękami, testując zapięcie, kiedy siadam na piętach obok niego, wzrokiem omiatając unoszącą się i opadającą klatkę piersiową. Nagi ideał – ciało Drew Evansa.

Piękny.

– Planujesz coś zrobić? Czy chcesz się tak tylko przyglądać całą noc?

Patrzę mu w oczy. Jego spojrzenie zachęca,

wyzywa mnie, bym zaczęła, cokolwiek planuję.

Och, dam radę. Nawet w to nie wątpcie.

Z dumą unoszę podbródek i układam dłonie między jego udami. Powoli masuję jego mosznę. Przesuwam dłonią po twardym już fiucie, po czym łapię go mocno – tak jak lubi – a potem kilka razy pocieram w górę i w dół.

Pierś Drew zaczyna szybciej unosić się i opadać.

Rzeczywiście interesujące.

I zanim zapytacie, odpowiem: nie, nie zawsze kręciło mnie coś takiego. To wyzwanie. Śmiałe posunięcie.

Moje stosunki z Billym bywały dwojaki: wstydlive lub prozaiczne. Niepewne lub rutynowe. I takie zostały do końca. Dopiero przy Drew zdałam sobie sprawę, jak bardzo się z Billym ograniczaliśmy.

W seksie i w życiu.

Dla siebie zawsze pozostaniemy Katie i Billym, niedojrzałymi, zależnymi dzieciakami. Wiecznie młodymi, jak w filmie *Źródło młodości*.

W pewnym momencie w moje życie wkroczył Drew Evans, otwarty i wymagający, i uwolnił namiętą kobietę, która rozwijała się we mnie od lat. Stałam się wyzwolona. Przynajmniej w łóżku. W jego łóżku.

Wypinając tyłek, pochylam się ku Drew i biorę

go w usta. Ten kontakt sprawia, że się wzdryga. Alkohol musiał znieczulić mnie na tyle, że nie mam odruchu wymiotnego, wkładając go sobie całego do gardła.

I robię to. Cztery, pięć, sześć razy. Po czym patrzę Drew w oczy. Robienie loda? Faceci uwielbiają kontakt wzrokowy. Nie pytajcie dlaczego – nie mam pojęcia.

– Drew, podoba ci się, jak ssę twojego fiuta?

Lubi też świntuszyć. Właściwie niewiele jest rzeczy, których Drew nie lubi.

Oczy uciekają mu w tył.

– Cholera, tak.

Biorę się więc do roboty, dołączając do tego język.

Drew coraz szybciej oddycha, a dysząc, mówi:

– Boże, kochanie, jesteś najlepsza. Mogłabyś udzielać lekcji.

Ha – jasne! *Sto jeden porad, jak lizać fiuta.*

Po dwóch latach jestem ekspertką w odczytywaniu mowy ciała Drew. Zatem, gdy zaczyna unosić biodra i zaciskać w powietrzu dłonie, wiem, że jest blisko spełnienia. Jego głębokie jęki sprawiają, że niemal porzucam swój plan.

Decyduję się jednak kontynuować.

Na kilka sekund, zanim Drew osiągnie orgazm,

odsuwam się. I siadam.

Drew, zaciskając mocno powieki, czeka na wybuch, który wcale nie nadchodzi.

Po chwili, zdezorientowany, otwiera oczy.

Uśmiecham się, wiedząc, że mam nad nim władzę.

Czuję się trochę jak dziwka.

Ziewam przeciągle.

– Wiesz, przez to wino naprawdę opadłam z sił. Jestem zmęczona.

– Co... co? – jęczy.

– Chyba muszę odsapnąć. Nie masz nic przeciwko, prawda?

Drew warczy:

– Kate...

Siadam na nim okrakiem, pozwalając, by jego męskość znajdowała się między moimi udami, lecz nie dając mu wejść.

– I chce mi się pić. Idę po wodę. Też chcesz?

– Kate, to nie jest śmieszne.

Oho, wkurzył się.

To straszne.

Przesuwam palcem po jego piersi.

– A ktoś się śmieje?

Szarpie kajdankami – tym razem mocniej. Kiedy nie daje rady się oswobodzić, chichoczę. Kto by przypuszczał, że drażnienie lwa może być takie

zabawne?

– Spokojnie, Drew. Poleż sobie tutaj, a ja zaraz wrócę... – Wzruszam ramionami. – Kiedyś.

Pospiesznie całuję go w nos, wyskakuję z łóżka i wybiegam z pokoju, gdy krzyczy za mną.

Nie patrzcie tak na mnie; postanowiłam się z nim podroczyć. Dobrze wiecie, że na to zasługuje. Przecież nie dzieje mu się żadna krzywda, prawda?



Dumna z siebie, przechodzę korytarzem do kuchni. Gdy wchodzę na zimne płytki, dostaję gęsiej skórki. Naprawdę chce mi się pić, więc wyjmuję szklankę z szafki i nalewam zimnej wody.

Stojąc przy zlewie, biorę duży łyk i zamykam oczy, gdy chłodna ciecz spływa po moim wyschniętym gardle. Kropelka wody spływa mi z policzka na obojczyk, a później na biust.

Bez ostrzeżenia do moich pleców przywiera twarda pierś, kompletnie mnie zaskakując. Piszczę i upuszczam szklankę, która rozbija się w zlewie.

Nie wiem, jak się uwolnić, ale kajdanki zwisają mu z nadgarstków. Duże ręce oplatają mnie, nie pozwalając się ruszyć.

Drzę, gdy uwodzicielski oddech owiewa moje ucho.

– To nie było miłe, Kate. Dlatego ja też mogę być niemiły – mówi cicho. W jego głosie nie słyhać złości, lecz stanowczość. To bardzo podniecające.

Łapie mnie za włosy i ciągnie, przez co, wyginając plecy w łuk, przyciskam biodra do zlewu. Szarpnięciem odchyła mi głowę na bok i całuje – zatapiając w moich ustach język, za którym nie mogę nadażyć. Pocałunek jest zaborczy. To walka o dominację.

Chwilę później Drew wchodzi we mnie i zaczyna się poruszać, podbrzuszem uderzając o mój tyłek. To ekscytujące. Jęczę, gdy zlew wbija mi się w brzuch, jednak niebył mnie to obchodzi. Skupiam się wyłącznie na Drew, który mnie kontroluje, posiada, ujeżdża.

Chwyta mnie za rękę i nasze splecione dłonie łądają między moimi nogami. Naciskając na moje palce, zmusza mnie, bym sprawiała sobie przyjemność. Facetów kręci masturbacja. Zaczęłam rozumieć, że rozpala ich to, jak zapalka kanister benzyny.

W końcu puszcza moją dłoń, ale nie przestaję

poruszać palcami, jak tego sobie życzył. Jakbym była marionetką, a Drew lalkarzem.

Wtedy on się odsuwa, zabierając z moich pleców całe ciepło. Zwalnia tempo, po czym czuję, że przesuwa dłonią w dół mojego kręgosłupa. Zaczyna ścisnąć i ugniatać mi pośladki, później przesuwa palcem po delikatnej skórze między nimi.

Spinam się. To dla nas nowy ład. No przynajmniej dla mnie. Nie mam wątpliwości, że Drew był już w każdej kobiecej dziurce. Jednak dla mnie to coś nowego, więc troszkę się denerwuję.

Palcami wykonuje kilka delikatnych ruchów, aż się odprężam. Napięcie spływa z moich ramion i po raz kolejny daję się porwać intensywnej przyjemności, jakiej dostarczają mi jego biodra.

Wtedy wsuwa we mnie jeden palec.

To nie boli i nie jest nieprzyjemne. Podwójna penetracja jest jak skok ze spadochronem. By ją docenić, trzeba spróbować. Tak naprawdę nie da się tego opisać.

Chociaż spróbuję: jest zachwycająca. W zakazany, niegrzeczny sposób.

Drew powoli, w rytm pchnięć penisa, zaczyna poruszać palcem.

Ucieka mi długi, głęboki, nieskrępowany jęk.

Szybciej i mocniej stymuluję lechtaczkę. Po czym dostaję zadyszki, gdy Drew rozciąga mnie nieco, robiąc miejsce na drugi palec.

Jego ruchy są niespieszną, dręczącą torturą, z powodu której mam ochotę otworzyć usta i błagać o więcej.

Więcej żaru, więcej tarcia.

Szybciej, więcej, proszę.

Drew delikatnie popycha mnie w przód. Pochylam się, moje włosy rozsypują się na dnie zlewu. I wtedy całkowicie ze mnie wychodzi – znika z mojego ciała.

Czuję ból z powodu tej straty.

Aż czuję, że mokra od moich soków główka penisa ociera się o otwór, który rozszerzył palcami.

– Drew... – zawodzę z przyjemności i jednocześnie z bólu. Jednak wszystko to jest rozkosznie przyjemne.

– Zgódź się, Kate. Jezu Chryste... proszę, zgódź się. – Jego głos jest ochrypliwy z pożądania. Drew mnie pragnie, więc nagle czuję, że mam nad nim władzę. Dziwne, biorąc pod uwagę naszą obecną pozycję, ale jednak to ja tu rządzę.

Równie dobrze może klęczeć u moich stóp, czekając, aż się zgodzę.

Nie myślę o tym. Nie rozważam możliwości czy

ewentualnych konsekwencji. Czuję jedynie entuzjazm z powodu odkrycia tej sensacji. I poddaję się. Ufam mu.

– Tak...

Bardzo wolno Drew we mnie wchodzi. Przez chwilę czuję ból – pieczenie przy rozciąganiu – więc biorę gwałtowny wdech. Drew zatrzymuje się, aż wypuszczam powietrze. Po czym wchodzi we mnie całkowicie i się nie rusza. Przez chwilę pozwala mojemu ciału przyzwyczać się do tego odczucia.

Przesuwa dłoń po moim biodrze, po czym wsuwa mi ją między uda. Wślizguje się pod moją dłoń i zaczyna poruszać palcami wkoło. Robi to wspaniale, zmysłowo, następnie wkłada je do środka, po czym wyciąga je i znów wsuwa, i tak w nieskończoność.

Zawsze uważałam seks analny za ostateczny pokaz dominacji. Coś, co wymaga użycia siły. Może nawet coś upokarzającego.

Jednak wcale tak tego nie odczuwam.

To pierwotne... niezbadane... ale też piękne doświadczenie. Uświęcone.

Jakbym oddała mu dziewictwo. I chyba w jakimś stopniu tak się właśnie stało.

Pierwsza się poruszam, przyciskając do niego pośladki. Dając Drew przyzwolenie – chcąc

poznać, doświadczyć tego nowego doznania. Chcąc przekroczyć ostateczną granicę. Z nim.

To bardziej niż erotyczne. Bardziej niż intymne.

Drew przyciska usta do moich pleców, całując, przeklinając i szepcząc moje imię. I wtedy to on zaczyna się poruszać. Znów przejmuje kontrolę. Wślizguje się tam i z powrotem – czule, ale w równym rytmie.

Czuję się bosko.

Przyciskam jego palce znajdujące się na mojej łechtaczce. Zaczynają drżeć mi nogi i wiem, że jestem blisko. Bardzo blisko. Jakbym wspinała się po ostrym zboczu i wiedziała, że szczyt znajduje się zaledwie kilka kroków dalej.

Oddychamy głęboko przez rozchylone usta za każdym razem, gdy Drew porusza biodrami.

– Tak... tak... tak...

Orgazmy mężczyzn są w dziewięćdziesięciu procentach fizyczne. Łatwo im je osiągnąć, bez względu na to, gdzie krążą akurat ich myśli. Kobiety mają trudniej. Nasze orgazmy w głównej mierze zależą od naszej psychiki. Oznacza to, że jeżeli chcemy je osiągnąć, podczas seksu nie możemy myśleć o praniu czekającym w łazience czy o papierach leżących na biurku.

Właśnie dlatego to nie dłoń ani penis doprowadza mnie do spełnienia.

To głos Drew.

Przyciskając czoło do mojej łopatki, mówi:

– O Boże... o Boże... o Boże... – To takie do niego niepodobne. Brzmi jakby całkowicie się odsłonił. Obnażył psychicznie. Był wrażliwy.

Ten irytujący mężczyzna, który zawsze chce panować nad sytuacją, sam podejmuje decyzje, który nie wykonuje żadnego ruchu, nie badając uprzednio drobiazgowo problemu, przerzucając w swym niezwykłym umyśle różne scenariusze, rozważając za i przeciw – stojąc za mną, dosłownie się rozpada.

A kiedy na zmianę szepcze przekleństwa i modlitwy – spadam z krawędzi.

W czystą ekstazę.

Odchyłam głowę w tył i zamykam oczy. Pod powiekami widzę gwiazdy, gdy ściskają mi się mięśnie i krzyk ucieka mi z gardła, a oszołomienie zastępuje fala rozkoszy.

Ruchy Drew stają się nierówne i pospieszne, jakby tracił rytm i kontrolę.

Chwilę później przyciąga do siebie moje biodra i trzyma je mocno, a długi, gardłowy jęk wydostaje się z jego ust.

Potem nabieramy powietrze, nadal połączeni i drżący. Wychodząc ze mnie, trzyma mnie za ramiona.

Odwraca mnie do siebie. Obejmuje moją twarz i całuje w usta. To słodki, czuły i tkliwy pocałunek. Wyraźnie kontrastujący z gwałtownym aktem przed chwilą.

Nie wiem dlaczego, ale moje oczy wypełniają się łzami.

Na twarzy Drew natychmiast maluje się niepokój.

– Dobrze się czujesz? Skrzywdziłem cię?

Uśmiecham się przez łzy, które są wyrazem szczęścia. Nigdy nie czułam się tak z nim związana.

– Nie. Cudownie się czuję. Możesz w każdej chwili być dla mnie niemiły.

Wtedy Drew też się uśmiecha. Widzę na jego twarzy ulgę i zadowolenie.

– Przyjąłem do wiadomości.

Bierze mnie w ramiona i zanosí pod prysznic. Stoimy pod ciepłym strumieniem i z czułością myjemy się nawzajem, po czym Drew owija mnie w gruby, ciepły ręcznik i zanosí do łóżka. Okrywa nas kołdrą i tuli mnie mocno, przez co czuję się ważna. Zawsze sprawia, że tak to odbieram. Jakby mnie cenił, szanował, uwielbiał.

Czy byłam obolała następnego dnia? Troszkę. Ale nie było tak źle.

Za dużo informacji? Przepraszam, chciałam

pomóc. W każdym razie chodzi mi o to, że ból o poranku wart był swojej przyczyny.

Pytacie, do czego właściwie zmierzam? Dlaczego opowiadam wam o tym wszystkim? Nie chodzi tu o dobry seks. O bardzo, bardzo dobry seks, do którego nie potrzeba alkoholu. Nie chodzi też o dopasowanie, praktykę, a nawet o miłość.

Chodzi o zaufanie.

O oddanie się innej osobie i pozwolenie, by zaprowadziła was na zupełnie nowe lądy. A ja ufałam Drew. Ufałam umysłem, ciałem i sercem. Zawierzyłam mu bez reszty.

Przynajmniej wtedy.



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Gdy chodziłam do szkoły, moim ulubionym przedmiotem była biologia. Najbardziej fascynowało mnie zagadnienie przeobrażania się organizmów w zupełnie nowe postaci. Jak kijanki w żabę. Lub larwy w motyla.

Zaczynają jako takie stworzenie, a kończą jako zupełnie inne. Zmieniają się nie do poznania.

Każdy, patrząc na motyla, myśli, jaki piękny. Jednak nikt nie zdaje sobie sprawy, przez co musiał przejść, by stać tym, czym jest. Kiedy gąsienica buduje kokon, nie wie, co się dzieje. Nie rozumie nadchodzącej przemiany.

Myśli, że umiera. Wydaje jej się, że świat się kończy.

Metamorfoza jest bolesna. Przerazająca, niezbadana. Dopiero po przemianie gąsieniczka zdaje sobie sprawę, że było warto.

Ponieważ teraz może latać.

Właśnie tak się teraz czuję. Silniejsza niż byłam dotychczas.

Myślicie, że wcześniej byłam twarda?

Głuptasy. Niektóre moje zachowania były

brawurą. Inne fasadą.

Radzenie sobie z Drew Evansem jest jak pływanie na jednej z tych zdradzieckich fal tuż przy plaży. Jest przytłaczająca. Mimo że ze wszystkich sił człowiek próbuje za nią nadażyć, ona i tak go stłamsi, pozostawiając za sobą z ustami pełnymi piasku.

Zatem musiałam udawać twardzielkę.

Ale nie muszę już dłużej udawać, ponieważ teraz jestem jak granit. Nieprzenikniona. Całkowicie.

Zapytajcie kogokolwiek, kto przeżył mocne trzęsienie ziemi lub pożar domu, który zabiera wszystko, co istotne. Nieoczekiwana katastrofa zmienia.

Oplakuję swoje dawne ja. Swoje stare życie. To, które planowałam dzielić z Drew na zawsze.

Jestem taka zdezorientowana. Przepraszam – zacznijmy raz jeszcze.

Widzicie tę kobietę? Siedzącą na huśtawce na pustym placu zabaw?

To ja – Kate Brooks.

Właściwie nie do końca. Przynajmniej nie ta Kate Brooks, którą pamiętacie. Jak już mówiłam – teraz jestem inna.

Pewnie zastanawiacie się, dlaczego tu jestem, dlaczego wróciłam do Greenville w Ohio, i to sama. Ściśle rzecz biorąc, nie jestem sama. Ale do

tego jeszcze dojdziemy.

Powód mojego pobytu w Greenville jest prosty. Nie mogłam znieść Nowego Jorku. Ani jednego dnia dłużej. Nie po tym wszystkim.

A Drew?

Został tam. Prawdopodobnie walczy z niekończącym się kacem. A może nadal jest pijany. Kto to może wiedzieć? Nie skupiajmy się na nim za bardzo. Ma atrakcyjną striptizerkę, która się nim zajmuje.

Tak, powiedziałam: striptizerkę. Przynajmniej mam nadzieję, że to striptizerka. Równie dobrze mogłaby być prostytutką.

Myślałyście, że pogalopujemy z Drew w kierunku zachodzącego słońca? Że będziemy żyli długo i szczęśliwie? Witajcie w klubie. Najwyraźniej bajka może trwać najdłużej dwa lata.

Nie sprawdzajcie tytułu książki. To właściwa opowieść. To nadal historia Drew i Kate. Tylko odwrócona. Zakręcona. *Witaj w Krainie Oz, Toto. To strasznie popieprzone miejsce.*

No co? Myślicie, że mówię jak Drew? Tak właśnie twierdzi Delores – że zaraził mnie swoją niewyparzoną gębą. Nazywa to mowa-Drew. Najwyraźniej po dwóch latach zdążyłam ją przejąć.

Ale widzę, że zastanawiacie się, co takiego się stało. Słyszę, jak mówicie: „Byliście tacy zakochani”, „Byliście dla siebie stworzeni”. Proście, bym opowiedziała, co się zmieniło. Albo jeszcze lepiej – o striptizerce.

W każdy razie – możecie wierzyć lub nie – problemem nie była inna kobieta. Przynajmniej nie na początku. Drew nie ściemniał, gdy mówił, że pragnie tylko mnie. Bo pragnął. I nadal tak jest.

Tyle, że teraz nie chce nas.

Nadal nie rozumiecie? Pewnie dlatego, że nie opowiadam tego jak należy. Powinnam zacząć od początku. Widzicie, w zeszłym tygodniu dowiedziałam się...

Nie, czekajcie. Tak też się nie uda. Jeśli macie zrozumieć moją sytuację, muszę cofnąć się jeszcze dalej.

Nasz koniec zaczął się jakiś miesiąc temu. Rozpocznę od tej chwili.



Pięć tygodni wcześniej

– Cholera jasna, wygląda na to, że mamy

umowę!

Kim jest facet w kowbojskim kapeluszu, siedzący naprzeciwko mnie w sali konferencyjnej i podpisujący stos dokumentów? To Jackson Howard senior. A młodsza wersja w czarnym kapeluszu siedząca obok niego? To Jack junior. Są farmerami, hodowcami bydła. Właścicielami największego ranczo w Ameryce Północnej i właśnie kupili najbardziej zaawansowaną technologię śledzenia GPS w kraju. Pewnie zadajecie sobie pytanie, dlaczego dwaj bogaci biznesmeni przemierzają całe Stany, by rozwijać swoje imperium?

Ponieważ chcą być najlepsi, pracować z najlepszymi. A tu najlepsza jestem ja.

Chociaż może powinnam powiedzieć „my”.

Drew odbiera od niego podpisaną umowę.

– Jasne, Jack. Na twoim miejscu zacząłbym szukać jachtu nadającego się do podróży służbowych. Kiedy wpłyną zyski, twój księgowy zechce odpisać od podatku coś naprawdę dużego.

Kate i Drew.

Drużyna marzeń spółki Evans, Reinhart i Fisher.

John Evans, ojciec Drew z pewnością wiedział, co robi, kiedy polecił nam razem pracować. Uwielbia o tym przypominać. Twierdzi, że wiedział, iż

będziemy niepokonanym zespołem – no chyba że sami się pozabijamy. Najwyraźniej jednak John gotów był zaryzykować. Oczywiście nie wiedział, że wszystko między nami skończy się w taki sposób, ale... i tak na nas postawił. Widzicie, po kim Drew ma charakter, prawda?

Wchodzi Erin z płaszczami naszych klientów. Patrzy na Drew i stuka palcami w zegarek. Drew dyskretnie kiwa głową.

– Chodźmy to uczcić, zabawić się za wszystkie czasy! Zobaczymy, czy wy, miastowi, dotrzymacie kroku komuś takiemu jak ja – mówi Jackson Howard. Nawet jeśli dobiega siedemdziesiątki, ma energię dwudziestolatka. Podejrzewam, że ma też w zanadrzu więcej niż jedną historyjkę o ujeżdżaniu byka.

Otwieram usta, by przystać na jego propozycję, ale Drew mi przerywa:

– Z przyjemnością Jack, ale niestety mamy z Kate zaplanowane spotkanie. Na dole czeka samochód, który obwiezie was po najlepszych lokalach w mieście. Bawcie się dobrze i oczywiście transport macie na nasz koszt.

Wstają, a Jack uchyla kapelusza.

– Cholernie miło z twojej strony, synu.

– Proszę bardzo.

Idą do drzwi, ale Jack junior odwraca się do

mnie i podaje mi wizytówkę.

– Naprawdę dobrze mi się z panią pracowało, pani Brooks. Gdyby zawitała pani w nasze strony, z chęcią bym panią oprowadził. Mam przecucie, że Teksas by się pani spodobał. Być może nawet zdecydowałyby się pani zapuścić tam korzenie.

Tak, zdecydowanie na mnie leci. Pewnie myślicie, że to kiepski podryw. Jeszcze dwa lata temu sama bym tak pomyślała. Jednak Drew powiedział mi wtedy, że to się często zdarza. Biznesmeni tacy właśnie są, zarozumiali i obślizgli. Tak jakby musieli tacy być.

Właśnie dlatego ta branża jest na trzecim miejscu w statystykach dotyczących niewierności. Wyprzedzają ją tylko zawodowi kierowcy i policjanci. Długie godziny pracy, częste podróże, zdrada staje się niemal nieunikniona. A właściwie to jest przesądzona.

Tak właśnie zaczął się mój związek z Drew, pamiętacie?

Jednak Jack junior nie jest typowym koleśkiem, który się do mnie zaleca. Wydaje się szczery. Słodki. Zatem w ramach uprzejmości, wyciągam rękę, by przyjąć jego wizytówkę, i się uśmiecham.

Jednak Drew jest szybszy.

– Z przyjemnością skorzystamy z zaproszenia. Wprawdzie nie mamy wiele interesów na

południu, ale kiedy następnym razem coś nas tam zagna, obiecujemy, że się odezwiemy. – Stara się brzmieć profesjonalnie, nie zdradzać emocji. Jednak mówi to przez zaciśnięte zęby. Pewnie, że się uśmiecha, ale widziałyście kiedyś *Władcę pierścieni*? Gollum też się uśmiechał. Tuż przed ugryzieniem gościa, który trzymał jego „ssskarb”.

Drew jest zaborczy. Taki jest, i już. Matthew opowiedział mi kiedyś pewną historyjkę. Pierwszego dnia, gdy miał iść do przedszkola, mama kupiła mu pudełko na kanapki. Z Yodą. Kiedy się bawili, Drew nie wypuszczał z rąk tego pudełka, ponieważ obawiał się, że ktoś może mu je zabrać. Lub zniszczyć. Musiał upłynąć tydzień, zanim Matthew przekonał go, że nic takiego się nie stanie – albo że wybiją zęby każdemu, kto spróbuje.

W takich chwilach dokładnie wiem, jak czuło się tamto pudełko.

Uśmiecham się serdecznie do Jacka juniora, a ten uchyla kapelusza. Po czym obaj z ojcem wychodzą.

Kiedy tylko drzwi się za nimi zamykają, Drew drze na kawałeczki wizytówkę.

– Palant.

Szturcham go w ramię.

– Przestań. Był miły.

Drew zerka na mnie spode łba.

– Naprawdę myślisz, że ukochane dziecko traktora i snopowiązałki było miłe? Serio? –
Stawia krok w moją stronę.

– Tak, serio.

Drew zaczyna mówić z południowym akcentem:

– Może powinienem kupić sobie ochraniacze na spodnie. I kowbojski kapelusz. – Po czym mówi już normalnie: – Albo jeszcze lepiej, tobie też kupię. Będę mógł być dzikim ogierem, a ty będziesz odważną kowbojką, która będzie mnie ujeżdżać.

Najśmieszniejsze jest to, że on wcale nie żartuje.

Kręcę głową i śmieję się.

– Co to za tajemnicze spotkanie, na które się wybieramy? Nie mamy przecież nic w kalendarzu.

Drew się szczerzy.

– Mamy być na lotnisku. – Wyciąga z kieszeni dwa bilety lotnicze. Pierwszej klasy. Do Cabo San Lucas – meksykańskiego kurortu.

Przyspiesza mi oddech.

– Cabo?

Oczy Drew błyszczą.

– Niespodzianka.

W ciągu dwóch ostatnich lat podróżowałam więcej niż przez całe życie – widziałam już kwitnące wiśnie w Japonii, krystalicznie czystą wodę w Portugalii... Wszystko, co Drew już

widział, wszystkie te miejsca, które wcześniej odwiedził. Miejsca, którymi chciał się ze mną podzielić.

Spoglądam uważniej na bilety i marszczę brwi.

– Drew, mamy odlot za trzy godziny. Nie zdążę się spakować.

Z garderoby wyciąga dwie walizki.

– Jak to dobrze, że mam tutaj te maleństwa.

Obejmuję go za szyję i ściskam.

– Jesteś najlepszym chłopakiem na świecie.

Uśmiecha się łobuzersko tym swoim uśmieszkiem, przez który jednocześnie ma się ochotę go pocałować i dać mu klapsa.

– Wiem.



Hotel jest oszałamiający. Taki widok z okien oglądałam tylko na pocztówkach. Mamy apartament na ostatnim piętrze. Jak Richard Gere w *Pretty Woman*, Drew wybiera wyłącznie wszystko co najlepsze.

Jest późno, gdy docieramy na miejsce, ale po drzemce w samolocie oboje mamy sporo energii. I jesteśmy głodni.

Ostatnio wszystkie linie lotnicze tną koszty, nawet w pierwszej klasie. Kanapki być może są darmowe, ale to wcale nie oznacza, że jadalne.

Drew idzie pod prysznic, a ja się rozpakowuję. Dlaczego nie bierzemy razem prysznic? Naprawdę muszę na to odpowiadać?

Rozkładałam walizki na łóżku i otwieram je. Większość mężczyzn patrzy na pustą walizkę jak na jakieś równanie fizyczne – mogą się tak gapić godzinami, lecz nadal nie mają cholernego pojęcia, co z tym fantem zrobić.

Jednak nie Drew.

On jest panem „Pomyślałem o Wszystkim”.

Spakował większość rzeczy, o których nie pomyślałby mężczyzna. Mam wszystko, czego potrzebuję, by mieć fajne i przyjemne wakacje. Prócz bielizny. W obu walizkach nie ma ani jednej pary majtek. I nie dlatego, że nie potrafię ich znaleźć.

Mój facet ma poważny uraz do majtek. Jeśli to od niego zależało – oboje cały czas chodzilibyśmy w stroju Adama i Ewy – oczywiście bez listków figowych.

Spakował mi jednak resztę potrzebnych rzeczy. Dezodorant, maszynkę do golenia, kosmetyki do makijażu, tabletki antykoncepcyjne, balsam do ciała, resztę antybiotyku na zapalenie ucha,

którego nabawiłam się w zeszłym tygodniu, krem pod oczy i tak dalej, i tak dalej.

Zatrzymajmy się na momencik przy lekach. Mam kilku klientów z branży farmaceutycznej. Te firmy mają specjalne działy, których zadaniem jest pisanie.

Pytacie: pisanie czego? Widziałyście ulotki o lekach, prawda? Te zawierające listę skutków ubocznych i proponowane działanie w przypadku ich wystąpienia? Te, gdzie przeważnie piszą: „może wywołać uczucie senności”, „nie ma wpływu na prowadzenie pojazdów”, „natychmiast skontaktuj się z lekarzem”, bla, bla, bla...

Większość z nas otwiera kartonowe pudełeczko, wyjmuje z niego tabletki i wywala resztę do kosza. Większość tak robi... chociaż nie powinniśmy. Nie będę was zanudzać. Powiem tylko: przeczytajcie ulotkę, nie pożałujecie.

A teraz wróćmy do Meksyku.

Drew wychodzi z łazienki z ręcznikiem owiniętym wokół bioder, co sprawia, że zapominam o rozpakowywaniu walizek. Wiecie, że niektórzy faceci lubią pogapić się na cycki, inni na tyłki i tak dalej, prawda? Kobiety mają tak samo. Ja też mam fetysz. Podobają mi się męskie przedramiona. Jest w nich coś... seksownego. Są bardzo, bardzo męskie.

Drew ma najładniejsze przedramiona, jakie w życiu widziałam. Pięknie ukształtowane i opalone. Nie są zbyt umięśnione i zbyt szczupłe, nie są też za bardzo owłosione.

Odwija ręcznik z bioder i zaczyna się wycierać. Jestem pewna, że się ślinię.

Chociaż, mimo wszystko, wolę patrzeć na tyłek.

– Wiesz, że niegrzecznie jest tak się gapić?

Unoszę wzrok.

Drew się uśmiecha, więc podchodzę do niego powoli – jak pantera zbliżająca się do ofiary.

– Teraz też?

Drew oblizuje usta.

– Zdecydowanie.

Kropla wody spływa mu po mostku. Też nagle jesteście spragnione, prawda?

– Cóż, nie chciałabym być nieuprzejma.

– Broń Boże.

W chwili, kiedy planuję pochylić się i zlizać tę kroplę, burczy mi w brzuchu. I to głośno.

Burrrrrr...

Drew się śmieje.

– Może powinienem cię najpierw nakarmić. Do tego, co planuję, będziesz potrzebowała energii.

Przygryzam wargę.

– Zaplanowałaś coś?

– Dla ciebie? Zawsze coś planuję. – Odwraca

mnie i klepie w tyłek. – A teraz wpakuj tę apetyczną pupcię pod prysznic, żebyśmy mogli wyjść. Im szybciej zjemy, tym szybciej będziemy mogli tu wrócić i pieprzyć się aż do świtu.

Tak naprawdę Drew nie chciał być taki wulgarny.

No dobra – macie rację – pewnie chciał.

Godzinę później idziemy na obiad. Drew zaskoczył mnie nową sukienką – białą, z koronką, bez ramiączek, z lamówką, która powiewa tuż nad kolanami.

Rozpuściłam pofalowane włosy, bo wiem, że to uwielbia.

Wracając do mojego chłopaka – nie mogę oderwać od niego oczu. Włożył beżowe spodnie i śnieżnobiałą koszulę, której rękawy podwinął, i nie dopiął kilku guzików przy szyi. Wygląda bosko.

Wchodzimy do restauracji.

Zawsze uważałam kulturę latynoską za interesującą. Muzykę, ludzi, ich energię, pasję, lekkość.

Wszystkie te słowa dokładnie opisują miejsce, w którym się znajdujemy. W restauracji panuje półmrok – jedyne światło płynie ze świec ustawionych na stolikach i migotliwych lampek na suficie. Pulsujący rytm dochodzi z narożnika

sali, gdzie gra zespół kilku muzyków.

Drew po hiszpańsku prosi o stół dla dwojga.

Tak – zna hiszpański. I francuski. Uczy się japońskiego. Myślałyście, że ma seksowny głos? Możecie mi zaufać, póki nie usłyszycie, jak szepcze sprośności w innym języku, nie będziecie wiedzieć, co to znaczy seksowny głos.

Idziemy za czarnowłosą krępa kelnerką.

Rozejrzyjcie się. Widzicie, jak spoglądają na Drew kobiety, gdy tylko przekroczył próg restauracji? Jak taksują go wzrokiem, jak wyzywająco na niego patrzą?

Zawsze to zauważam.

Jednak Drew nigdy. Ponieważ na nie patrzy. Nie poświęca im żadnej uwagi.

Jeśli faceci myślą, że gapienie się na inną kobietę nie boli, są w błędzie. Kobiety nie odbierają tego jako delektowania się widokiem. Myślą, że mężczyzna je porównuje i zaraz wytknie im ich wady. A to boli. Jak zacięcie kartką papieru w oko.

Wiem, że Drew, gdyby chciał, mógłby mieć każdą kobietę – modelkę z Beverly Hills, dziedziczkę fortuny z Park Avenue. Jednak wybrał mnie. Walczył o mnie. Kiedy wychodzimy gdzieś razem, Drew bardzo podbudowuje moją pewność siebie. Ponieważ jestem jedyną kobietą, na którą

spogląda.

Siadamy i przeglądamy menu.

– Proszę, wytłumacz mi raz jeszcze, jakim cudem udało ci się ukończyć studia i nie nauczyć się prawidłowo pić tequili?

Śmieję się.

– W liceum urządzaliśmy ogniska. – Spałyście kiedyś z głową opartą na pustej butelce po wodzie mineralnej zamiast poduszki? To wcale nie jest fajne. – Pewnego razu chłopaki pili tequilę i Billy połknął robaka. Miał halucynacje. Tego samego dnia w szkole na biologii uczyliśmy się anatomii płazów i Billy’emu wydawało się, że jest żabą i że Delores próbuje zrobić mu sekcję. Uciekł do lasu i trzy godziny zajęło nam, zanim go znaleźliśmy z językiem w kałuży. Od tamtego czasu unikałam tequili.

Drew kręci głową.

– To tylko potwierdza, co już wiedziałem. Billy Warren jest i zawsze był kompletnym debilem.

Jestem przyzwyczajona do wyzwisk Drew pod adresem Billy’ego. A w tym konkretnym przypadku wcale nie mija się z prawdą.

Mówię więc tylko:

– Jeśli nie każesz mi połknąć robaka, mogę spróbować.

Jego spojrzenie promienieje, wygląda jak

dzieciak z sklepie rowerowym.

– Wiesz, co to oznacza?

– Co?

Porusza zabawnie brwiami.

– Nauczę cię, jak się pije tequilę prosto z ciała.



Chociaż nie wierzę, że trzeba być pijanym, by uprawiać dobry seks, to szum w głowie bynajmniej mi nie przeszkadza. Jedziemy z Drew windą do naszego pokoju, oboje jesteśmy podchmieleni tequilą. Wyczuwam ją w ustach Drew – to goryczka z odrobiną cytryny. Przycisnął mnie do ściany, zadarł mi sukienkę i zaczął się o mnie ocierać.

Cieszę się, że nikt z nami nie jedzie tą windą, chociaż w tej chwili nie sądzę, by mi to przeszkadzało.

Wpadamy do pokoju, nadal się obmacując i całując.

Drew trzaska drzwiami i mnie obraca. Jednym płynnym ruchem zdejmuje mi sukienkę, pozostawiając wyłącznie w szpilkach.

Pochyliam się nad stołem, opierając na łokciach.

Słyszę dźwięk zamka błyskawicznego, po chwili czuję Drew. Wodzi główką penisa po moich fałdkach, sprawdzając, czy jestem wilgotna, upewniając się, że jestem gotowa.

Dla niego zawsze jestem.

– Nie drocz się ze mną – jęczę.

W windzie naprawdę się nakręciłam. Potrzebuję go, i to teraz.

Wchodzi we mnie powoli, ale do końca. Wzdycham.

Wszystkie wiemy, że duże jest lepsze. A Drew jest duży. Nie to, żebym miała materiał do porównań, ale jest dwa razy większy niż Billy.

Przepraszam, jeśli w tej chwili uraziłam jakiegoś faceta. Pewnie nie wiedzą, że kobiety rozmawiają o takich sprawach. Przynajmniej wtedy, kiedy nie ma ich między nami.

Chociaż to nie rozmiar się liczy. To rytm – tempo – wiedza, jak trafić w te wszystkie czułe punkty z odpowiednim naciskiem. Zatem zamiast wydawać kasę na jakieś cudowne pompki do penisa lub tabletki na jego wzrost, kupcie swoich facetom *Kamasutrę*.

Drew chwyta mnie za włosy, odciąga mi głowę do tyłu i zaczyna szybciej się we mnie poruszać. Mocno i spiesznie. Przytrzymuję się blatu, chcąc zachować równowagę.

Całuje mnie w ramię i szepcze do ucha:

– Lubisz to, skarbie?

Jęczę:

– Tak... tak... bardzo.

Wpycha się we mnie z tak wielką siłą, że przesuwa stół. Właśnie wtedy osiągam niesamowicie intensywny szczyt. Odpływam. Znajduję się w stanie nieważkości. Dryfuję.

Drew zwalnia, przyciągając mnie do swojej piersi, dłońmi wodząc po moim brzuchu, obejmując piersi i ściskając je.

Unoszę ręce, by złapać go za szyję, obracam głowę i całuję go w usta. Uwielbiam go całować, kocham jego wargi, jego język. Całowanie jest sztuką, a Drew Evans jest w nim Michałem Aniołem.

Wychodzi ze mnie, po czym odwracam się do niego przodem i popycham go w stronę łóżka. Drew układa się na jego skraju, więc siadam na nim okrakiem.

Boże, tak.

To moja ulubiona pozycja – pierś przy piersi, usta przy ustach, między nami żadnej wolnej przestrzeni. Przytrzymując go ręką, opuszczam się na niego. Słyszę, że wchodząc we mnie, Drew jęczy z zachwytu. Powoli unoszę biodra i szybko je opuszczam.

Sprężyny łóżka zaczynają popiskiwać.

Kwik.

Kwik.

Poruszam się szybciej. Mocniej. Nasze ciała robią się śliskie od potu z powodu meksykańskiego żaru.

Drew obejmuje moją twarz, kciukiem gładząc po skórze. Jest taki czuły. Dosłownie mnie wielbi.

Opieram czoło na jego czole i widzę, że patrzy w dół, w słabym świetle obserwując, jak się na nim poruszam. Zatem też się na tym skupiam.

To bardzo erotyczne. Zmysłowe.

Odgarniam mu włosy z czoła i proszę:

– Powiedz, że mnie kochasz.

Nie mówi tego często. Woli mi to okazywać. Jednak nigdy mi się nie znudzi słuchanie tego, ponieważ za każdym razem, gdy wypowiada te słowa, przepelnia mnie ten sam zachwyty, co za pierwszym razem.

– Kocham cię, Kate.

Nadal obejmuje moją twarz. Poruszamy się szybciej, ostrzej. To nie tylko fizyczne doznanie. To niemal przeżycie duchowe.

Drew brak tchu, gdy szepcze:

– Powiedz, że nigdy ode mnie nie odejdiesz.

Jego spojrzenie jest miękkie, niczym płynne srebro, gdy błaga o pocieszenie. Przy całej swej

zuchwałości i nadmiernej pewności siebie myślę, że w głębi nadal prześladują go dni, kiedy myślałam, że wróciłam do Billy'ego. Pewnie właśnie dlatego tak bardzo stara się dowieść, że mnie pragnie. Żeby udowodnić mi, że w końcu dobrze wybrałam.

Uśmiecham się delikatnie i patrzę mu prosto w oczy.

– Nigdy. Nigdy cię nie zostawię, Drew.

Słowa brzmią jak przyrzeczenie. Jak śluby.

Chwytając mnie za biodra, pomaga mi się unosić.

– Boże, Kate... – Zamyka oczy.

Otwieramy usta, mieszają się nasze oddechy.

Gdy zaciskam się wokół niego, pulsując, rozlewa się we mnie. Razem osiągamy spełnienie. W doskonałej harmonii. W idealnej jedności.

Drew tuli mnie mocno. Dotykam jego twarzy i całuję go delikatnie. Opada w tył na łóżko, ciągnąc mnie ze sobą, tak że kładę się na nim. Odpoczywamy tak przez chwilę, aż nasze serca uspokajają rytm, a nasze oddechy – tempo.

Drew obraca nas tak, że znajduje się teraz nade mną.

I zaczynamy zabawę od nowa.



ROZDZIAŁ DRUGI

Nowojorskie dyskoteki.

Muzyka dudni tak głośno, że można rozmawiać, wyłączając czytając z ruchu warg. Są tu spoceni lalusie, w przyciasnych, jedwabnych koszulach, którzy uważają, że samo oddychanie jest oznaką zainteresowania. Nieskończenie długie kolejki do barów, w których podawane są rozwodnione drinki. Właściwie nie lubię tych miejsc.

Wolę bary. Piwo w butelkach, szafy grające, stoły do bilardu – lubię grać i potrafię być rekinem.

Nie gardzę dobrą imprezą od czasu do czasu.

Co? Myślałyście, że trawka to jedyna rzecz, jaką się trułam? Obawiam się, że nie. Ekstazy, kwasy, grzybki – wszystkiego próbowałam.

Jesteście zszokowane? Nie powinnyście.

Kultura narkotykowa narodziła się w intelektualnych kręgach studenckich. Nawet nie próbujcie mnie przekonać, że Bill Gates wymyślił system Windows – labirynt wielobarwnych, połączonych ścieżek – bez pomocy jakiejś psychodelicznej substancji.

W każdym razie, mimo moich upodobań w tej kwestii, miesiąc po powrocie z Cabo lądujemy z Drew w najmodniejszej dyskotekce w mieście. Jesteśmy tu z naszymi przyjaciółmi, Matthew i Delores. Mamy uczcić ich pierwszą rocznicę.

Nie wiedziałyście, że się pobrali? Było super. Vegas – muszę mówić dalej?

Delores uwielbia kluby nocne. Lubi wszystko, co pobudza zmysły.

Kiedy miałyśmy dziesięć lat, jej mama Amelia kupiła jej do sypialni lampę stroboskopową. Delores siedziała i gapiła się w nią godzinami, jakby to była kryształowa kula lub obraz Jacksona Pollocka.

Teraz, gdy o tym myślę, to wiele wyjaśnia.

Tak czy inaczej, widzicie nas tam? Matthew i Delores schodzą z parkietu i podchodzą do stolika, przy którym siedzę na wielkim, czerwonym fotelu. Drew skoczył po drinki.

Jestem dzisiaj zbyt zmęczona, by tańczyć. Delores, śmiejąc się, opada na fotel tuż obok mnie.

Ziewam.

– Wyglądasz koszmarnie, kwiatuszku.

Najlepsza przyjaciółka powinna mówić prawdę. Nawet to, że zdradza cię chłopak albo że sukienka opina za bardzo i uwydatnia wałki tłuszczu. Jeśli wasze nie są w stanie wyduścić z siebie tego typu

rzeczy, nie są prawdziwymi przyjaciółkami.

– Dzieki, Dee-Dee. Też cię kocham.

Odrzuca do tyłu swoje długie, jasne włosy. Z okazji dzisiejszej rocznicy zakręciła je i popryskła brokatem.

– Mówię tylko, że wyglądasz, jakbyś potrzebowała całego dnia w spa.

Nie myli się. Cały tydzień czułam się wyczerpana. To zmęczenie organizmu, jakbym nosiła dodatkowy ciężar na nogach i coś ścisnęło mi żebra.

Wczoraj naprawdę zasnęłam przy biurku.

Może zaraziłam się panującą ostatnio gripą.

Delores wachluje się dłonią.

– Gdzie, u diabła, jest Drew z naszymi drinkami? Ja tu umieram.

Nie ma go już dłuższą chwilę, co w sumie nie jest niczym niezwykłym w takim lokalu. Mimo to rozglądam się po pomieszczeniu.

I wtedy go odnajduję. Stoi przy barze z drinkiem w dłoni i rozmawia z jakąś kobietą. Z przepiękną blondynką, której nogi są długie aż do samej szyi. Nosi srebrne szpilki, ubrana jest w połyskującą minisukienkę. Wygląda... przebojowo.

Znacie ten typ – te fajne laski, z którymi faceci lubią się umawiać, bo mogą przy nich bekać i oglądać sport?

Uśmiecha się. Co ważniejsze, Drew też się uśmiecha.

Widzicie, w jaki sposób ona się do niego przysuwa? Jak przechyla na bok głowę? Jak subtelnie pociera o siebie udami?

Uprawiali seks. Bez wątpienia.

Sukinsyn.

To nie pierwszy raz, gdy mam do czynienia z przygodnymi panienkami Drew. Właściwie dość dużo ich już spotkałam – kelnerkę w Nobu, barmankę w barze U McCarthy’ego, kilka przypadkowych klientek w Starbucksie.

Drew jest dla nich uprzejmy, lecz nie wylewny, nie okazując im więcej zainteresowania niż kumpel z liceum, którego imienia tak naprawdę nie pamiętacie.

Zatem zazwyczaj mi to nie wadzi.

Jednak, jak już mówiłam, to nie jest normalny tydzień. Zmęczenie sprawia, że staję się porywcza. Przewrażliwiona. Wkurzona.

A on nadal z nią, cholera, rozmawia.

Laska opiera dłoń na jego ramieniu, a kobieta pierwotna we mnie uderza się w piersi niczym naspidowany King Kong. Przede mną, na stoliku, stoi pusta szklanka. Myślicie, że udałoby mi się nią w nich rzucić?

Zauważyłyście, że seryjnymi zabójcami

i masowymi mordercami zazwyczaj są faceci? To dlatego, że mężczyźni lubią dzielić się bólem. Kobiety tłumią go wewnątrz. Zachowują dla siebie. Pozwalają mu się jątrzyć.

Tak, miałam psychologię na studiach.

Chodzi mi o to, że zamiast pójść tam i wytargać blondi za kudły, tak jak mam na to ochotę, wstaję i mówię:

– Idę do domu.

Delores mruga.

– Co? Dlaczego? – W tym momencie dostrzega moją minę. – Co, u diabła, ten kretyn zrobił tym razem?

Rada na przyszłość – gdy jesteście wkurzone na swoją drugą połowę, nie mówcie o tym najlepszej przyjaciółce. Wy przebaczyście swojemu facetowi. Ona nigdy.

Polecam za to wyzalić się komuś z jego rodziny. Oni znają jego złe, egoistyczne, niedojrzałe cechy, więc nie kupicie kota w worku.

Kręcę głową.

– Nic. Po prostu jestem... zmęczona.

Delores tego nie kupuje. Spogląda w tę samą stronę co ja. Długonoga odrzuca głowę w tył i wybucha śmiechem. Ma idealnie białe i równe ząbki. Najwyraźniej bulimia nie wyzała jej szkliska.

Jeszcze.

Delores zwraca się do męża:

– Matthew, przyprowadź swojego kumpla, zanim ja to zrobię, ponieważ wtedy potrzebna będzie ścierka, by zebrać go z podłogi.

Unoszę podbródek i mówię z uporem:

– Nie, Matthew, nie rób tego. Drew najwyraźniej jest szczęśliwy tam, gdzie jest. Po co mu przeszkadzać?

Niezbyt dojrzałe z mojej strony?

Może tak.

Czy mnie to obchodzi?

Niespecjalnie.

Matthew patrzy to na mnie, to na żonę. I nagle rzuca się w kierunku Drew. Dee-Dee dobrze go wytresowała. Brakuje jej tylko gwizdka.

Obejmuję ją na pożegnanie.

– Jutro do ciebie zadzwonię.

Wychodzę, nie oglądając się za siebie.



Nigdy nie mieszkałam sama.

W wieku osiemnastu lat wyniosłam się z rodzinnego domu do akademika. Na drugim

roku studiów do mnie i Delores dołączył Billy, więc z czterema innymi osobami wynajęliśmy stary dom niedaleko kampusu. Dach przeciekał, nie było klimatyzacji, ale czynsz był niewielki.

Kiedy Delores przeniosła się do Nowego Jorku, a ja nadal studiowałam, wynajęliśmy z Billym mieszkanie. Potem skończyłam studia i też trafiłam do wielkiego miasta. Resztę już znacie.

Dlaczego wam o tym opowiadam?

Ponieważ nie jestem tak niezależna, jak bym chciała. Jestem jedną z tych kobiet, które zapalają wszystkie światła, gdy są same w domu. Tą, która śpi u koleżanki, gdy jej chłopak wyjeżdża z miasta.

Nigdy nie byłam sama. Zawsze miałam chłopaka. Chyba dlatego wytrzymałam z Billym tak długo – ponieważ wolałam trwać w związku bez przeszłości, niż nie być w żadnym.

Wracam do mieszkania, idę do łazienki i przebieram się w bokserkę i wiśniowe spodnie od piżamy. Kończę zmywać makijaż, gdy słyszę otwieranie i zamykanie drzwi.

– Kate?

Nie odpowiadam.

Słyszę kroki w korytarzu, po czym Drew staje w drzwiach łazienki.

– Hej, dlaczego wyszłaś? Wróciłem z drinkami,

a Delores zaczęła rzucać we mnie kostkami lodu, wyzywając od padalców.

Unikam kontaktu wzrokowego. Odpowiadam oschłym, lekceważącym głosem:

– Byłam zmęczona.

Dlaczego nie powiem mu prosto z mostu tego, co mnie gryzie? Ponieważ tak właśnie działają kobiety. Chcemy, by faceci wyciągali z nas prawdę. By okazali zainteresowanie. To test – by sprawdzić, jak bardzo im zależy.

Drew idzie za mną do sypialni.

– Dlaczego na mnie nie poczekałaś? Wróciłbym z tobą.

Unoszę głowę i patrzę mu w twarz. Jestem spięta, mam poważną minę, szykuję się do bitwy.

– Przecież byłeś zajęty.

Patrzy na mnie, mrużąc oczy. Starając się rozszyfrować, co właśnie powiedziałam.

Chwilę później się poddaje.

– O czym ty mówisz?

Wyrzucam to z siebie:

– Blondynka? Przy barze? Mówi ci to coś, Drew?

Patrzy na mnie z ciekawością:

– Co z nią?

– Ty mi powiedz. Pieprzyłeś ją?

Drew się krzywi.

– Oczywiście, że jej nie pieprzyłem. Wyszedłem

dwie minuty po tobie. Oboje wiemy, że do tego potrzeba znacznie więcej czasu niż dwie minuty. A może potrzebujesz przypomnienia?

Nie, on nie jest tak tępy, jak się wydaje. Właściwie jest geniuszem. Stara się być słodki, seksowny. Próbuje odwrócić moją uwagę. Zawsze tak robi. I zazwyczaj to działa. Jednak nie dzisiaj.

– Ale w ogóle ją pieprzyłeś?

Drew drapie się po karku.

– Naprawdę chcesz usłyszeć odpowiedź?

Wielkie, ogromne tak, w razie gdybyście się zastanawiały.

Wyrzucam ręce w górę.

– Oczywiście, że tak! Oczywiście, że ją pieprzyłeś, ponieważ, Boże uchroni, byśmy choć raz wyszli i nie spotkali kogoś, kto nie jest dokładnie zaznajomiony z twoim fiutem! Nie żebyś pamiętał przynajmniej połowę z tych lasek.

Drew mruży oczy.

– Ale o co ci chodzi? Wkurzasz się, że je pamiętam, czy że ich nie pamiętam? Daj mi jakąś odpowiedź, Kate, bym mógł uczestniczyć w kłótni, którą sprytnie zaplanowałaś.

Wyciskam trochę balsamu i wmasowuję sobie w ramiona.

– Nie chcę się kłócić, chcę tylko wiedzieć, dlaczego ją zapamiętałeś.

Drew wzrusza ramionami i mówi neutralnym tonem:

– Jest modelką. Jest na billboardach na środku Times Square. Raczej trudno zapomnieć o kimś, czyje zdjęcie widuje się każdego dnia.

Czyż po takim oświadczeniu nie powinnam poczuć się lepiej?

– Jak miło. W takim razie dlaczego tu jesteś? Dlaczego nie pójdziesz do swojej modeleczki, skoro tyle dla ciebie znaczy?

W jakiejś części zdaję sobie sprawę, że nie jestem racjonalna, lecz mój gniew jest jak lawina – kiedy już wybuchnie, nie ma mowy, by go ugasić.

Drew gapi się na mnie, jakbym ześwirowała, po czym wyciąga do mnie rękę.

– Ona nic dla mnie nie znaczy. Przecież wiesz. Skąd ci się to, do diabła, wzięło? – Wtedy wpada mu do głowy jakaś myśl. Cofa się o krok i pyta: – Zbliża ci się okres? Nie wariuj, tak tylko pytam, bo, sądząc po twoim zachowaniu, myślę, że ksywka Alexandry jest nieco zagrożona.

Może mieć rację. W liceum jedno skrzydło budynku zawsze było zatłoczone przed lekcjami. Wiedziałam, że zbliża mi się miesiączka, gdy przechodząc tym korytarzem, miałam ochotę dziabnąć ołówkiem w szyję tego, kto stanął mi na drodze.

Jednakże faceci nie powinni wytykać dziewczynom PMS-u. To nie może się dla nich dobrze skończyć.

Podnoszę but i rzucam nim, trafiając Drew pomiędzy jego niebieskie oczy.

Natychmiast masuje czoło.

– Co, do chuja? Mówiłem, żebyś nie wariowała!

W każdym związku jedna osoba musi być cholerykiem, który wrzeszczy, rzuca czymś i coś niszczy. W naszym najwyraźniej jestem nim ja. Ale to nie moja wina. Nie możecie winić bomby nuklearnej za to, że leci, ponieważ wszystkie właściwe guziki zostały naciśnięte.

Biorę drugi but i również nim rzucam. Drew chwytą poduszkę i używa jej jak tarczy. Rzucam się w kierunku szafy po więcej amunicji, ale łapie mnie za rękę, nim mam szansę tam trafić.

– Przystaniesz, kurwa?! Dlaczego tak się zachowujesz?

Patrzę mu w twarz.

– Bo tobie nawet nie zależy! Jestem naprawdę wkurzona, a ciebie to gównem obchodzi!

Otwiera oczy z niedowierzaniem.

– Oczywiście, że mnie obchodzi, ale to nie ja rzucam Jimmym Choo jak cholernymi gwiazdkami ninja!

– Skoro ci tak zależy, to dlaczego nie

przepraszasz?!

– Bo, do diabła, nie zrobiłem nic złego! Nie ma problemu, bym się płaszczył, jeśli zawinię. Ale jeśli myślisz, że będę cię błagał na kolanach tylko dlatego, że opętał cię jakiś hormonalny demon, postradałaś rozum, kochana.

Wyrywam mu się i uderzam go w pierś obydwoma rękami.

– Dobra. Super, Drew. Od tej pory mam w dupie, co robisz. – Chwytam koc i poduszkę i wręczam mu je. – Ale jestem cholernie pewna, że po tym, co zrobiłeś, nie będziesz spał obok mnie. Wynocha!

Patrzy na pościel. Następnie na mnie. Jego twarz rozluźnia się, przybierając spokojny wyraz.

Jest nawet zbyt spokojny. Jakby zaraz miała wybuchnąć burza.

– Nigdzie nie idę. – Rzuca się na łóżko, rozkładając na boki ręce i nogi, jakby robił aniołka na śniegu. – Tak się składa, że lubię to łóżko. Jest wygodne. Wiążę z nim wiele dobrych wspomnień. I to jedyne miejsce, w którym będę spał.

Nie ma sensu wyklócać się z Drew w takim stanie, gdy umyślnie się drażni. Czasami trzeba się zamknąć, by go bardziej nie prowokować.

Wyrywam mu poduszkę spod głowy; leży płasko na materacu, gapiąc się na mnie. Marszczy czoło.

– Co robisz?

Wzruszam ramionami.

– Powiedziałam, że nie mam ochoty z tobą spać. Zatem, jeśli nie chcesz się wynieść na kanapę, ja to zrobię.

Siada.

– To jakieś pieprzone wariactwo, Kate. Powiedz, że wiesz o tym. Kłóćmy się o nic!

Unoszę głos:

– Zatem teraz moje uczucia nic dla ciebie nie znaczą?

– Kurwa, nie to powiedziałem.

Wyciągam palec w jego stronę.

– Powiedziałeś, że kłóćmy się o nic, a kłóćmy się o to, jak się przez ciebie czuję, zatem logiczne jest, że masz gdzieś moje uczucia!

Otwiera usta jak ryba walcząca o powietrze.

– Pogubiłem się. Nie kumam, co właśnie do mnie powiedziałaś.

Zamykam oczy i tak po prostu mój gniew znika.

Zamiast niego przepełnia mnie ból.

– Zapomnij o tym, Drew.

Idę korytarzem i słyszę:

– Co się właściwie stało?

Jestem zbyt zmęczona, by próbować to dalej wyjaśniać. Zazwyczaj, gdy się sprzeczamy, trudno mi zasnąć. Jestem zbyt nakręcona adrenaliną i poirytowaniem.

Jednak dzisiaj nie mam tego problemu. Odpływam jak narkoleptyk w chwili, gdy moja głowa styka się z poduszką.



Jakiś czas później – być może trzy minuty, a może trzy godziny – ciepła, twarda pierś przyciska się do moich pleców, budząc mnie. Czuję na brzuchu jego dłoń. Zanurza twarz w moich włosach i głęboko oddycha.

– Przepraszam.

Widzicie? Tylko tyle trzeba. To naprawdę magiczne słowo, zdolne pokonać wszelkie przeszkody.

Nawet PMS.

Obracam się w jego ramionach i patrzę mu w oczy.

– Za co przepraszasz?

Drew błędnie, szukając poprawnej odpowiedzi. Po czym zuchwale się uśmiecha.

– Za wszystko, za co chcesz.

Śmieję się, ale mówię szczerze:

– Nie. To ja przepraszam. Miałaś rację. Byłam zwykłą jędrą. Nie zrobiłaś nic złego. Zdecydowanie

miałam zaćmienie hormonalne.

Całuje mnie w czoło.

– To nie twoja wina. Całkowicie zwałam to na Ewę.

Całuję go delikatnie w usta, po czym w szyję, następnie przechodzę na klatkę piersiową, czując nagłą potrzebę, by go zadowolić. Patrzą w górę.

– Mam ci to wynagrodzić?

Przeciąga palcami po sińcach pod moimi oczami.

– Jesteś wykończona. Może wynagrodzisz mi to rano, co?

Przysuwam się, by oprzeć policzków na jego piersi. Zamykam oczy, gotowa ponownie zasnąć.

Głos Drew przerywa ciszę:

– No chyba że... no wiesz... naprawdę bardzo chcesz mi to teraz wynagrodzić. Bo jeśli tak jest, to jestem daleki od...

Wybucham śmiechem, przerywając mu, i wkładając głowę pod koc, podążam na południe, by mu to jednak wynagrodzić. W jego ulubiony sposób.



ROZDZIAŁ TRZECI

Dwa dni później siedzimy przy kuchennym stole i jemy śniadanie. Drew lubi ćwiczyć wieczorami po pracy, by się zrelaksować i uwolnić nagromadzony stres. Ja należę do tych irytujących osób, które uwielbiają biegać o piątej rano. Spotykamy się więc dopiero na śniadaniu, po którym Drew wychodzi do pracy, a ja idę pod prysznic.

– Wiesz, dlaczego tak uwielbiam płatki śniadaniowe Cookie Crisp? – pyta, patrząc na łyżkę. Nigdy nie widziałam, by ktoś zjadał aż tyle płatków. Poważnie, gdybym nie gotowała, tylko nimi by się żywił.

Przełykam łyżkę jogurtu – Danone Light&Fit. Reklamy nie kłamią; naprawdę jest pyszny. Truskawkowo-bananowy jest najlepszy.

– Dlaczego?

– Ponieważ przypominają ciasteczka. Nie tylko zarąbiście smakują, ale czuję, jakbym się mścił na rodzicach za to, że przez pierwszą część mojego życia karmili mnie pieprzonym owsianym paskudztwem.

Poeta i filozof, Drew jest człowiekiem renesansu.

Otwieram usta, by się z nim podroczyć, natychmiast je jednak zamykam, gdy nudności podchodzą mi do gardła. Odchrząkuję i zakrywam dłonią usta.

– Kate? Dobrze się czujesz?

Kiedy staram się odpowiedzieć, mój żołądek wykonuje salto, którego pozazdrościłaby sama Nadia Comăneci.

Zaraz zwymiotuję.

Nienawidzę rzygać.

Czuję się wtedy dość klaustrofobicznie. Jakbym się dusiła.

Do dziś, kiedy mam grypę żołądkową, cały dzień wiszę na telefonie, rozmawiając z mamą, która mnie pociesza, gdy jest mi niedobrze.

Nie zdążę do łazienki, więc rzucam się w kierunku kuchennego zlewu. Kiedy wyrzucam z siebie śniadanie, Drew przytrzymuje mi włosy, które wymknęły mi się z kucyka.

Już mam mu powiedzieć, że może się odsunąć, ale przychodzi kolejna fala.

Niektóre kobiety nie mają problemu z sikaniem, puszczaniem bąków czy wymiotami przy facecie.

Nie jestem jedną z nich.

Może to głupie, ale gdybym nagle umarła, nie chciałabym, by ostatnim wspomnieniem Drew było to, jak siedzę na kibelku. Lub, jak teraz,

wyrzucam wnętrzości do zlewu.

Mówi do mnie miłym, kojącym głosem:

– Dobrze... spokojnie. Już dobrze.

Kiedy wydaje się, że najgorsze minęło, Drew podaje mi mokry papierowy ręcznik, po czym spogląda na dno zlewu i zauważa:

– Jakie to kolorowe.

Chrypię:

– Fuj... Wiedziałam, że złapałam wirusa.

– Na to wygląda.

Kręcę głową.

– Nie mogę pozwolić sobie na chorobę. Mam dzisiaj spotkanie z panią Robinson. – Anna Robinson jest klientką, na którą czekałam od miesięcy. To stara wyga, z naciskiem na stara. Ma chyba z dziewięćdziesiąt pięć lat. Jeśli dziś nie podpisze umowy, bardzo możliwe, że nie podpisze jej nigdy.

– Jesteś chora, kochanie. I nie sędzę, by pani Robinson była pod wrażeniem, jeśli zwymiotujesz na jej antyczną broszkę. Na szczęście masz genialnego chłopaka, który nadzwyczaj dobrze radzi sobie w takich sytuacjach. Daj mi dokumenty, pójdę za ciebie na to spotkanie. Annie będzie równie zadowolona. – Przytula mnie.

– Drew, nie...

Przerywa mi.

– Nie. Żadnego biadolenia. Nawet nie chcę tego słuchać. Idziesz do łóżka.

Uśmiecham się słabo.

Drew prowadzi mnie do sypialni i stawia mi na szafce nocnej szklanę piwa imbirowego.

Wydaje mi się, że całuje mnie w czoło, choć nie mogę być pewna, ponieważ od razu zasypiam.

Trzy godziny później wysiadam z windy na czterdziestym piętrze naszego biurowca. Mam pusty żołądek, ale po porannej drzemce czuję się o niebo lepiej. Jestem jak nowo narodzona. Gotowa stawić czoło światu i Annie Robinson. Podchodzę do niewielkiej sali konferencyjnej i zerkam przez szybę.

Widzicie Drew siedzącego obok siwiuteńkiej pani na wózku? Kiedy wyjaśnia aspekty prawne umowy wszystkim zgromadzonym przy stole, ręce pani Robinson znikają pod blatem.

Kilka sekund później Drew wzdryga się, jakby poraził go prąd.

To niesamowicie zabawne.

Drew obdarowuje panią Robinson ostrym spojrzeniem, za to ona porusza brwiami, co sprawia, że Drew przewraca oczami, a potem odwraca wzrok, przy okazji dostrzegając mnie. Przeprasza i wychodzi na korytarz, a jego twarz promienieje niczym latarnia morska.

– Na miłość wszystkiego, co święte, dzięki Bogu, że jesteś.

Uśmiecham się.

– No nie wiem. Wydaje się, że pani Robinson cieszy się twoim towarzystwem.

– Pewnie. Jeśli jeszcze bardziej zaczniesz się nim cieszyć, będę musiał pod stołem klepnąć ją w rękę.

– Patrzy na mnie zaniepokojony. – Nie myśl, że nie cieszę się twoim towarzystwem, bo jest wręcz przeciwnie, ale co ty tu, u diabła, robisz? Powinnaś leżeć w łóżku.

Wzruszam ramionami.

– To musiał być trzygodzinny wirus. Już jest lepiej.

Drew dotyka mojego czoła i policzków, sprawdzając, czy nie mam gorączki.

– Jesteś pewna?

– Tak. Naprawdę.

Kiwa głową, ale sądząc po spojrzeniu, nie jest o tym przekonany.

– No dobrze. Och, mieliśmy iść dzisiaj na kolację do rodziców. Myślisz, że dasz radę, czy mam to odwołać?

Kolacja u Evansów zawsze jest interesująca.

– Powinnam dać radę.

Podaje mi dokumenty pani Robinson.

– Okej. Twoje strategie inwestycyjne sprawiły,

że dostali dreszczy, rozłożyli nogi i wilgotni czekają, żeby ich nadziać.

Jego porównania są nieco niepokojące.

– To ohydne, Drew.

Wydaje się niewzruszony.

– Jak chcesz. – Całuje mnie szybko. – Bierz ich, tygrysie.

Odchodzi, a ja otwieram drzwi sali konferencyjnej, by dobić targu.

Zaczynacie już rozumieć, prawda? Główny problem? Wiem, że zajmie to chwilę, ale w końcu do tego dojdziemy. Cieszcie się dobrymi chwilami – nie potrważą w nieskończoność.

Opowiadam wam o tym wszystkim, byście zrozumiały, dlaczego jestem aż tak zszokowana. Jak nieplanowane – skojarzenie niezamierzone – było to wszystko.

Myślę, że właśnie takie jest życie.

Uważacie, że macie je pod kontrolą. Sądzicie, że podążacie dokładnie wytyczoną ścieżką. Pewnego dnia idziecie nią, i bam! Wpada na was od tyłu ciężarówka.

Nie widziałyście, że nadjeżdża.

Ludzie też tacy są. Nieprzewidywalni.

Bez względu na to, jak dobrze kogoś znacie, jak mocno wierzycie w jego uczucia i reakcje, i tak

potrafi was zaskoczyć. I to w najbardziej
destrukcyjny sposób.



ROZDZIAŁ CZWARTY

Wizyta u rodziny Drew nie może być nudna. Mam tylko mamę, więc na początku jego bliscy byli przytłaczający. Jednak przywykłam do nich.

Przyjeżdżamy z Drew jako ostatni.

Frank Fisher – ojciec Matthew – wraz z tatą Drew stoją przy barku i dyskutują o notowaniach giełdowych. Delores siedzi na poręczy fotela, na którym siedzi Matthew; oglądają mecz. Siostra Drew, Alexandra, inaczej zwana Jędzą, wraz z mężem Stevenem zajmują kanapę.

Mackenzie, siostrzenica Drew siedzi na podłodze. Zmieniła się od czasu, gdy ją ostatnio widziałyście. Ma teraz sześć lat, dłuższe włoski, szczuplejszą buzię – bardziej dziewczęcą, mniej pucułowatą, jednak nadal uroczą. Bawi się lalkami w przedszkole.

Mama Drew, Anna, i mama Matthew, Estelle, przeważnie zajmują kuchnię. Jeśli zastanawiacie się, gdzie jest ojciec Stevena, George Reinhart, to powiem, że zobaczycie go dopiero później.

Wchodzimy, Steven wita nas, podając drinki.

Siadamy na sofce i oglądamy mecz.

Mackenzie przyciska jakiś guzik w jednej z lalek i z zabawki wydobywa się elektroniczny dźwięk: „Nie, nie, nie! Nie, nie, nie!”. Mackenzie przechyla główkę i patrzy na irytującą lalkę.

– Tato, nie masz racji. Nie-Nie-Nancy wcale nie brzmi jak mama.

Komentarz córki zwraca uwagę Alexandry.

– O czym ty mówisz, Mackenzie?

Za plecami żony Steven, patrząc na córkę, kręci głową, jednak na jego nieszczęście mała nie rozumie przekazu. Zamiast tego wyjaśnia:

– Niedawno, kiedy cię nie było, tata powiedział, że Nie-Nie-Nancy brzmi jak ty. Tylko, że ty nie mówisz „nie, nie, nie” tylko „nee, nee, nee”.

Wszystkie głowy odwracają się w kierunku Alexandry, obserwując, jak tykająca bomba odlicza do zera.

Steven dzielnie próbuje ją rozbroić. Uśmiecha się, żartując:

– Musisz przyznać, kochanie, że podobieństwo jest niesamowite...

Alexandra uderza go w ramię, które Steven napina, absorbując energię ciosu. Żona natychmiast uderza go ponownie, tym razem mocniej.

Steven się przechwala:

– Nie możesz zgiąć stali, kochanie. Bądź

ostrożna, przecież nie chcesz sobie zranić dłoni.

Szybciej niż pędząca kula palce Alexandry spoczywają na jego bicepsie, szczypiąc go i prowadzając do parteru.

Drew krzywi się i ze współczuciem pociera ramię.

– Będę miał siniaka.

Alexandra odzywa się ostrym, nieznoszącym sprzeciwu głosem:

– Wcale nie mówię „nee”. Jestem miłą, troskliwą, wspierającą żoną, a jeśli robiłbyś, co do ciebie należy, w ogóle nie musiałabym tego mówić!

Steven wyrzuca z siebie:

– Tak, kochanie.

Alexandra puszcza jego ramię i wstaje.

– Idę pomóc mamie w kuchni.

Po jej wyjściu, Mackenzie przygląda się lalce w zamyśleniu, po czym patrzy na Stevena.

– Właściwie to masz rację, tato. Mama naprawdę mówi jak Nancy.

Steven przykłada palec do ust.

– Ciii...



Chwilę później razem z Drew, Matthew i Delores słuchamy, jak Mackenzie gra na gitarze. Uczę ją grać. Miałam pięć lat, gdy tata pokazał mi, jak się to robi. Mówił, że muzyka jest jak tajny kod, jak magiczny język, który zawsze będzie mi towarzyszył, by pocieszyć w chwilach smutku, i cieszyć, gdy będę szczęśliwa.

Miał rację.

Tę lekcję zapamiętałam na całe życie. Niewielki kawałeczek ojca, którego mogłam się trzymać, kiedy jego już nie było. Bardzo się cieszę, że jestem w stanie przekazać tę wiedzę Mackenzie.

Właśnie gra *Twinkle, Twinkle, Little Star*.

Dobra jest, prawda? Skupiona. Wytrwała. Wcale mnie to nie dziwi – w końcu jest siostrzenicą Drew. Kiedy kończy, wszyscy biją brawo.

Obracam się do Delores.

– Wczoraj dzwonił do mnie Billy. Ma trochę wolnego. Przyjeżdża w przyszłym tygodniu i chce zjeść z nami obiad.

Słowa Drew ociekają sarkazmem niczym truskawki zanurzone w czekoladzie:

– Kretyn przyjeżdża? Och, to cudownie. To prawie jak Boże Narodzenie.

Delores spogląda na Drew.

– Ej, kretyn to moje określenie. Wymyśl sobie własne.

Drew jej przytakuje.

– Masz rację. Palant brzmi znacznie lepiej.

Zastanawiacie się, gdzie się podział słoik na brzydkie słowa? Dla tych, które nie wiedzą, słoik został wymyślony przez Alexandrę, by każdy – przeważnie Drew – kto przeklnie przy jej córce, poniósł karę pieniężną. Początkowo każdy brzydki wyraz kosztował dolara, jednak kiedy mieliśmy z Drew na pieńku, przekonałam małą, by podniosła cenę do dychy. Nazwijcie mnie podłą zołą.

Tak czy inaczej, słoik oszedł do lamusa. Mackenzie ma teraz konto czekowe. A ponieważ potrafi już pisać, prowadzi dziennik, w którym zapisuje, kto ile jej wisi. Właśnie coś wpisuje.

Spodziewamy się, że przed wyjściem będziemy musieli uregulować naszą grzywnę. Jeśli tego nie zrobimy, czekają nas dziesięcioprocentowe odsetki.

Mam przecucie, że pewnego dnia Mackenzie zostanie genialnym bankierem.

Odkłada notesik i znów łapie gitarę. Odwraca się do Drew.

– Wujku Drew?

– Tak, słoneczko?

– Skąd się biorą dzieci?

Drew nawet się nie waha.

– Od Boga.

Zostałam uświadomiona, gdy miałam jedenaście lat. Mama wyznawała zasadę: „Na zawsze będziesz moją maleńką córeczką, która nie musi nic wiedzieć o seksie”. Z drugiej strony Amelia Warren była bardziej niż chętna, aby zapełnić tę lukę. Chciała, byśmy były z Delores dobrze poinformowane. Przygotowane. W wieku trzynastu lat potrafiłyśmy szybciej założyć prezerwatywę na banana niż prostytutka klientowi.

Cokolwiek postanowicie, nie pozwólcie, by wasze dzieci uczyły się o prokreacji z telewizji. Informacje o pszczołkach i motylkach są tak samo ważne, jak uświadomienie maluchowi, że Święty Mikołaj nie istnieje – dzieci i tak do tego dojdą. Lepiej, by dowiedziały się o tym od rodziców.

Mackenzie znów bierze gitarę, aż...

– Wujku Drew?

– Tak, Mackenzie?

– Dzieci rosną w brzuchu mamy, tak?

– Mniej więcej.

– A skąd się tam biorą?

Drew pociera usta, myśląc nad odpowiedzią.

Wstrzymuję oddech.

– No wiesz... Malowałaś kiedyś, mieszając niebieską i czerwoną farbę?

– Tak. Wyszedł fioletowy!

– Zgadza się, wychodzi fioletowy. Z dziećmi jest podobnie. Troszkę niebieskiej farbki od taty, troszkę czerwonej od mamy, pomieszaj razem i bum! Otrzymujesz całkiem nową osobę. Na szczęście dziecko nie jest fioletowe, choć jeśli wmiesza się ciocia Delores, wszystko jest możliwe.

Delores, za plecami małej, pokazuje Drew środkowy palec.

Mackenzie kiwa główką i wraca do brzdąkania na gitarze. Minutę później pyta:

– Wujku Drew?

– Tak?

– Jak niebieska farbka taty dostaje się do tej czerwonej mamy?

Drew unosi brwi.

– Jak tam... trafia...?

Mackenzie żywo gestykułuje.

– No jak? Doktor robi jej zastrzyk? A może mama ją połyka?

Włącza się Matthew:

– Tylko, jeśli tata ma wielkie szczęście.

Delores klepie go w głowę.

Niebieskie jak bezchmurne niebo oczy Mackenzie nadal wpatrzone są w Drew, który otwiera usta, po czym je zamyka, otwiera je jeszcze raz i znów zamyka.

W końcu podejmuje wyzwanie, niczym pierwszy wiosenny skok do basenu:

– Noo... mama i tata uprawiają seks.

To pewne. Alexandra go zabije. Tym razem naprawdę. Zostanę wdową, nim wyjdę za mąż.

Mackenzie krzywi się z zakłopotania.

– Co to jest seks?

– To z seksu właśnie biorą się dzieci.

Przez chwilę to rozważa, po czym przytakuje.

– Aha. Okej.

Wow. A myślałam, że egzamin dyplomowy z finansów był trudny.

Drew rozwiązał problem całkiem wprawnie, nie sądzicie? Dobrze radzi sobie z dziećmi. Właściwie to ma sens, ponieważ w tak wielu sytuacjach... sam jest dzieckiem.

Do pokoju wchodzi Alexandra. Wydaje się zadowolona, że pokazała Stevenowi, gdzie jego miejsce. Właściwie wygląda na szczęśliwą.

– Co robicie?

Drew uśmiecha się niewinnie

– Rozmawiamy o farbkach.

Alexandra uśmiecha się i głaszcze córkę po głowie, która natychmiast dodaje:

– I o seksie.

Dłoń Alexandry od razu się zatrzymuje.

– Czeka... co?

Drew pochyla się do mnie i szepcze mi do ucha:
– Zdaje się, że powinniśmy natychmiast się ulotnić.

Kiedy drzwi zatrzasną się za nami, słyszymy:
– Drew! – Alexandra już nie wydaje się szczęśliwa.



W końcu jemy obiad. Cały posiłek przebiega w spokoju, dopiero przy deserze Alexandra uderza łyżeczką w kieliszek.

– Mogę prosić o uwagę? – Patrzy na Stevena, po czym mówi: – Mackenzie chciałaby wam coś powiedzieć.

Mackenzie staje na krześle i ogłasza:

– Tata i mama uprawiali seks!

Przy stole zalega cisza.

W końcu Matthew unosi kieliszek.

– Gratulacje, Steven. To jak pojawienie się komety Halleya, prawda? Dostępujesz tego zaszczytu co siedemdziesiąt pięć lat?

Delores wybucha śmiechem.

John odchrząkuje z zakłopotania.

– To bardzo... dobrze, kochanie.

Frank postanawia podzielić się spostrzeżeniami:
– Seks jest dobry. Trzeba go uprawiać regularnie. Ja na przykład pilnuję, by uprawiać seks przynajmniej trzy razy w tygodniu. Nie to, by moją Estelle kręciły jakieś wyuzdane zabawki, ale przez czterdzieści lat ani raz nie skarżyła się na ból głowy.

Estelle uśmiecha się z dumą.

Matthew nakrywa twarz dłońmi.

Reszta tylko się gapi okrągłymi jak spodki oczami i z otwartymi ustami.

Aż Drew odrzuca głowę w tył i się śmieje.

– To super! – Ociera oczy, bo dosłownie płacze.

Alexandra kręci głową.

– Czekaście. To nie koniec. Mów, Mackenzie.

Mała przewraca oczami.

– Bo to oczywiście oznacza, że będą mieli dziecko. Będę starszą siostrą!

Wybuchają gratulacje. Anna płacze, przytulając córkę.

– Tak się cieszę, kochanie.

Drew wstaje i tuli siostrę.

– Gratulacje, Lex. – Klepie Stevena po plecach. – Zatrzymam dla ciebie pokój gościnny, stary.

Nie rozumiem.

– Pokój gościnny?

Drew wyjaśnia:

– Kiedy poprzednio Alexandra była w ciąży, czterokrotnie wykopała Stevena z domu.

Wtrąca się Matthew:

– Nie licząc tego razu, gdy pozwoliła mu zostać, ale wszystkie jego rzeczy wywaliła przez okno.

Drew chichocze.

– Wyglądało to tak, jakby ciężarówka od przeprowadzek wybuchła na środku Park Avenue. Bezdomni nigdy nie byli tak dobrze ubrani.

Alexandra przewraca oczami i odwraca się do mnie.

– Hormony ciążowe. Powodują okropne wahania nastrojów. Gdy jestem w ciąży, mam tendencję do... wściekania się.

Drew się szczyrzy.

– W przeciwieństwie do reszty czasu, kiedy jesteś miła?

Znacie psy, które nadal gryzą buty, mimo że wiele razy dostały za to gazetą? Takie, które po prostu nie potrafią się oprzeć?

Drew jest jak taki pies.

Alexandra odwraca się do brata niczym kot syczący na węża.

– Wiesz, Drew, jak to jest, kiedy nosi się dziecko? Nie ma w kraju takiego sądu, który by mnie skazał za morderstwo.

Drew odsuwa się powoli.

Kręcę głową, po czym pytam Alexandrę:

– A oprócz tego, jak się czujesz?

Wzrusza ramionami.

– Przeważnie jestem zmęczona. Do tego te nudności. Większość kobiet ma je rano, jednak mnie jest niedobrze całą noc. To okropne.

Hmm...

Wymioty.

Zmęczenie.

Wahania nastrojów.

Brzmi znajomo.

Co? Dlaczego tak na mnie patrzycie?

Nie. Nie. Każdy wie, że pierwszym objawem ciąży jest brak miesiączki.

A moja powinna być... trzy... cztery... pięć...

Powinnam dostać okres pięć dni temu.

O.

Mój.

Boże.



ROZDZIAŁ PIĄTY

Już za młodu osiągnęłam mistrzostwo w zaprzeczaniu.

Nie myśleć o problemie. Nie mówić o nim. Przełknąć go. Zdusić.

Nie płakałam tej nocy, której zmarł mój tata.

Nie płakałam, gdy pojawił się u nas szeryf Mitchell, by zabrać nas do szpitala, ani kiedy lekarz oznajmił, że nie udało im się go uratować. Nie uroniłam choćby jednej łzy następnego dnia, ani na pogrzebie.

Dziękuję za wyrazy współczucia.

Tak, będę się opiekowała mamą.

To miłe, co mówcie.

Osiem dni po tym, gdy złożono jego ciało do grobu, moja mama pracowała w restauracji. Byłam sama w kuchni na górze, starając się otworzyć słoik z ogórkami.

Weszłam do sypialni rodziców, prosząc tatę o pomoc. Właśnie wtedy to do mnie dotarło – na widok pustego pokoju. Jego tam nie było. I już nigdy miało go nie być. Opadłam na podłogę i płakałam jak dziecko. Nad słoikiem ogórków.

Tę samą strategię stosowałam przez cały wieczór spędzony u Evansów. Śmiałam się, rozmawiałam, przytuliłam Mackenzie na pożegnanie. Wróciliśmy z Drew do domu, gdzie się kochaliśmy.

I mu nic nie powiedziałam.

Nie można krzyczeć, że się pali, nie mając pewności.

Widziałyście kiedyś *Przeminęło z wiatrem*? Scarlett O'Hara jest moją idolką.

„Nie mogę teraz o tym myśleć, bo oszaleję. Pomyślę o tym jutro”.

Zatem taki mam plan. Przynajmniej w tej chwili.



Ranek przychodzi zbyt szybko.

Najwyraźniej Bóg ma chore poczucie humoru, ponieważ gdziekolwiek spojrzę, otaczają mnie ciężę.

Same zobaczcie.

Kobieta wyprowadzająca psa, którą mijam na ulicy, policjantka kierująca ruchem, mężczyzna na okładce magazynu „People” w kiosku, dziewczyna w windzie, która wygląda, jakby pod bluzką przemycała piłkę.

Zakrywam dłonią usta i odsuwam się, jak turystka starająca się uniknąć świńskiej grypy.

W końcu, gdy siadam za biurkiem, otwieram kalendarz.

Tak, nadal korzystam z papierowego terminarza. Drew kupił mi na święta BlackBerry, jednak nawet go nie rozpakowałam. Nie ufam elektronice, która za dotknięciem jednego przycisku może wywalić w nicość całą moją pracę.

Lubię papier. Jest solidny, prawdziwy. Trzeba go spalić, by go zniszczyć.

Zazwyczaj mam dobrą pamięć. Jednak i tak wszystko zapisuję. Jestem bankierem – żyjemy i umieramy według terminarza. Ostatnio byłam jednak rozkojarzona. Osłabiona i ogólnie roztrzepana. Kiedy otwierałam nowe opakowanie tabletek antykoncepcyjnych, nie zwróciłam uwagi, że po poprzednich nie miałam okresu.

A mówiąc o tabletkach, co może być z nimi nie tak?

Dziewięćdziesiąt dziewięć procent skuteczności, akurat.

Tak samo niezawodne, jak testy ciążowe. Zatem nie mam zamiaru ich stosować. Zamiast tego dzwonię do gabinetu doktor Roberty Chang. Pamiętacie tę czwórkę studentów, z którymi wynajmowaliśmy dom z Billym i Delores

w Pensylwanii? Bobbie była jedną z nich. Jej mąż, Daniel, też z nami mieszkał.

Bobbie jest niesamowita. Jej rodzice przyjechali tu z Korei, gdy była dzieckiem. Jest drobna – na tyle filigranowa, że może ubierać się w sklepie dla dzieci, ma jednak osobowość amazonki. Jest również genialnym ginekologiem położnikiem. Mogłybyście wziąć ją za stażystkę.

Bob przeprowadziła się z mężem do Nowego Jorku kilka miesięcy temu. Nie widziałam jej całe lata, ale nasza przyjaźń jest jedną z tych, które przetrwają wieki bez utrzymywania stałego kontaktu. I kiedy w końcu się spotykamy, nie możemy się nagadać.

Umawiam się na wizytę i bezmyślnie zapisuję to w kalendarzu:

„Bob o siódmej”.

Zamykam terminarz i kładę go obok telefonu na biurku.

Spoglądam na zegar i uzmysławiam sobie, że jestem spóźniona na spotkanie.

Cholera.

Łapię dokumenty i wypadam przez drzwi.

Nadal żyjąc w zaprzeczeniu, jeśli chcecie wiedzieć.



Wracam ze spotkania dwie godziny później i zastaję przy moim biurku Drew nerwowo stukającego długopisem w jego blat. Zazwyczaj w południe zamawiamy sobie lunch i jemy go wspólnie w którymś z biur.

– Cześć.

Unosi wzrok.

– Hej.

– Zamówiłeś już coś czy czekasz na mnie?

Wygląda na zdezorientowanego.

– Co?

Opieram się o krawędź biurka.

– Lunch, Drew. Po to tu jesteś, prawda?

Kręci głową.

– Właściwie chciałem cię zaprosić na kolację. Otworzyli nową włoską knajpkę, więc chciałbym spróbować ich makaronu. Chciałem zadzwonić i zarezerwować stolik. Na siódmą.

Zastygam.

Nie mam zbyt wielkiej praktyki w okłamywaniu. Przynajmniej już nie. Nawet w liceum to nie były typowe kłamstwa. To było bardziej ściemnianie, żeby mama się nie denerwowała. Gdy naprawdę chciałam skłamać, kryła mnie Delores; była moim

alibi. Najwyraźniej to się nie zmieniło.

– Dzisiaj nie mogę. Dzwoniła Delores i zaprosiła mnie na babski wieczór. Raz na jakiś czas je sobie urządzamy.

Zatrzymajmy się w tym miejscu na chwilkę. To ważne.

Widzicie jego minę? Przyjrzyjcie się, bo możecie ją przegapić.

Przez sekundę na jego twarzy maluje się zaskoczenie. Powiew gniewu... może bólu. Po czym jego twarz wygładza się i wraca do normalnego wyrazu. Wtedy to przegapiłam. Jednak wy powinniście zapamiętać. Dziesięć godzin później wszystko nabierze sensu.

Drew odzywa się bezbarwnym głosem, niczym detektyw na przesłuchaniu:

– Przecież wczoraj widziałaś się z Delores.

Wywraca mi się żołądek.

– Ale to co innego. Byli wszyscy. Dzisiaj będziemy tylko my. Wypijemy kilka drinków, przekąsimy coś i wrócę do domu.

Drew prostuje się, wygląda jakby był spięty.

– Dobra, Kate. Rób, co tam, do cholery, chcesz.

Stara się mnie ominąć, ale łapię go za pasek.

– Hej, nie rób mi tego. Jutro możemy iść na kolację. Nie musisz się złościć. – Pozwala mi przyciągnąć się bliżej, ale nie odzywa się.

Obdarowuję go uwodzicielskim uśmiechem. – No daj spokój. Zamówmy lunch. Możemy zjeść u mnie. – Pocieram jego pierś, by go uspokoić.

Jednak jest nieustępliwy.

– Nie mogę. Mam dużo pracy. Pogadamy później.

Całuje mnie w czoło, a jego usta wydają się pozostawać na mojej skórze odrobinę dłużej niż normalnie. Zaraz się jednak odsuwa i wychodzi.



W Nowym Jorku jest jedna rzecz, na której można polegać. Jest niezawodna. Niezmienna. To nie poczta kurierska czy uprzejmość bliźniego. Tylko korki. Wieczny tłok na ulicy. Właśnie w takim utknęłam. Zderzak w zderzak.

Trzy razy próbowałam dzwonić do Delores, by wtajemniczyć ją w mój niecny plan, ale nie odebrała. Dobrą rzeczą jest to, że nie widziałam Drew, odkąd wyszedł dzisiaj z mojego biura. Naprawdę nie chcę z nim rozmawiać, póki nie dowiem się, z czym mam do czynienia.

Kiedy siedzicie same w praktycznie nieporuszającym się pojeździe, niewiele możecie zrobić.

Poza myśleniem.

Chcecie wiedzieć, o czym teraz myślę? O tym, że nawet najmocniejsza tama w końcu pęknie. Scarlett O'Hara też się poddała.

Słyszałyście o ojcu Delores? To niewiarygodna historia. Kiedy Delores była mała, Amelia powiedziała jej, że tata nie może z nimi mieszkać. Wyjaśniła to w prosty sposób. Dopiero kiedy Delores podrosła, poznała całą historię.

Amelia dorastała w Kalifornii. Możecie ją sobie wyobrazić? Dziewczyna surfera, opalona, smukła, lekkomyślna. Kiedy miała siedemnaście lat, na molo w Santa Monica poznała chłopaka. Miał ciemne włosy, rzeźbione ramiona i oczy koloru jadeitu. Nazywał się Joey Martino. Natychmiast między nimi zaiskrzyło i niczym Julia, Amelia bardzo się zakochała.

Nadszedł jednak czas, gdy Joey musiał się przenieść, zapytał więc Amelię, czy z nim wyjedzie. Matka ostrzegła ją, że jeśli opuści dom, może już nigdy nie wracać.

Przenigdy.

Amelia uściskała siostrę na pożegnanie i wskoczyła na tył harleya Joeya. Jakieś półtora miesiąca później przejeżdżali przez Greenville w Ohio. To wtedy zdała sobie sprawę, że jest w ciąży.

Joey dobrze przyjął tę wiadomość, więc Amelia się cieszyła. Mieli stworzyć prawdziwą rodzinę.

Jednak, gdy obudziła się następnego ranka, na poduszce znalazła kartę:

*Było fajnie
Przepraszam*

Amelia nigdy go już nie zobaczyła.

Niektóre dzieciaki muszą się sparzyć kilkakrotnie, by przestały bawić się niebezpiecznymi zabawkami. Amelia taka nie była. Wystarczyła jej zaledwie jedna lekcja. Od tamtego czasu zamiast aroganckich typów wybierała prostych, pokornych mężczyzn. Facetów będących przeciwieństwem Joeya.

Którzy w niczym nie przypominali Drew.

To właśnie dlatego tak go nie lubi.

Nie – właściwie to nie do końca prawda. Amelia po prostu mu nie ufa. Kiedy dwa lata temu przyjechały do mnie z mamą w święta, wzięła mnie na bok. Powiedziała, żebym się nie spieszyła, bym uważnie poobserwowała Drew. Ponieważ знаła kiedyś takiego typu.

Tak czy siak, koniec opowieści. Jesteśmy u celu. Gabinet Bob jest ładny – przytulny, wyłożony piaskowcem, z parkingiem na zewnątrz, który

w tym wielkim, zatłoczonym mieście jest absolutną rzadkością, gdybyście nie wiedziały. Parking jest dostępny także dla użytkowników z sąsiedniego budynku, więc jest pełen. Panuje tu spory ruch i trzeba szukać miejsca.

Gaszę silnik, ściskam kierownicę i biorę głęboki oddech.

Dam radę.

Chodzi tylko o najbliższe osiemnaście lat mojego życia, prawda?

Wysiadam z samochodu i dostrzegam niewielki szyld w oknie:

Roberta Chang

Ginekologia i położnictwo

Kiedy próbuję się ruszyć, ktoś wielkimi dłońmi zakrywa mi oczy. Znajomy głos szepcze do ucha:

– Zgadnij kto.

Natychmiast się odwracam. Wspólne mieszkanie na studiach buduje niesamowitą więź i niezwykle wspomnienia.

– Daniel!

Daniel Walker jest mężczyzną wielkości mamuta. Mógłby być bratem Arnolda Schwarzeneggera. Jednak nie dajcie się oszukać, jest jak nadziewany cukierek – z zewnątrz twardy, a miękki w środku. Jest delikatny. Czuły. Pełen empatii.

Na przedostatnim roku studiów do naszego rozpadającego się domu wprowadziła się mysz. Wszyscy chcieliśmy ją zabić – z wyjątkiem Daniela. Z kartonu, sznurka i patyka przygotował pułapkę. I złapał małego gnojka. Zatrzymaliśmy ją. Zamieszkała w klatce, została naszą maskotką. Nazwaliśmy ją Bud, jak nasze ulubione piwo.

Daniel wciąga mnie w niedźwiedzi uścisk, unosi i obraca. Po czym stawia mnie na ziemi i całuje w policzek.

– Dobrze cię widzieć, Kate. Świetnie wyglądasz!
Uśmiecham się szeroko.

– Dzięki. Ty też, Danielu. W ogóle się nie zmieniłeś. Jak leci?

– Nie narzekam. Jest okej, choć jestem dość zajęty. Nadal pracuję w szpitalu.

Daniel jest anestezjologiem. Kiedy tylko mogą, pracują z Bob razem. Podobnie jak ja z Drew.

Daniel opowiada dalej:

– Ale prywatna praktyka Bob ciągle się rozwija. Jestem teraz jej chłopcem na posyłki. – Unosi i pokazuje mi torbę z chińskim jedzeniem.

Kiedy jego zapach trafia do mojego nosa, żołądek podpowiada mi, że taki posiłek nie jest mile widziany. Przetykam mocno ślinę.

Daniel obejmuje mnie ciężkim ramieniem i przez chwilę rozmawiamy o ich przeprowadzce,

o Delores i Billym. Opowiadam mu o Drew i o tym, że fajnie byłoby spotkać się we czwórkę.

Wtedy słyszę pisk opon.

Oglądamy się i widzimy tylne światła wyjeżdżającego z parkingu samochodu.

– A ja myślałem, że Filadelfia ma złych kierowców. – Daniel kręci głową.

Chichoczę.

– Och nie, Nowy Jork ma na nich monopol. I na świrniętych fanów baseballa. Nie noś tu koszulek swojej ulubionej drużyny; może się to skończyć rozlewem krwi.

Daniel wybucha śmiechem i prowadzi mnie do budynku.



Klamka zapadła.

Życie, które do tej pory wiodłam, skończyło się.

Jestem w ciąży. Wpadłam. Fasolka kiełkuje.

Tak naprawdę nie byłam zdziwiona. Po prostu miałam nadzieję, że się mylę.

Według Bobbie winne są antybiotyki. Obniżyły skuteczność tabletek antykoncepcyjnych. Pamiętajcie, co mówiłam o ulotkach leków?

Czytajcie je. Studiujcie je. Żyćcie nimi.

Jest zbyt wcześnie na USG, muszę więc wrócić za dwa tygodnie. Każdego ranka muszę też łykać witaminy, które przeznaczone są chyba dla słonia.

Szczęściara ze mnie.

Parkuję w garażu, lecz nie spieszę się na górę. Zaletą dużego miasta jest to, że zawsze coś jest otwarte, zawsze w jakimś miejscu są ludzie.

Spaceruję przez kilka przecznic, starając się uporządkować myśli. Próbując ustalić, co powinnam teraz zrobić.

Jeśli uważacie, że nie wyglądam na szczęśliwą, to pewnie dlatego, że nie jestem. Musicie zrozumieć – nigdy tego nie chciałam. Nigdy nie bawiłam się lalkami, bawiłam się za to kasą na barze w restauracji rodziców. Kiedy dzieciaki chodziły do sklepów z zabawkami, ja wolałam pójść do sklepu sprzedającego wyposażenie biurowe. Jeszcze zanim postawiłam na niezależność finansową, moje myśli krążyły wokół biurka w biurowcach, a nie wokół kołysek i wózków dziecięcych. To nie tak, że nie chcę mieć dzieci. Po prostu nie chcę ich teraz. Nie taki był plan.

No i jest Drew. Wiem, że mnie kocha. Jednak ciąża wszystko zmienia.

Mam na myśli rozstępy, rozciągnięte cycki,

nieprzespane noce. Koniec spontanicznych wakacji. Koniec seksmaratonów.

Drew zeświruje. Z pewnością.

Siadam na ławce i obserwuję przejeżdżające samochody.

Chwilę później pewien głos zwraca moją uwagę.

– Kto jest grzecznym chłopczykiem? Andrew? Moje kochane maleństwo!

To kobieta z jasnymi lokami i ciemnymi oczami, mniej więcej w moim wieku. Trzyma zaśliniony tobołek.

Wierzycie w znaki? Ja nie.

Jednak moja babcia w nie wierzyła. Była niesamowitą kobietą – szanowaną panią archeolog, która badała plemiona indiańskie zamieszkujące południe Stanów. Uwielbiałam babcinę.

Pewnego razu powiedziała mi, że przez cały czas otaczają nas znaki. Prowadzą nas we właściwym kierunku, który wskazuje los. Wiodą ku przeznaczeniu. Jedyne, co musimy zrobić, to otworzyć oczy i serca, a znajdziemy właściwą drogę.

Zatem przyglądam się mamie z dzieckiem. I wtedy podchodzi do nich mężczyzna.

– Cześć. Przepraszam za spóźnienie. To cholerne spotkanie się przeciągnęło.

Zakładam, że to jej mąż. Mężczyzna całuje ją, po czym bierze zawiniątko i unosi nad głową.

– Oto mój mały. Cześć, kolego.

Uśmiecha się tak pięknie i ciepło, że dosłownie zapiera mi dech. Rodzice pochylają się do siebie, gdy dziecko znajduje się po środku, jakby przyciągało ich ku sobie jak magnes.

Czuję się jak podglądacz, ale moment jest tak wyjątkowy, że nie potrafię oderwać wzroku.

I wtedy to do mnie dociera. Nie tylko jestem w ciąży. Będę miała dziecko. Będziemy mieli z Drew dziecko. Całkiem nowego człowieka.

Do mojego umysłu natychmiast napływają wizje. Tak wyraźne. Tak idealne. Pojawia się w nich ciemnowłosy chłopczyk ze sprytnym uśmieszkiem Drew i moją błyskotliwą osobowością. Posiadający nasze cechy.

Będący częścią nas samych.

Przypominam sobie, jak wyglądał wczoraj Steven, gdy ogłosili z Alexandrą wielką nowinę. Pamiętam, jak przyglądał mi się Drew, gdy sądził, że nie patrzę. I jak przytulił Mackenzie, gdy zasnęła obok niego na kanapie. Przypominam sobie, jak cudownie było ją uczyć gry na gitarze.

Teraz tak cudownie będzie uczyć własne dziecko... wszystkiego.

Drew uwielbiałby kogoś, komu mógłby

pokazywać różne rzeczy – jak grać w szachy, w koszykówkę.

I jak przeklinać w czterech językach.

Drew nie jest Joeyem Martino. Rodzina wiele dla niego znaczy. Tak naprawdę – wszystko.

Będę miała z nim dziecko. *O Boże*. Ciężowe hormony muszą działać poprawnie, ponieważ w moich oczach gromadzą się łzy, które natychmiast spływają po policzkach.

Wszystko będzie dobrze.

Być może dorobię się rozstępów, ale przecież to Nowy Jork – stolica operacji plastycznych.

Jednak są rzeczy, które chcę zrobić dobrze. I zrobię. Ponieważ Drew będzie przy mnie, by mnie wspierać. By mi pomagać. Jak robi to od dnia, w którym się poznaliśmy.

Ucieszy się – jak dzieciak z niespodziewanego prezentu w świąteczny poranek. Na początku z pewnością przeżyje szok, ale – widzicie go już? Będzie podekscytowany, rozradowany.

– Przepraszam panią, ale czy dobrze się pani czuje? – Musiałam łkać głośniej, niż sądziłam, ponieważ tatuś zawiniątka patrzy na mnie z niepokojem.

Zawstydzona ocieram policzki.

– Tak, nic mi nie jest. Ja tylko... – Patrzę na ich dziecko. – Jest taki piękny. Jesteście razem tacy

cudowni.

Znów zaczynam płakać, a matka odsuwa się o krok.

Super, teraz jestem stukniętą panią z ławki.

Kobieta pyta:

– Może mamy do kogoś zadzwonić?

Biorę głęboki oddech i próbuję się pozbierać. Po chwili uśmiecham się.

– Nie. Nic mi nie jest. Naprawdę. Tylko... będę miała dziecko.

Proszę. Powiedziałam to.

Jasne, przyznałam to przed parą kompletnie obcych mi ludzi, ale mimo to się udało. Czy jestem przerażona? Oczywiście, że tak. Jednak nigdy w życiu nie stroniłam od wyzwania – dlaczego miałabym teraz zacząć to robić?

– No to gratulacje. I powodzenia.

– Dziękuję.

Rodzina odwraca się i odchodzi. Kiedy patrzę za nimi, moją uwagę zwraca witryna sklepu po przeciwnej stronie. To sklep dla fanów Jankesów, w którego oknie wisi maleńki podkoszulek z napisem: PRZYSZŁOŚĆ JANKESÓW. Mój entuzjazm rozkwita jak dziki kwiat w dżungli.

Ponieważ wiem już dokładnie, jak przekazać tę nowinę Drew.



ROZDZIAŁ SZÓSTY

Co wiecie o postrzeganiu pozazmysłowym? To nasz szósty zmysł; przecucie dotyczące wypadku, który się jeszcze nie wydarzył. Wszyscy mamy coś takiego – to dziewięćdziesiąt procent mózgu, z którego nie korzystamy.

Działa wtedy, gdy siedzicie w samochodzie i myślicie o piosence, której nie słyszałyście od lat, a ona akurat leci w radiu. Albo wtedy, gdy rano myślicie o starym znajomym, który tego samego dnia do was dzwoni.

Właściwie nigdy w coś takiego nie wierzyłam. Jednak, gdy kasjerka wydawała mi resztę za maleńki podkoszulek, poczułam wewnątrz jakieś dziwne uczucie niepokoju.

I to nie były zwykłe motyle wywołane podekscytowaniem. Raczej poważny niepokój, który pojawia się, kiedy uświadamiacie sobie, że zapomnieliście spłacić na czas kartę kredytową.

Musiałam wrócić do mieszkania. Musiałam porozmawiać z Drew – powiedzieć mu – i musiałam zrobić to natychmiast.

Ruszyłam szybko ulicą. Cóż... na tyle szybko, na

ile pozwalały mi buty na obcasie. Jednak im bliżej byłam, tym mój niepokój wzrastał. Kiedy stanęłam pod drzwiami, czułam się, jakbym się miała załamać.

Jednak spoglądając wstecz, myślę, że było to coś innego.

Prekognicja.

Przeczenie.

Stoję pod drzwiami z trzęsącymi się kolanami i spoconymi dłońmi. Naciskam klamkę.

Jeśli macie słabe nerwy, być może nie chcecie tego oglądać. Nie będzie miło.

Wchodzę do ciemnego mieszkania. Kładę klucze na stole i zdejmuję płaszcz. Włączam światła.

Wtedy go dostrzegam.

A właściwie ich.

Drew stoi na środku salonu, z rozpiętą koszulą ukazującą klatkę piersiową, po której tysiące razy wodziłam palcami. Ciepłą, opaloną skórę, którą tak uwielbiam dotykać. Trzyma prawie pustą butelkę Jacka Daniel'sa. Nie widzę jego drugiej dłoni. Jest ukryta w kręconych, kasztanowych włosach.

Kobieta jest moim dokładnym przeciwieństwem. Ma grube, rude loki i wyraźnie sztuczne piersi wielkości arbuźów. Jest wysoka – nawet bez szpilek dorównuje wzrostem Drew. Jej usta są tak

wydatne i soczyste, że Angelina Jolie mogłaby ich pozazdrościć.

I właśnie te czerwone, pełne usta poruszają się wraz z ustami Drew.

Ludzie, którzy naprawdę potrafią całować, nie wykorzystują tylko ust. Korzystają z całego ciała – języka, rąk, bioder.

Drew naprawdę dobrze całuje.

Jednak nigdy nie miałam okazji obserwować go w akcji. Nigdy nie widziałam, jak kogoś całuje. Ponieważ zawsze byłam wtedy przy nim. To mnie całował.

Ale teraz jest inaczej.

Zamieram oszołomiona. Przyglądam się. Sekundy ciągną się w nieskończoność. Wydaje się, że trwają całą wieczność.

Są dla mnie piekłem.

Drew w końcu się odsuwa. Patrzy mi w oczy, jakby wiedział, że cały czas tam stoję. Jego spojrzenie jest ostre, bezlitosne. Jego głos jest zimny jak stalowa brama podczas śnieżycy:

– Patrzcie, kto wrócił do domu.

Wiele kobiet wyobraża sobie własne reakcje, gdyby przyłapały chłopaka czy męża na zdradzie. Myślą o tym, co powiedzieć. Jak byłyby silne. Jak racjonalne i oburzone.

Jednak kiedy to dzieje się naprawdę? Kiedy to

nie tylko wyobrażenie?

Emocje są dziwnie nieobecne.

Jestem wewnątrz otepiała.

Martwa.

Mój głos jest jedynie drżącym szeptem:

– Co... co ty wyprawiasz?

Drew wzrusza ramionami.

– Postanowiłem się troszkę zabawić. Pomyślałem, dlaczego mam być jedynym, który tego nie robi?

Słyszę słowa, lecz ich nie rozumiem. Mrużę oczy i, niczym zdziwiony pies, przechylam głowę na bok.

Drew odsuwa się o krok od rudzielca i bierze łyk z butelki. Wzdryga się, przełykając.

– Wyglądasz na zdezorientowaną, Kate. Pozwól, że wytłumaczę. Pierwszą zasadą kłamstwa jest zapewnienie sobie wiarygodnego alibi. Widzisz, w tej chwili Matthew i Delores są w samolocie lecącym do Vegas. Matthew planował tę podróż już od kilku tygodni. Ma to być niespodzianka w postaci drugiego miesiąca miodowego. Wiem więc, że w południe wciskałaś mi stek bzdur. Jednak na własne oczy musiałem się przekonać, co kombinujesz. Pojechałem za tobą. Boże, po prostu kocham GPS.

Rok temu kobieta nazwiskiem Kasey Dunkin

zniknęła po nocy spędzonej na mieście z przyjaciółmi. Trąbili o tym w wiadomościach. Policja namierzyła jej komórkę i, mimo że została wielokrotnie raniona nożem i porzucona w opuszczonym magazynie, przeżyła. Następnego dnia zainstalowaliśmy sobie w telefonach tę samą aplikację.

– Śledziłeś mnie?

Pojechał za mną do gabinetu Bob. Wie, gdzie byłam. Czy to oznacza...?

– Tak. Wiem, gdzie byłaś. Wiem o wszystkim. Kurwa, widziałem cię.

Wie... Drew wie, że jestem w ciąży.

I najwyraźniej wcale nie jest tym zachwycony.

Mówię szybko podniesionym głosem:

– Wiesz? – Wskazuję na kobietę, która przygląda nam się, jakbyśmy odgrywali epizod z jakiejś brazylijskiej telenoweli. – I w taki sposób reagujesz?

Drew wygląda na zdezorientowanego.

– Czy ty w ogóle mnie znasz? A jak według ciebie miałem zareagować?

Już wcześniej widziałam wkurzonego Drew. Drew, który z frustracji nie potrafił myśleć.

Jednak to coś innego.

Teraz jest... okrutny.

Pyta:

– Nawet nie próbujesz zaprzeczać? Tłumaczyć, że mi się przywidziało? – Przez chwilę marszczy czoło. Wygląda, jakby cierpiał, jak torturowana ofiara, która w końcu postanawia przerwać milczenie. – Masz zamiar powiedzieć, że się myłę, Kate?

Mruga i ból znika z jego twarzy. Jestem pewna, że go sobie wyobraziłam. Tylko chciałam go tam widzieć.

Krzyżuję ręce na piersiach.

– Nie będę z tobą o tym rozmawiała przy świadkach.

Drew z uporem zaciska zęby.

– Masz zamiar to zakończyć?

Mimowolnie się cofam. Moje dłonie w geście obronnym dotykają brzucha.

– Co?

Powtarza, zdziwiony moją reakcją:

– Pytałem, kurwa, czy masz zamiar to zakończyć.

Generalnie Drew jest zwolennikiem wolnego wyboru. Mimo katolickiego wychowania szanuje i kocha kobiety w swojej rodzinie tak bardzo, że nie chce pozwolić, by jakiś zgrzybiały dziadek w stolicy dyktował, co mogą robić, a czego nie z własnymi ciałami.

Jednak ze względów moralnych i emocjonalnych

zawsze uważałam, że jest obrońcą życia poczętego. Zatem to, że stoi i domaga się przerwania ciąży – zabicia naszego dziecka, jest po prostu... niezrozumiałe.

– Nie... Nie miałam czasu o tym pomyśleć.

Śmieje się gorzko.

– No to lepiej zacznij myśleć, bo odkąd wiem o tej twojej kurewskiej, małej niedyskrecji, nawet nie chcę na ciebie patrzeć, nie mówiąc o całej reszcie.

Jego słowa uderzają we mnie niczym podmuch wiatru w chłodny dzień. Taki, który zapiera dech.

Drew nie jest jak Joey Martino.

Jest jeszcze gorszy.

Chce, bym wybrała. Stawia mi ultimatum. Jak zrobił w sprawie Billy'ego. I co ma, do diabła, na myśli, mówiąc o mojej niedyskrecji? Jakbym tylko ja była temu winna.

Wtedy dociera do mnie jego gniew. Jego mściwość. Wszystko nabiera sensu.

– Myślisz, że to zaplanowałam? Uważasz, że zrobiłam to celowo?

Uśmiecha się, a kiedy mówi, nawet głuchy usłyszałby sarkazm:

– Nie, oczywiście, że nie. Takie rzeczy same się zdarzają, prawda? Nawet kiedy ich nie chcesz.

Otwieram usta, by wyjaśnić, by zacząć się kłócić, ale w tym samym momencie striptizerka zaczyna

chichotać. Spoglądam na nią.

– Wynoś się z mojego domu, zanim wywalę cię z resztą śmieci.

W chwilach takich jak ta kobieta jest w stanie sponiewierać drugą kobietę szybciej niż drwal ścinający choinkę na Boże Narodzenie. Nie dlatego, że jesteśmy uparte czy zjadliwe. Nie. Dlatego, że łatwiej jest zaatakować bezimienną kobietę, niż przyznać, że wina leży po stronie faceta, który powinien nas kochać. Mężczyzny, który powinien być wierny.

A nie jest.

Ruda mówi:

– Przykro mi, skarbie, ale nie ty płacisz. Pójdę wtedy, kiedy poprosi mnie o to ten, który mnie wynajął.

Drew obejmuje ją w talii i uśmiecha się z dumą.

– Ona nigdzie nie idzie. Dopiero zaczęliśmy.

Znajduję w sobie siłę, by unieść brew. Staram się odbić piłeczkę.

– Musisz za to płacić, Drew? To żalosne.

Szczerzy się w odpowiedzi.

– Nie oszukuj się, kochanie. Płaciłem za to przez ostatnie dwa lata. Byłaś tylko nieco droższa niż jakaś tam przeciętna kurwa.

Powinnam była wiedzieć. Kłócenie się z Drew jest jak rozmowa z terrorystą. On nie zna granic,

nic go nie powstrzyma. Potrafi przekroczyć wszelkie granice, by wygrać.

– Chociaż muszę przyznać, że pomimo okoliczności, były to dobrze wydane pieniądze. Zwłaszcza ta akcja przy zlewie – mruga do mnie jednym okiem – była warta każdego centa.

Umieram. Każde jego słowo tnie moją duszę niczym ostrze skórę. Widzicie krew? Sączy się z każdą potworną sylabą. Wylewa się, sprawiając, że wszystko staje się bardziej bolesne.

Jestem zaskoczona. Choć nie powinnam.

Drew Evans nie pali mostów. On podkłada pod nie dynamit, wysadzając z całą przylegającą górą oraz wszelkimi istotami żywymi mającymi nieszczęście znaleźć się w jego pobliżu.

Drew niczego nie robi połowicznie. Dlaczego zniszczenie mnie miałoby się czymś różnić?

Odwracam się do niego plecami i odchodzę, nim rozsypię się na jego oczach niczym egipska piramida.

Podbiega do mnie i łapie mnie za rękę.

– Gdzie się wybierasz, Kate? Zostań, może nauczysz się nowych sztuczek.

Wiecie, że osobowość potrafi sprawić, że człowiek jest atrakcyjniejszy? Jak niektóre dzieciaki w liceum, które pomimo trądziku i braku mięśni są popularne, ponieważ opowiadają

najśmieszniejsze kawały i najlepsze historyjki.

Chciałabym móc stwierdzić, że działa to również w drugą stronę. Chciałabym powiedzieć, że okropne słowa zmieniły Drew w potwora.

Jednak nie mogę tego zrobić.

Spójrzcie na niego.

Wyobrażam sobie, że właśnie tak wyglądał Lucyfer, gdy Bóg wyrzucił go z nieba. Zgorzkniały i złamany.

Jednak nadal boleśnie piękny.

Wyrywam się i piszczę prawie histerycznie:

– Nie dotykaj mnie! Nigdy mnie już, kurwa, nie dotykaj!

Uśmiecha się powoli, ze spokojem na twarzy. Wyciera dłoń o spodnie, jakby dotykał właśnie czegoś brudnego.

– Żaden problem.

Niedobrze mi. Zaraz rzygnę na jego buty od Bruno Magliego.

I nie ma to nic wspólnego z ciążą.

Idę korytarzem wymuszonym marszem, ponieważ nie chcę, by Drew widział, jak biegnę.



Ledwo udaje mi się zdążyć do łazienki. Padam na kolana i przytrzymuję się toalety tak mocno, aż łamią mi się paznokcie, a knykcie bieleją. Kurczy mi się żołądek, więc wymiotuję gwałtownie. Krew szumi mi w uszach, a kwas pali w gardle.

Kaszlę i łkam, lecz oczy mam suche. Nie ma w nich łez. Jeszcze nie. Pewnie przyjdą później.

Jak mógł to zrobić? Mówił, że nigdy do tego nie dopuści... a ja mu zaufałam. Kiedy mówił, że mnie kocha, kiedy obiecywał, że mnie nie skrzywdzi, wierzyłam mu.

Nigdy nie rozmawialiśmy o dzieciach. Nie mówiliśmy, czy chcemy je mieć, czy też nie. Jednak gdybym wiedziała, że tak będzie, uważałabym bardziej. Byłabym...

Boże.

Posłuchajcie mnie tylko. Mój chłopak w salonie ma na kolanach inną kobietę, a ja użalam się nad tym, co mogłam zrobić, by do tego nie dopuścić.

A ja nazwałam Drew żalonym.

Kiedy nie mam już absolutnie nic w żołądku, wstaję i przeglądam się w lustrze. Widzę blade policzki i zaczerwienione oczy w twarzy, której nie rozpoznaję. W kółko przemywam ją wodą. Być może Drew mnie zniszczył – zmiażdżył mnie wstydem i niesprawiedliwymi oskarżeniami – jednak prędzej piekło zamarznie, nim mu to

okażę.

Wpadam do sypialni, wyciągam z szafy torbę i na ślepo wkładam do niej, co wpada mi w ręce. Muszę stąd odejść. Od niego. Od wszystkiego, co mi o nim przypomina. Wiem, co myślicie: „Rzucasz karierę, wszystko, na co tak ciężko pracowałaś?”.

I macie rację – tak właśnie robię. Jednak to wszystko nie ma w tej chwili znaczenia. Jestem jak jeden z tych biedaków, którzy jedenastego września wyskakiwali z okien dwóch wież. Wiedzieli, że to ich nie uratuje, lecz ogień był zbyt gorący i musieli coś zrobić, cokolwiek, by odsunąć się od źródła bólu.

Zapinam torbę i zakładam ją na ramię. Opieram dłoń na drzwiach i biorę głęboki wdech. Jeden, drugi, trzeci... Mogę to zrobić. Potrafię. Muszę tylko dotrzeć do drzwi. To tylko kilka kroków.

Idę korytarzem.

Drew siedzi w wyluzowanej pozycji na kanapie, obserwując tańczącą przed nim kobietę, nadal trzymając prawie pustą butelkę whisky. Patrzą na jego twarz. I przez chwilę pozwalam sobie wspomnieć jego uśmiech – wtedy w barze – tak chłopięco uroczy. Przypominam sobie jego usta, jego dłonie w pierwszą noc, gdy się kochaliśmy, tutaj, w tym mieszkaniu. Żar i pożądanie. Każde słowo, każdy czuły gest, które nas od tamtej pory

łączyły.

Następnie wszystko to blokuje.

Zamykam w stalowej skrzyni, którą wrzucam w najdalszy kąt umysłu. Aby otworzyć ją dużo, dużo później. Kiedy już będę mogła rozlecieć się na kawałki.

Wchodzę do salonu i zatrzymuję się zaledwie kilka kroków przed kanapą. Ruda tańczy obok, ale nawet na nią nie spoglądam. Patrzę Drew prosto w oczy.

Mówię oschłym, ochrypłym, jednak zaskakująco stanowczym głosem:

– Skończyłam. Z tobą. Ze wszystkim. Nie szukaj mnie za tydzień, by powiedzieć, jak bardzo ci przykro. Nie dzwoń i nie mów, że zmieniłeś zdanie. Z nami koniec. Nigdy nie chcę cię już widzieć.

Ilu rodziców mówi nastolatkom, że mają szlaban na zawsze? Ilu nastolatków odpowiada, że już się nigdy do nich nie odezwą?

„Zawsze”. „Nigdy”. To takie wielkie słowa. Takie ostateczne.

I tak puste.

Tak naprawdę nie mamy ich na myśli. To tylko słowa, które wypowiadamy, czekając na jakąś reakcję. Błagając o odpowiedź. Prawdę mówiąc, gdyby Drew za tydzień, miesiąc czy rok przyszedł

i powiedział, że popełnił błąd, i że chce wrócić, w mgnieniu oka przyjeżdżabym go z powrotem.

Widzicie już, co chciałam wcześniej powiedzieć? Nie jestem silną kobietą. Dobrze tylko taką gram.

Drew odzywa się pustym głosem:

– Brzmi dobrze. – Wznosi toast butelką. – Obrzydliwego, kurewskiego życia, Kate. I zamknij za sobą drzwi, nie chcę, by ktoś mi przeszkadzał.

Chciałabym wam powiedzieć, że się zawahała. Chciałabym móc stwierdzić, że w wyrazie jego twarzy była nuta żalu lub cień smutku w oczach. Naprawdę bym chciała, żeby tak było.

Jednak jego twarz jest bez wyrazu. Bez życia, niczym ciemnowłosa lalka Ken.

A ja chcę krzyknąć. Chcę nim potrząsnąć, uderzyć go w twarz, rozbić mu coś na głowie. Chcę, jednak tego nie robię. Ponieważ, kiedy uderzacie w mur, możecie oczekiwać jedynie złamanej ręki.

Zatem zabieram torbę, unoszę głowę i wychodzę.



ROZDZIAŁ SIÓDMY

Cechą charakterystyczną osobowości typu A jest posiadanie wytyczonych celów i określenie strategii, by je osiągnąć. Zdecydowanie mam osobowość typu A.

Planowanie jest moją religią; lista rzeczy do zrobienia – moją biblią.

Jednak, kiedy docieram do holu budynku, który przez dwa lata był mi domem, zamieram. Po raz pierwszy w życiu nie wiem, co zrobić. Nie wiem, dokąd iść. Jestem przerażona. To uczucie nieważkości – tak musi czuć się astronauta odcięty od kotwicy, dryfujący w przestrzeni kosmicznej. Opuszczony. Skazany na zagładę.

Moje życie kręci się wokół Drew. Nigdy nie sądziłam, że będę potrzebowała planu awaryjnego.

Najpierw zaczynają drzeć mi dłonie, później ramiona, w końcu kolana. Moje serce przyspiesza, podobnie jak oddech. To adrenalina. Reakcja obronna organizmu na nietypową sytuację.

To nieświadomy odruch.

W głowie mi się kręci. Moje ciało chce, bym się ruszyła. Żebym poszła. Gdziekolwiek, byle nie

zostawać tutaj. *Biegnij, biegnij, ile masz sił, by nikt cię nie dogonił.*

Szczęśliwi, których ktoś ściga.

– Panno Brooks?

Nie od razu go słyszę. Głos własnej paniki jest zbyt ogłuszający – jakby w jaskini poderwało się do lotu tysiące nietoperzy. Nietoperzy, które mnie dotykają, przytłaczają, powalają. Nagle ktoś dotyka mojego ramienia, sprowadzając na ziemię.

– Panno Brooks?

Siwiejący pan, spoglądający z zainteresowaniem zielonymi oczyma spod daszka czarnej czapki? To Lou, nasz portier. Miły facet, od dwudziestu trzech lat żonaty, ma studiujące córki.

Zauważyliście, że portierzy zawsze mają na imię Lou, Harry lub Sam? Jakby ich imiona definiowały ich zajęcie.

– Mogę pani w czymś pomóc?

Czy może mi pomóc?

W tej chwili przydałaby mi się lobotomia. Nic wielkiego – młotek i szpikulec do lodu, bym została członkiem klubu nieskalanych umysłów.

– Dobrze się pani czuje?

Jak to mówią? „Lepiej kochać i stracić, niż nie kochać w ogóle”. Co za banał. Ktokolwiek go wymyślił, nic nie wiedział o miłości. Ignorancja jest lepsza; mniej bolesna.

Jednak zaznać perfekcji – dotknąć jej, zasmakować, oddychać nią każdego dnia – a potem ją stracić? To gorsze niż agonia. Boli mnie od tego każdy centymetr skóry.

– Muszę... Muszę iść.

Tak, to mój głos. Jego oszołomiona i dezorientowana wersja, jakbym po karambolu twierdziła, że było zielone.

To nie powinno się tak skończyć. To w ogóle nie powinno się kończyć. Pisał dla mnie na niebie, pamiętacie?

Na zawsze.

Lou patrzy na moją torbę.

– Jedzie pani na lotnisko? Jest pani spóźniona na samolot?

Jego słowa odbijają się echem w otchłani, w której aktualnie przebywa mój umysł.

„Lotnisko...”, „Lotnisko...”, „Lotnisko...”, „Samolot...”, „Samolot...”, „Samolot...”.

Gdy pacjenci z alzheimerem tracą pamięć, zaczyna się od najświeższych wspomnień. Najstarsze, takie jak adres domu, w którym się wychowywali, nazwisko nauczycielki z pierwszej klasy podstawówki, nadal pamiętają, ponieważ te wspomnienia są zakorzenione. Te informacje są niemal instynktowne, pierwotne jak umiejętność przetykania.

W tym momencie instynkt przejmuję nade mną kontrolę. Zaczynam planować.

– Tak... Tak, muszę się dostać na lotnisko.

Wiecie coś o wilkach? To stadne zwierzęta. Żyją w sforach. Z wyjątkiem sytuacji, gdy są ranne.

Kiedy tak się dzieje, ranny wilk wymyka się nocą ze stada, by nie przyciągnąć do niego innych drapieżników. Wraca do ostatniej nory, jaką zajmowała sfora. Ponieważ jest znajoma. Bezpieczna. Zatem zostaje w niej, by wyzdrowieć. Lub umrzeć.

– Lou? – Odwraca się do mnie. – Potrzebuję kartki i długopisu. Muszę wysłać list. Nadasz go dla mnie?

Nowojorscy portierzy nie tylko pilnują drzwi. Są też kurierami, ochroniarzami i posłańcami.

– Oczywiście, panno Brooks.

Podaje mi czystą kartkę papieru i markowe, drogie pióro, po czym wychodzi przed budynek, by złapać dla mnie taksówkę. Siadam na ławce i piszę pospiesznie. Każda dziewięciolatka powie wam, jak najlepiej zerwać plaster.

To jakby list pożegnalny. List samobójcy. Przynajmniej dla mojej kariery.

Pan John Evans

Ze względu na nieprzewidziane sprawy osobiste

nie jestem w stanie wywiązywać się z umowy o pracę z firmą Evans, Reinhart i Fisher. Proszę o wypowiedzenie umowy w trybie natychmiastowym.

*Z ubolewaniem,
Katherine Brooks*

Pismo jest zimne, wiem. Jednak profesjonalizm jest jedyną tarczą, która mi pozostała.

Wiecie, dla dziewczyny akceptacja ojca jest czymś wyjątkowym. Może to jakaś pozostałość z czasów, kiedy córki były ich własnością, wymieniane i sprzedawane za najwyższą cenę. Bez względu na przyczynę aprobatą ojca jest ważna, ma duże znaczenie.

Kiedy miałam dziesięć lat, miasto Greenville oferowało dzieciakom grę w małej lidze baseballa. Ponieważ mój ojciec nie miał syna, trenował mnie całymi godzinami, bym potrafiła zdobywać punkty w grze. Byłam chłopczycą, więc nie było to trudne.

Pewnego roku tata zdecydował, że nie powinnam grać z dziewczynkami, że gra z chłopakami będzie większym wyzwaniem.

I wierzyłam w to, ponieważ on wierzył we mnie.

Billy się ze mnie nabijał; twierdził, że skończę ze złamanym nosem. Delores przychodziła na mecze malować paznokcie na trybunach. A ja aktywnie

grałam. Pod koniec sezonu byłam najlepszym miotaczem w całej lidze. Tata był tak dumny, że umieścił mój puchar w restauracji na blacie, tuż obok kasy, i opowiadał każdemu, kto chciał słuchać, jak go zdobyłam. A nawet tym, którzy słuchać nie chcieli.

Odszedł trzy lata później.

Było to paraliżujące, ponieważ podobnie jak niewidomy, który wcześniej widział, byłam świadoma, czego mi zabrakło. Później nigdy już nie grałam w baseball.

Wiele czasu upłynęło i poznałam Johna Evansa. Zatrudnił mnie – wybrał spośród tysiąca innych kandydatów. Prowadził moją karierę. Był dumny z każdej mojej umowy, z każdego sukcesu.

I przez chwilę wiedziałam, jak to jest znów mieć ojca.

To John popchnął mnie ku Drew. I nasze losy splotły się jak bluszcz z drzewem. No wiecie – jego rodzina stała się moją rodziną, z wszystkim, co się z tym wiąże. Z łagodnymi upomnieniami Anny, opiekuńczością Alexandry, humorem Stevena, droczeniem się Matthew... ze słodyczą Mackenzie.

Teraz także ich straciłam.

Bo choć zapewne nie zgodzą się z tym, co zrobił mi Drew, jak mnie potraktował, to znacie powiedzenie „krew nie woda”. W końcu i tak nie

staną po mojej stronie, nawet pomimo odrażającej decyzji Drew.

– Panno Brooks, samochód już czeka. Jest pani gotowa?

Przed złożeniem kartki dopisuję u dołu dwa słowa. Dwa boleśnie niewystarczające słowa:

Przykro mi.

Zmuszam się, by wstać, po czym podaję kopertę Lou. I wychodzę. Za sobą słyszę dzwonek windy, więc obracam się i wpatruję w duże, złote drzwi.

I czekam. Z nadzieją.

Ponieważ tak dzieje się w filmach, prawda? Tak działo się w każdym filmie z Johnem Hughesem, na których się wychowałam. Nim dziewczyna odchodzi lub odjeżdża taksówką, facet pędzi za nią ulicą.

Goni ją. Wołając jej imię. Mówiąc, że się pomylił. Potem się całują. Gra końcowa muzyka i wyjeżdżają napisy. Tego teraz pragnę. Szczęśliwego zakończenia, na które wszyscy czekają.

Wstrzymuję oddech, gdy drzwi się otwierają.

Chcecie zgadywać, kto jest w środku? Nie krępujcie się – poczekam z opowieścią.

Winda jest pusta.

Czuję, jak moja klatka piersiowa zapada się w sobie. Z bólu oddycham szybko i płytko, jak

wtedy, gdy skręcicie kostkę. Obraz mi się zamazuje, gdy drzwi powoli się zamykają. To takie symboliczne. Najwyraźniej moje własne drzwi się zamykają, co?

Wycieram oczy i pociągam nosem. Zarzucam torbę na ramię.

– Tak, Lou. Jestem gotowa.



ROZDZIAŁ ÓSMY

Astronomiczny dupek.

Mówią, że strata jest procesem. Wieloetapowym.

Bezapelacyjna szuja.

Rozstania przypominają śmierć. To koniec osoby, którą byłaś, koniec życia, jakie planowałaś.

Ciotowaty ćwok.

Pierwszym etapem jest szok. Odrętwienie. Wyglądasz jak jedno z tych drzew po pożarze, które jest puste i wypalone, lecz jakimś cudem nadal stoi. Jakby ktoś zapomniał mu powiedzieć, że powinno leżeć, bo jest martwe.

Drań do kwadratu.

Chcecie zgadywać, jaki jest drugi etap?

Tak, to gniew.

Gniew typu: „Przez to, co mi zrobiłeś, jest mi teraz lepiej bez ciebie; i tak cię nigdy nie lubiłam”.

Ewidentnie wielki kretyn.

Nie, to za słabe.

Emocjonalnie opóźniona kreatura.

O, tak lepiej. Wymyślanie wyzwisk według alfabetu? Zabawa, w którą grałyśmy z Delores na studiach, by dać upust frustracji wywołanej przez

profesorów ostrych jak kosy, którzy nie ułatwiali nam życia.

Możecie dołączyć w każdej chwili. To oczyszczające.

I z jakiegoś powodu łatwiejsze, kiedy jesteście wyższymi na wykładowcach studentkami.

Fajtlapa na trzech nogach.

A właśnie, o czym opowiadałam? A tak – o gniewie.

Gnój jakich mało.

Furia jest dobra. Paliwem jest ogień. Mocą jest para. A wściekłość trzyma was na nogach, choć tak naprawdę macie ochotę zwinąć się w kulkę niczym wystraszony jeżyk.

Hultaj bez gaci.

Powiem wam coś: żonaci mężczyźni żyją od siedmiu do dziesięciu lat dłużej niż kawalerowie. Za to mężatki umierają mniej więcej osiem lat wcześniej niż ich samotne koleżanki.

Dziwicie się?

Ja też nie.

Idiota kosmicznych rozmiarów.

Mężczyźni to pasożyty. Robaki wysysające z umysłu życie, gnieźdzące się w genitaliach, składające jaja w nerkach.

A Drew Evans jest ich liderem.

Jodłujący wieprz.

Stewardessa pyta, czy życzę sobie coś do picia.
Jestem na pokładzie samolotu. Wspominałam?
Odmawiam napojów. Nie chcę korzystać
z podniebnej toalety. Mam zbyt wiele związanych
z nią wspomnień. Fajnych, słodkich wspomnień.

Kawał chama.

Widzicie – Drew nie lubi latać. Nigdy jednak
z tego nie zrezygnował, nigdy nie pozwolił, by go
to w jakiś sposób ograniczało, mimo że nie czuje
się dobrze w samolocie.

Latanie wymaga przekazania kontroli komuś
innemu. A wszystkie wiemy, że Drew ma z tym
problem wielkości całego Wielkiego Kanionu.

Tuż przed startem jest zdenerwowany. Spięty.
Gdy na pokładzie gaśnie kontrolka zapięcia
pasów, proponuje wspólne wyjście do toalety.

Aby uwolnić nieco napięcia.

Przecież nie mogłam odmawiać.

Klub Mile High^[1]? Mam złotą kartę
członkowską.

Luj parkowy.

Kiedy stewardessa przepycha wózek, opadam
w fotelu, zamykam oczy i rozmyślam o tym,
o czym marzy każda wzgardzona kobieta.

O zemście.

Cierpieniu.

Karze.

Menda społeczna.

Nie to, żebym mu chciała obciąć fiuta. Najpotężniejszą bronią kobiety jest poczucie winy – jest bardziej śmiertelne niż maczeta. Zatem scenariusze mojej zemsty krążą wokół śmierci...

Mojej śmierci.

Czasami to rak, czasami poród, ale w każdym przypadku, Drew łąka przy moim łożu śmierci, błagając o wybaczenie, ponieważ tak bardzo się mylił.

I tak bardzo mu przykro.

Jednak jest już za późno. Odchodzę, a fakt, że nie mógł się ze mną pogodzić, niszczy go, rozbija. Łamie.

Wina zżera go powoli, niczym coca-cola zęby.

Nędzna kreatura.

Spędza resztę życia w samotności, ubrany na czarno, niczym włoska starowinka.

Oprych z syfilisem.

Uśmiecham się.

To taka piękna wizja.

Pieprzony padalec.

Podwójne punkty za oba wyrazy na tę samą literę.

Delores byłaby dumna.

Robak w krowim łajnie.

O tak – to było obrzydliwe.

Skunks rozjechany na miazgę.

Wiecie co, myślę, że tak jest lepiej. Bez zbędnego pieprzenia, jeśli obiektywnie spojrzę na sytuację, tak jest lepiej.

Drew wyświadczył mi przysługę.

Świński wstręciuch.

Chociaż lubi ubierać się wytworny garnitur i buty dorosłego faceta, emocjonalnie nadal jest dzieckiem. Gówniarzem.

Tytaniczna łachudra.

Takim, z którym nikt nie chce się bawić. Ponieważ, jeśli gra nie toczy się po jego myśli, rozbija planszę na kawałki.

Uciekająca wesz.

Kto potrzebuje takiego partnera?

Ja na pewno nie. Nie. Zasługuję na coś więcej.

Wałkoń bez piątej klepki.

Mam zamiar to przetrwać. Jestem cholerną Kate Brooks.

Uda mi się.

Będę silna.

Wytrwam.

Zgniły fiut.

Dobrze radziłam sobie przed Drew, to i poradzę sobie po nim.

Tylko dlatego, że nigdy nie byłam sama, wcale nie oznacza, że nie mogę być.

Nie potrzebuję go.
Naprawdę.
Źródło wszelakiego gówna.
Jesteście przekonane?
Źrąca rzygi żmija.
Tak.
Ja też nie.



Wiem, o czym myślicie. „Dlaczego?” To ważne pytanie, prawda? Słynne. Stawiane sobie za każdym razem, gdy dotknie nas tragedia.

Dlaczego, dlaczego, dlaczego?

Ludzie lubią wyjaśnienia. Pragniemy znajdować powody, coś, co można obarczyć winą. Tama była zbyt niska, kierowca był pijany, jej sukienka była za krótka... Lista nie ma końca.

Podróż z Akron do Greenville zajmuje jakieś trzy godziny. To sporo czasu do namysłu. Całą tę drogę spędzam na zastanawianiu się „dlaczego?”.

Gdybym miała okazję, zapytałabym go o to. Chciałabym móc powiedzieć, że to wszystko, to jakiś koszmarny błąd. Nieporozumienie. Jak w *Romeo i Julii* lub w *West Side Story*.

Ale jakie są na to szanse? Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że Drew nie dorósł do podjęcia odpowiedzialności. Do ustatkowania się.

Spójrzcie na moją dłoń. Widzicie jakiś pierścionek? To nie jest przypadek.

Jest wspaniałym wujkiem Mackenzie. Opiekuńczym. Pełnym poświęcenia. Takim, który dwa dni przed świętami pobiłby się z innym klientem o ostatnią przytulankę Elmo lub o patchworkową lalkę Cabbage. Zrobiłby dla małej wszystko.

Rola ojca polega jednak na czymś innym. Wszystko spoczywa na jego barkach, ale jednocześnie nic od niego nie zależy. I myślę, że właśnie z tą sytuacją Drew nie byłby w stanie sobie poradzić.

Obwiniam o to Annę i Alexandrę. Nie zrozumcie mnie źle, są świetne, ale... Może wyjaśnię to w ten sposób: ostatniego lata Alexandra zaprosiła nas do domu jej rodziców na wsi, na urodziny Mackenzie. Spóźniliśmy się z Drew, ponieważ zatrzymaliśmy się na jednej z polnych dróg.

Tak przy okazji seks w samochodzie jest świetny. Jeśli chcecie poczuć się młode i wyzwolone, zróbcie to na tylnym siedzeniu. Ale znów odbiegam od tematu.

Zatem, gdy spędzaliśmy czas przy basenie, udało

mi się porwać kawałek pizzy. Ale czy Drew się ruszył? Oczywiście, że nie. Matka ukroiła mu świeżutki kawałeczek w kuchni, a siostra podała mu go wprost do leżaka, razem z zimnym piwkiem.

A kiedy złamał nogę? Cierpiał również na jakąś wczesną odmianę choroby Parkinsona, ponieważ nie potrafił odgrzać sobie jedzenia. Lub – nie daj Boże – zjeść zimnego. O nie.

Właśnie tego go nauczyły, ponieważ zawsze tak go traktowały. Nadopiekuńczo rozpieszczając.

Nie mogę przestać myśleć o tym, że gdyby Anna z Alexandrą raz na jakiś czas pozwoliły mu ruszyć tyłek po cholerną pizzę, lepiej przyjąłby wiadomość o dziecku. Byłby bardziej przygotowany.

Jednak w końcowym rozliczeniu to niczego nie zmienia. Odpowiedź na pytanie „dlaczego” nie ma znaczenia.

Zatem, mijając tabliczkę GREENVILLE WITA, obiecuję sobie, że już nigdy nie zapytam „dlaczego”. Nie będę tracić na to energii.

Ale, wiecie co? Bóg ma chore poczucie humoru.

Za kilka dni znów będę pytała „dlaczego” z zupełnie innego, nieskończenie bardziej niszczycielskiego powodu. Przykro mi, że muszę wam to powiedzieć, ale tak, będzie o wiele gorzej.

Zobaczycie.



Odwiedziłyście wiele lat po maturze swoje liceum? Ławki, ściany, okna wszystko wygląda tak samo... a jednak inaczej, prawda?

Jest jakby mniejsze.

Zawsze tak jest.

Kiedy jechałam główną ulicą w stronę domu, wszystko wydawało się dokładnie takie, jak zapamiętałam, a jednak inne. Czerwona markiza sklepu komputerowego pana Raynolda jest teraz zielona, zamiast apteki Falcone jest Rite Aid. Chociaż krzykliwe, różowe palemki nadal stoją w salonie piękności Penny, u której przed studniówką robiłyśmy sobie z Delores paznokcie. Przed restauracją moich rodziców wciąż stoi stara, zielona ławka, o którą opierałam rower, gdy wracałam ze szkoły.

Parkuję samochód i wysiadam. Zakładam torbę na ramię. Jest południe, słońce świeci wysoko i grzeje, przez co powietrze pachnie piaskiem i rozgrzanym asfaltem. Przechodzę przez ulicę i otwieram drzwi. Otacza mnie szum rozmów, po

czym w moją stronę odwraca się kilka znajomych twarzy.

Większość zgromadzonych tutaj ludzi zna mnie od urodzenia. Dla nich jestem córką Nate'a i Carol, ciemnowłosą dziewczynką z warkoczykami, której się udało. Dziewczyną, która skończyła finanse i sprawiła, że matka jest z niej dumna. Jestem przykładem sukcesu, o którym opowiadają nauczyciele w gimnazjum, w nadziei, że to zainspiruje uczniów do wielkich marzeń, większych niż praca w lokalnej fabryce części samochodowych.

Uśmiecham się grzecznie, pozdrawiam i witam się, przechodząc między stolikami i kierując się do drzwi prowadzących na zaplecze. Widzicie tabliczkę WEJŚCIE DLA PERSONELU? Wzdycham z ulgą na jej widok.

Cały gniew, który wrzał we mnie – który mnie tu sprowadził – wyparowuje. Dopada mnie zmęczenie. Nie czuję nóg, jakbym przekroczyła linię mety po ponadpiętnastokilometrowym biegu pod górę.

Otwieram drzwi. Najpierw dostrzegam mamę, która pochyłona nad stołem, sprawdza listę dostaw.

Piękna, prawda? Wiem, że większość córek uważa, że ich matki są ładne, ale moja naprawdę

taka jest. Podobnie jak ja ściąga ciemne włosy w kucyk. Ma jasną skórę z niewielkimi zmarszczkami wokół ust i oczu. Jeśli zmarszczki są sprawą genów, trafiłam z nimi w dziesiątkę.

Jednak poza wyglądem moja matka ma piękne wnętrze. Brzmi to strasznie banalnie, lecz to prawda. Jest zrównoważona. Spokojna. Niezawodna. Życie nie zawsze było dla niej łatwe i przyjemne. Jednak z wdziękiem i godnością parła naprzód. Mama nie jest optymistką. Jest ostoją spokoju, niczym posąg po huraganie.

Drzwi zamykają się za mną, więc mama unosi głowę. Jej oczy rozpromieniają się, kiedy szeroko się uśmiecha.

– Katie! – Odkłada listę i pędzi do mnie. Wtedy dostrzega mój wyraz twarzy. Jej uśmiech znika niczym piórko na wietrze. Mówi ochrypłym z niepokoju głosem: – Kate, co się stało?

Moje ręce poddają się i torba upada na podłogę.

Mama podchodzi o krok.

– Katie? Skarbie? Co się stało?

To doskonałe pytanie. Powinnam odpowiedzieć – jednak nie potrafię, nakrywam dłońmi twarz i nagle zaczynam szlochać.

Mama bierze mnie w ramiona, czuję świeży, kwiatowy zapach. Tuli mnie mocno, zapewniając bezpieczeństwo, jak to tylko matka potrafi.

Pamiętacie stalową skrzynię? Tak, właśnie się otwiera. Wszystko, co w niej zamknęłam wylewa się na zewnątrz.



[\[1\]](#) Klub Mile High – elitarna społeczność osób, które uprawiały seks, lecąc samolotem (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Człowiek spędza przeciętnie jedną trzecią swojego życia w łóżku. Osiem tysięcy trzysta trzydzieści trzy dni. Dwieście tysięcy godzin...

Dlaczego wam o tym mówię? Ponieważ nie powinniście żałować pieniędzy na przyzwoitą pościel. Dobra kołdra jest bezcenna. Za młodu chroni przed potworami. Na starość wygrzewa kości.

Mama otula mnie pierzyną aż po brodę w moim starym łóżku, jak wtedy, gdy miałam sześć lat i bałam się burzy. Po moim załamaniu na zapleczu zaprowadziła mnie na górę, do małego, ale uroczego trzypokojowego mieszkanca, gdzie dorastałam. Tu mama nadal mieszka. To dom mojej młodości.

Ociera łzy nadal płynące mi po policzkach. Łkam i jąkam się:

– Je... je... jestem taka... głu... głupia...

W liceum byłam najlepszą uczennicą. Ukończyłam finanse na Whorton.

Nie potrafię się jednak odnaleźć. Czuję, że powinnam była wiedzieć, powinnam się była

domyślić, że tak będzie. Mimo wszystko mieszkałam z Drew dwa lata. Ile czasu potrzebuje leopold, by zmienić cętki?

Och, prawda – one są niezmiennie.

Mama odsuwa mi włosy z twarzy.

– No już, cichutko.

Mam opuchnięte oczy, zatkaany nos, przez co mówię jak dziecko:

– Co mam zro... zrobić, mam...?

Uśmiecha się łagodnie, jakby знаła wszystkie odpowiedzi. Jakby miała moc kojenia wszelkiego bólu – nawet tego – jak to zwykle robiła, całując zdarte kolana.

– Musisz się przespać. Jesteś zmęczona. – Gładzi mnie po włosach. To kojące. Relaksujące. – Śpij... Zaśnij, moja mała, słodka dziewczynko.

Tata nauczył mnie grać na gitarze, ale głos mam po matce.

Zamykam ciężkie powieki, a mama wdycha. Zaczyna śpiewać mi piosenkę Melissy Etheridge o aniołach, zapewniając mnie, że wszystko będzie dobrze. Tę samą piosenkę śpiewała w noc śmierci taty – spałyśmy wtedy razem w tym łóżku, ponieważ nie potrafiła zasnąć sama w ich małżeńskim łóżku.

Pod wpływem głosu matki w końcu poddaję się i zasypiam.



Znacie ten stan, kiedy macie gorączkę i leżycie w łóżku, rzucając się na nim, aż prześcieradło zaplątuje się wam między nogami? Kiedy nie śpicie, ale nie jesteście też przytomne? Budzicie się i z przebłyskiem świadomości orientujecie się wtedy, że za oknem już ciemno, jednak wszystko inne jest rozmyte i nieostre? Takie właśnie były dwa ostatnie dni. Były maratonem słońca i księżyca, płaczu i wymiotów oraz zabierania przez mamę nietkniętego jedzenia. Chwile między snem a jawą były najtrudniejsze. Zaczęłam nawet wierzyć, że to jakiś koszmar spowodowany zbyt dużą dawką powtórek odcinków *Beverly Hills 90210*. Czułam za plecami poduszkę i mogłabym przysiąc, że to Drew budzący mnie w nasz tradycyjny sposób. Każdego ranka przytulał się do mnie, szepcząc mi do ucha, pieszcząc mnie słowami i dłońmi.

Jednak budząc się, stwierdzam, że to tylko zwykła poduszka. Czuję się wtedy, jakby ktoś rozdrapywał świeżą, za każdym razem bardziej krwawiącą ranę.

Nie ma słów, by opisać, jak bardzo za nim tęsknię. Nie można tego wyrazić.

Czuję fizyczny ból z powodu braku jego uśmiechu, zapachu, głosu.

Wyobraźcie sobie, że na jadący z prędkością stu kilometrów na godzinę samochód spada drzewo. Bum! Natychmiastowe zatrzymanie. Jednak osoba, która nie ma zapiętych pasów, nadal porusza się z tą prędkością.

Taka właśnie jest miłość.

Nie zatrzymuje się tak po prostu. Bez względu na to, jak bardzo jesteście zranione, oszukane lub złe – miłość trwa nadal.

Wyrzucając cię przez przednią szybę.

Drugiego dnia pod wieczór otwieram oczy i gapię się przez okno.

Mży.

To pasuje do czarnych chmur wiszących nad moją głową.

Słyszę, że otwierają się drzwi, więc się obracam.

– Mamo, mogłabyś...

Jednak w progu nie stoi mama. Witam się cichym, lekko zaskoczonym głosem:

– O, cześć, George.

Pamiętacie George'a Reinharta, prawda? Owdowiałego ojca Stevena. Jest teraz „chłopakiem” mojej matki. Obmacywali się na

weselu Matthew i Delores. Nadal próbuję wyprzeć to z pamięci.

Jednak są już razem około roku. Pomimo najlepszych starań George'a, mama odmawia przeprowadzki do Nowego Jorku. Twierdzi, że Greenville jest jej domem i że ceni swoją niezależność. Zatem George przylatuje ją odwiedzać, czasem nawet zostaje na cały tydzień. Mama rewanżuje się odwiedzinami, kiedy tylko może.

George jest porządnym facetem. Jest jak Jimmy Stewart w filmie *To wspaniałe życie*. Jest mądry i przyzwoity. Taki, którego chciałybyście widzieć u boku swej matki.

Ma na nosie przekrzywione okulary i trzyma tacę.

– Mama jest zajęta na dole, ale pomyślała, że napiłabyś się herbaty.

Prowadzenie własnego interesu nie jest takie proste, na jakie wygląda. Tak, jesteście sobie szefem, ale to oznacza, że nie możecie chorować, nie możecie zrobić sobie wolnego. Jeśli pracownik nie przyjdzie do pracy, musicie same wziąć się do roboty.

George stara się, jak może, pomagać w restauracji. W zeszłym tygodniu mama musiała zawieść go do szpitala, bo pociął sobie palce przy

krojeniu ziemniaków. A kiedy próbował smażyć, przyjechała straż pożarna. Wprawdzie nikt nie został ranny, ale mama musiała zamknąć restaurację z powodu dymu.

Mimo wszystko myślę, że jego pomoc ma znaczenie.

Siadam i poprawiam sobie poduszkę.

– Herbata się przyda. Dziękuję.

Kładzie tacę na mojej szafce nocnej i podaje mi ciepły kubek.

– Mogę usiąść?

Biorę łyżeczek i kiwam głową.

George siada na fotelu obok łóżka. Poprawia sobie okulary i układa się wygodnie.

Niemal się uśmiecham.

Patrzy na mnie przez kilka sekund, niepewny, jak zacząć.

Oszczędzam mu kłopotu:

– Mama ci powiedziała, prawda?

Z powagą kiwa głową.

– Nie złość się na nią. Martwi się o ciebie, Kate. Musiała się wygadać. Nie będę się dzielił z nikim twoimi osobistymi sprawami. – Stuka palcem w skroń. – Są tu bezpieczne jak w skarbcu.

Udaje mi się zachichotać, ponieważ tak bardzo przypomina swojego syna, Stevena.

Po czym mój uśmiech blednie, ponieważ tak

bardzo przypomina mi o Stevenie.

– Dzwonił John. Pytał o ciebie. Powiedziałem mu, że tutaj jesteś. – Patrzę na niego wielkimi jak spodki oczami. – Ale nie powiedziałem mu dlaczego. Nie wyjaśniłem. Powiedziałem, że miałaś dość i że się wypaliłaś. To częste w naszym biznesie.

Nie mam planów dotyczących Evansów. Ściśle mówiąc, noszę ich wnuka, członka ich rodziny. I nie mam wątpliwości, że mimo iż ich syn go nie chce, Anna i John pragnęliby być częścią jego życia.

Jednak nie potrafię o tym myśleć. Jeszcze nie.

George ciągnie dalej:

– Prosił, żebyś do niego zadzwoniła, gdy poczujesz się na siłach. I prosił, bym ci przekazał, że jednoznacznie odrzuca twoją rezygnację.

Marszczę czoło.

– Może to zrobić?

George wzrusza ramionami.

– John robi, co chce.

Rany, jak to znajomo brzmi.

– Powiedział, że nie stać go na stratę dwójki najlepszych bankierów.

Czekajcie – „dwójki”?

– Co to znaczy? Drew nie chodzi do pracy?

Niewielki promyczek nadziei rozpała mi się

w żołądku. Może Drew jest tak samo rozbity jak ja. Może znów wpadł w stan hibernacji – jak poprzednio.

George szybko gasi mój płomyczek.

– Nie, nie. Był w pracy... – *Cholera*. – ...nawet dwa razy. I z tego, co słyszałem, był nawalony bardziej niż marynarz na urlopie. Kiedy John zapytał go o twoją rezygnację, Drew kazał mu pilnować własnego nosa... oczywiście we właściwy sobie, dużo barwniejszy sposób. Nie muszę chyba dodawać, że jego przyszłość w tej firmie jest... w tym momencie niepewna.

Interpretuję tę informację w jedyny możliwy sposób, zważywszy na to, kto dotrzymywał mi towarzystwa, gdy widziałam go po raz ostatni.

– *Wow*, musiał się naprawdę dobrze bawić, skoro rano nadal był pijany.

George przechyla na bok głowę.

– Nie patrzyłbym na to w ten sposób, Kate.

Z uporem zaciskam zęby. I kłamię:

– To nie ma znaczenia. Już mnie to nie obchodzi.

Następuje chwila ciszy, w której George studiuje wzór na moim kubku. W końcu zaciska wargi, a kiedy je rozchyła, mówi cichym, pełnym czci głosem:

– Nie wiem, ile Drew powiedział ci na temat Janey.

Właściwie to sporo. Janey Reinhart była cudowną kobietą – miłą, ciepłą, serdeczną. Kiedy Drew miał dziesięć lat, zdiagnozowano u niej raka piersi. Walczyła cztery lata. Drew powiedział mi, że dopiero w dzień jej śmierci zrozumiał, że złe rzeczy naprawdę się zdarzają i to nie tylko ludziom, o których czyta się w gazetach.

– Kiedy zmarła... też chciałem umrzeć. I tak by się stało, gdybym nie miał Stevena. Takie właśnie są dzieci, Kate. Przywracają do życia.

Wiem, że chce dobrze. Naprawdę. Jednak nie mogę tego znieść. Nie jestem gotowa na wykład na temat, jak wielkie mam szczęście, że jestem w ciąży.

I że jestem samotna.

– Mimo to... to nadal było okropne. Przez bardzo długi czas były to tylko następujące po sobie, przerażające chwile. Wiesz, Steven ma oczy po matce. Patrzenie na niego przypominało mi o Janey. I nieraz bywały dni... naprawdę złe, kiedy go niemal za to nienawidziłem.

Zasysam gwałtownie oddech. To nie przemowa, której się spodziewałam.

– Jednak czas szybko mijał. Rzeczy stały się... znośne. Mam piękną synową i wspaniałą wnuczkę. I w końcu nie boli, gdy oddycham.

Łzy zakradają się do moich oczu. Wiem, co chce

powiedzieć. Znam ten ból.

– Jednak, dopiero gdy poznałem twoją mamę, ta część mnie, która umarła z Janey, wróciła do życia. Znów jestem sobą.

Przecieram oczy i mówię ostro:

– Co chcesz mi powiedzieć, George? To, że kiedyś znajdę innego Drew? Zajmie mi to tylko kolejne piętnaście lat?

Gorycz? Wiem, nie jest przyjemna.

George powoli kręci głową.

– Nie, Kate. Nigdy nie znajdziesz innego Drew. Tak jak ja nigdy nie znajdę innej Janey, a twoja mama nigdy nie znajdzie innego Nate'a. Ale... próbuję ci powiedzieć, że serce się goi. Życie toczy się dalej i... zabiera cię ze sobą. Nawet jeśli tego nie chcesz.

Przygryzam dolną wargę i przytakuję. Odstawiam kubek na tacę, kończąc rozmowę.

George wstaje i zabiera tacę. Podchodzi do drzwi, jednak zanim wychodzi, obraca się do mnie.

– Wiem, że prawdopodobnie nie chcesz tego teraz słuchać, ale... znam Drew całe życie. Obserwowałem, jak dorastał ze Stevenem, Matthew i Alexandrą. Nie bronię go; nie mam pojęcia, dlaczego zrobił to, co zrobił, jednak... nic nie mogę na to poradzić, że jest mi go żal, ponieważ pewnego dnia otworzy oczy i zda sobie

sprawę, że popełnił największy życiowy błąd. A ponieważ kocham go jak syna... ból, który wtedy poczuje złamie też i moje serce.

Ma rację.

Nie chcę tego teraz słuchać. Nie mam cierpliwości, by litować się nad Drew. Jednak doceniam słowa George'a.

– Jestem naprawdę zadowolona, że jesteś z mamą, George. Jestem wdzięczna, że ma ciebie. Dziękuję.

Uśmiecha się ciepło.

– Będę w pobliżu. Zawołaj, gdybyś czegoś potrzebowała.

Kiwam głową, a George zamyka za sobą drzwi.

Chciałabym być poruszona jego słowami. Zainspirowana. Zmotywowana, by ruszyć tyłek z łóżka. Jednak jestem zbyt... zmęczona. Zatem kładę się, owijam się szczelnie kołdrą i zasypiam.



Wstaję trzeciego dnia.

Właściwie nie mam wyboru. Leżenie i wdychanie własnego smrodu niezbyt podnosi na duchu. Och, i nadal mam poranne mdłości. Jak w zegarku

mama podstawia mi pod łóżko to samo wiaderko, do którego rzygałam w dzieciństwie, gdy miałam grypę żołądkową. Pyszności. Do tego jestem pewna, że gdy wykręcę włosy, będę miała na tyle tłuszczu, że usmażę sobie frytki.

Tak, powiedziałam sobie, że czas najwyższy wstać.

Człapię powoli do łazienki. Biorę długi, gorący prysznic. Para kłębi się za mną, gdy wracam do pokoju.

Mama jest jak chomik. Nie jak jakaś stara babcia, ale zachowała wszystkie pamiątki, których nie wzięłam ze sobą na studia. Widzicie je? Stoją na świeżo odkurzonych półkach, są to trofea z małej ligi, medale za konkursy naukowe, wstążki za występy. Są też zdjęcia moje, Delores i Billy'ego z uroczystości ukończenia szkoły, z Halloween, z osiemnastki Delores.

Wyciągam z torebki balsam do ciała, jednak gdy czuję jego zapach, zamieram. Wanilia i lawenda. Ulubiony zapach Drew. Zawsze było mu go mało.

Czasami przeciągał nosem po mojej skórze, wachając i łaskocząc mnie przy tym.

Natychmiast ściska mnie w piersi. Wyrzucam butelkę do śmieci.

Zaglądam do torebki i znajduję telefon. Leżał pod balsamem, jakby specjalnie się ukrywał.

Nadal jest wyłączony. Zastanawiam się, czy nie zadzwonić do Delores, lecz szybko rezygnuję z tego pomysłu. Mam psuć jej wakacje tylko po to, by pognała do domu popełnić morderstwo z premedytacją?

Dobra – macie rację – kłamię. Nie dzwoniłam do niej, ponieważ gdzieś w głębi duszy nadal mam małą, zasuszoną nadzieję, że Drew zmieni zdanie, że znajdzie sposób, by to wszystko naprawić. Zatem nie chcę dawać przyjaciółce powodu do nienawiści.

Przynajmniej... kolejnego powodu.

Włączam telefon i zaczynają przychodzić wiadomości. I znów to samo.

Nadzieja. To też raczej żalodne, prawda?

Przygryzam wargę i biorę uspokajający oddech. Wbijam pin do poczty głosowej, modląc się do wszystkich aniołów i świętych, by głos Drew popłynął z głośnika.

Ale oczywiście tak się nie dzieje.

– *Kate? Tu Alexandra. Musisz natychmiast do mnie oddzwonić.*

Nie wiem, dlaczego mnie to dziwi. Alexandra ma jakiś szósty zmysł, jeśli chodzi o Drew. Nie zrozumcie mnie źle – jest pierwsza w kolejce, by złać mu tyłek, gdy coś spieprzy. Ale gdy uważa, że Drew ma jakieś kłopoty, nadlatuje niczym

naspidowana Kobieta Nietoperz.

– *Kate? Gdzie jesteś i co, do cholery, dzieje się z moim bratem? Oddzwoń.*

Drew i Alexandra są podobni. Zastanawiam się, czy to genetyczne. Potomstwo Evansów nie zadawała się późniejszymi terminami i nie potrafi czekać.

– *Kate Brooks, nie waz się ignorować moich telefonów! Nie wiem, co stało się między tobą a Drew, ale nie możesz tak po prostu kogoś zostawić! Jezu Chryste, co się z tobą dzieje? Jeśli taka naprawdę jesteś, to... to lepiej mu będzie bez ciebie!*

Jak widać, stabilność emocjonalną również mają podobną. Gdybym powiedziała, że nie ubodło mnie to, co powiedziała, to bym skłamała. Ostatnie zdanie zabolalo.

Jeszcze jedna wiadomość.

– *Kate... tu znów Alexandra... – Jej głos jej inny. Mniej niecierpliwy. I to niemal szept. – Przepraszam... nie powinnam tak wrzeszczeć. Po prostu się martwię. On się do mnie nie odzywa, Kate. Nigdy wcześniej się tak nie zachowywał. Nie wiem, co się między wami dzieje... i wcale nie muszę wiedzieć, ale... proszę, wróć, co? Cokolwiek się stało... cokolwiek jest między wami... wiem, że razem to poukładacie. Nie musisz do mnie*

dzwonić, tylko proszę... proszę, wróc do domu. On cię kocha, Kate. Bardzo mocno.

Gapię się w telefon, ciężko oddychając. Oczywiście, że Drew nie chce z nią rozmawiać.

Nie ma mowy, by mógł patrzeć na ciężarną siostrę i powiedzieć jej prosto w oczy, że mnie wykopał ze swojego życia tylko dlatego, że też jestem w ciąży.

Można mu wiele zarzucić, ale nie głupotę.

Rzucam telefonem przez pokój, ponieważ mam ochotę zadzwonić. Chcę wrócić. Ale najwyraźniej pozostało mi nieco godności, nawet jeśli to tylko jej strzęp. Dlaczego to ja miałabym przynieść gałązkę oliwną? To nie ja podpaliłam drzewo. John wie, gdzie jestem. Jeśli Drew zechce, nietrudno mu będzie mnie znaleźć.

Wycieram ręcznikiem mokre włosy i otwieram szafę.

Znajduję w niej mój stary, dobry, kelnerski strój – kraciastą spódniczkę, biały top i kowbojski kapelusz. Minęło dziesięć lat, odkąd miałam go na sobie. Z uśmiechem wyciągam wieszak. Mam wiele dobrych wspomnień związanych z tym strojem. Dotyczą prostych, nieskomplikowanych dni.

Przymierzam go – jak panna młoda sprawdzająca po roku, czy zmieści się jeszcze

w suknię ślubną. Ja się mieszczę. Spoglądam w lustro i już wiem, co zrobię. Rutyna jest dobra. Każda rutyna. Nawet stara.

Może nie mam planu na resztę życia.

Ale przynajmniej mam ten na resztę dnia.



Nie czując się już jak trup, którym byłam przez kilka dni, idę schodami na zaplecze. Dwa stopnie dalej dobiegają mnie głosy mamy i George'a.

Uważajcie, to będzie ważne.

– Cholera by go wzięła! Za kogo on się ma? Kiedy Kate zerwała z Billym, ulżyło mi, ślepy by dostrzegł, że nic ich nie łączy. Ale potem... kiedy przedstawiła mi Drew, pomyślałam, że jest dla niej idealny. Sądziłam, że jest... bardziej do niej podobny. Pochodzi ze świata, w którym ona teraz żyje. A jak na nią patrzył, George. Oczywiście było to, że mu się podoba. Jak on ją mógł tak potraktować?!

Głos George'a jest spokojny, opanowany:

– Wiem. Ja...

Matka mu przerywa, wyobrażam sobie, że chodzi wokół niego.

– Nie! Nie. Nie ujdzie mu to płazem. Mam zamiar... zadzwonić do jego matki!

George wzdycha.

– Wątpię, czy Kate by tego chciała, Carol. Jest dorosła...

Mama unosi głos:

– Nie jest dorosła! Jest moim dzieckiem! I cierpi. Złamał jej serce i... nie wiem, czy ona to przeżyje. Wygląda, jakby... się poddała. – Słyszę uderzenie w drewniany blat. – Ten mały gnojek! Jest małym mądralą z niewyparzoną gębą, ale na pewno mu tego nie odpuszczę! – Jej ton jest pełen determinacji. I trochę straszny. – Masz rację, nie będę dzwonić do Anny. Polecę do Nowego Jorku. Pokażę mu, co się dzieje, jeśli zadziera się z moją córką. Kiedy z nim skończę, będzie myślał, że Amelia Warren to cholerna Matka Teresa. Urwę mu jaja!

Święta Mateczko.

Dobra, ale moja mama nie przeklina. Nigdy. To, że rzuca takimi wyrazami i mówi o urywaniu jaj? Szczerze mówiąc, to niepokojące.

Schodzę po schodach, jakbym nic nie słyszała.

– Dzień dobry.

Na twarzy mamy maluje się zdumienie.

– Kate. Wstałaś.

Przytakuję.

– Tak... Dobrze się już czuję.

Może lepiej być silnym. Potrącony przez samochód pies jest bardziej ostrożny.

George podaje mi kubek.

– Kawy?

Opieram dłoń na moim wrażliwym brzuchu.

– Nie, dzięki.

Mama otrząsa się z zaskoczenia i pyta:

– Może ciepłą colę?

– Tak. Brzmi dobrze.

Podaje mi butelkę, po czym głaszcze mnie po włosach i mówi:

– Gdy byłam z tobą w ciąży, miałam mdłości przez całe siedem miesięcy. Ciepła cola zawsze sprawiała, że było lepiej. Poza tym, jeśli wróci, nie smakuje tak źle. Dobra rada. Dla waszej wiadomości – masło orzechowe wcale nie jest tak smaczne w drodze powrotnej.

Mama marszczy brwi, gdy zauważa mój strój.

– Wszystkie rzeczy masz brudne? Mam ci coś wyprać?

– Nie. Po prostu pomyślałam, że pomogę dzisiaj w restauracji. No wiesz, muszę się czymś zająć, żebym nie miała zbyt wiele czasu na myślenie.

Myślenie jest do chrzanu. Myślenie jest zdecydowanie do bani.

George się uśmiecha.

Mama pociera moje ramię.

– Jeśli czujesz się na siłach. Dziś zmianę ma Mildred, więc z pewnością przydałaby mi się pomoc.

Mildred pracuje u nas, odkąd sięgam pamięcią. Jest okropną kelnerką – myślę, że mama trzyma ją z dobroci serca. Legenda głosi, że dawno temu była królową piękności – Miss Kentucky albo Luizjany, czy coś takiego. Jednak straciła urodę i radość życia, gdy jej narzeczony grał w cykora z pociągiem towarowym. I przegrał. Teraz mieszka w bloku w centrum i pali prawie dwie paczki dziennie.

Prawdopodobnie dożyje stu siedmiu lat – w przeciwieństwie do trzydziestoczterolatki z trojgiem dzieci, która w życiu nie zapaliła papierosa, a mimo to w jakiś niewyjaśniony sposób umiera na raka płuc.

Jak już wspominałam, Bóg czasami bywa chorym sukinsynem.



Z kelnerowaniem jest jak z jazdą na rowerze – tego się nie zapomina. Mimo iż czuję mdłości,

udaje mi się przetrwać ranek bez narzygania komuś do naleśników lub jajecznicy.

Brawa dla mnie.

Najtrudniejsze są pytania. O Nowy Jork, o przystojnego chłopaka, który trzy miesiące temu przyjechał tu ze mną z wizytą. Uśmiecham się, udzielając krótkich i niejasnych odpowiedzi.

Do południa jestem wymęczona. Fizycznie i psychicznie.

Już mam iść na górę się zdrzemnąć, gdy nad drzwiami wejściowymi do restauracji dzwoni dzwoneczek, a po ich otwarciu rozlega się głos.

Głos, który poznałabym wszędzie.



ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– Katie Brooks w kowbojskim stroju. To naprawdę ty czy jakieś żywe wspomnienie wywołane kwasem?

Miałam z sześć lat, kiedy pierwszy raz zobaczyłam Billy’ego Warrena. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Joey Martino porzucił Amelię w hotelowym pokoju, jej młodsza siostra Sophie została wyrzucona z domu.

Bo też była w ciąży.

Najwyraźniej starsza pani Warren odczuwała najbardziej czułą z rodzicielskich miłości – była najukochańszą mamuszką. W każdym razie pięć lat później Sophie zmarła w jakiejś narkotykowej melinie z powodu przedawkowania. Billy trafił pod opiekę państwa, dopóki ono nie znalazło jego krewnej – Amelii Warren.

Delores została z nami przez weekend, podczas którego jej mama pojechała po Billy’ego do Kalifornii. Amelia weszła do sierocińca i zobaczyła małego chłopca z zapadniętymi oczkami, ubranego w dziurawy, czarny podkoszulek. Od tamtej chwili Billy był jej – nawet jeśli go nie urodziła.

Przez pierwsze cztery miesiące mieszkania z Amelią i Delores Billy nie mówił. W ogóle. Łaził za nami, robił wszystko to, co my. Kiedy bawiliśmy się w szkołę, on był tablicą, kiedy kopaliśmy w poszukiwaniu skarbu, Billy był mułem pociągowym.

Jednak nic nie mówił.

Pewnego dnia Amelia załatwiała sprawunki na głównej ulicy. Kiedy przechodzili obok komisju, Billy stanął jak wryty, wpatrując się w jego wystawę.

W stojącą tam błyszczącą, czerwoną gitarę.

Amelia mu ją kupiła. Już wtedy dobrze grałam, więc pomyślała, że mój ojciec mógłby i jego nauczyć. Ale – co najlepsze – nim tata zdążył udzielić mu choćby jednej lekcji, Billy już wiedział, jak grać. Był cudownym dzieckiem, jak Mozart. Prawdziwym muzycznym geniuszem.

Chociaż czasem potrafił być z tego powodu irytujący.

– Billy! – rzucam mu się na szyję, a on ściska mnie mocno, aż moje stopy odrywają się od ziemi. Jego ramię tłumi mój głos: – Boże, jak dobrze cię widzieć!

Wiem, myślicie, że jest palantem. Ale nie jest. Naprawdę. Widziałyście go jedynie przez kolorowe okulary Drew.

Billy odsuwa się nieznacznie, nadal trzymając mnie za ramiona. Minęło osiem miesięcy, odkąd go po raz ostatni widziałam. Jest opalony i rumiany – wygląda zdrowo. Dobrze. Pomimo zapuszczonej brody, która mi się nie podoba. Jest gęsta i kudłata – przypomina w niej drwala.

– Ciebie też, Katie. Wyglądasz... – Marszczy czoło, a jego uśmiech zmienia się w grymas. – Cholera. Wyglądasz, jakbyś była chora.

Tak, cały Billy. Dokładnie wie, co powiedzieć.

– Wow. Z takimi tekstami musisz ich tam, w tym Los Angeles, powalać na kolana. A tak przy okazji, wiesz, że masz na twarzy szczura?

Śmieje się, pocierając brodę.

– To mój kamuflaż. Wiesz, potrzebuję go teraz.

Jak na komendę, nieśmiało podchodzi do nas dziesięciolatek i pyta:

– Mogę prosić autograf, panie Warren?

Billy uśmiecha się szeroko. Bierze podany papier i długopis.

– Jasne.

Szybko coś bazgrze, po czym oddaje kartkę z powrotem i mówi:

– Nie przestawaj marzyć, mały. Marzenia naprawdę się spełniają.

Po odejściu chłopaka Billy odwraca się do mnie z błyszczącymi oczami.

– Fajnie, nie?

Jest najbardziej rozchwytywanym muzykiem. Jego ostatni album utrzymywał się na pierwszych miejscach list przebojów przez sześć tygodni – i ma szansę na tegoroczną nagrodę Grammy. Jestem z niego dumna. Dotarł do miejsca, w którym zawsze chciał być.

Mimo to drocę się z nim.

– Ostrożnie. Z tym wielkim ego musisz wyjść jakoś przez drzwi.

Billy się śmieje.

– Co tu robisz? Miałem przyjechać do Nowego Jorku za tydzień, by się z wami zobaczyć.

Zanim mam szansę odpowiedzieć, za szybą drzwi pojawia się twarz. Strasząc mnie tak, że o mało nie wyskakuję ze skóry.

– O rany!

To jasnowłosa kobieta z wielkimi, nieruchomymi, brązowymi oczyma. Zupełnie jakby ET założył perukę.

Billy obraca się do niej.

– Ach, to Evay.

– Evie?

– Nie. E-vay. Jak eBay. Jest ze mną. – Otwiera drzwi, wpuszczając dziewczynę ET i obejmując ją ciasno w pasie. Ma na sobie czarne leginsy i koszulkę z Bobem Marleyem. Chuda nie jest

wystarczającym określeniem. Przypomina mi szkielet z lekcji biologii, pokryty zaledwie cienką, prawie przezroczystą warstwą skóry. – Evay to Kate. Kate to Evay.

W świecie profesjonalistów uścisk dłoni jest ważny. Daje potencjalnemu klientowi zapowiedź sposobu prowadzenia jego interesów. Może przypieczętować lub zniweczyć umowę. Zatem zawsze pamiętam, by mój uścisk był pewny i mocny. Tylko dlatego, że jestem drobna i jestem kobietą nie oznacza, że można mnie zdeptać.

– Miło mi cię poznać, Evay. – Wyciągam rękę.

Dziewczyna tylko na nią patrzy – wzrokiem, którym obserwuje się pająka pod prysznicem.

– Nie nawiązuję fizycznego kontaktu z kobietami. To uszczupla komórki piękna.

No dobra. Spoglądam na Billy’ego. Wydaje się niewzruszony. Zabieram rękę.

– Chcecie coś zjeść? Może stek?

Kiedy Evay odpowiada, w jej głosie słychać strach i oszołomienie, jakby doznała wstrząsu mózgu, albo jakby na zajęciach kółka teatralnego otrzymała rolę drzewa.

– Tutaj mam obiad. – Otwiera dłoń, pokazując garść kapsułek, które wyglądają jak cukierki dla dzieci. – Ale potrzebuję wody. Macie tu czystą wodę ze śnieżnego górskiego źródła?

Wow.

Niech ktoś zadzwoni po Willa Smitha. Kosmici naprawdę wylądowali.

– Ee... O tej porze roku nie mamy tutaj zbyt wiele śniegu. Chociaż mamy najlepszą greenvillską kranówkę.

Dziewczyna kręci głową. Nadal nie mrugnęła. Ani jednego cholernego razu.

– Piję tylko czystą wodę ze śnieżnego, górskiego źródła.

Billy unosi rękę.

– A ja bym reflektował na jakieś cebulowe krążki.

Uśmiecham się i zapisuję.

– Robi się.

Evay wacha powietrze jak wiewiórka przed burzą, po czym zastyga nieco przerażona.

– Czy to tłuszcz? Smażycie na prawdziwym tłuszczu?

Odsuwam się. Może być jedną z tych weganek, które są oburzone z powodu stosowania przetworzonych tłuszczów zwierzęcych. Perspektywa oblania czerwoną farbą nie jest dla mnie w tej chwili przyjemna.

– Ee... no tak.

Zatyka nos.

– Nie mogę tu oddychać! Muszę wyjść! –

Odwraca się w kierunku drzwi.

I czeka.

Najwyraźniej nie tylko z kobietami nie utrzymuje kontaktu.

Billy otwiera dla niej drzwi, a ona wypada na zewnątrz.

Patrzę na niego zaskoczona.

– Dobra, co to, do cholery, było?

– To Kalifornijka. One wszystkie takie są. Myślę, że to z powodu zbyt dużej ilości słońca... i trawki. Przy nich Dee-Dee wygląda strasznie pospolicie. Poza tym Evay jest modelką, więc jest wyjątkowo dziwna. Nie powącha tłuszczu, ale kopci jak lokomotywa.

Właśnie dlatego cieszę się, że mieszkam w Nowym Jorku, gdzie żyją normalni ludzie.

Cóż... przynajmniej mieszkałam.

Wchodzę za ladę, by wziąć pudełko na krążki dla Billy'ego; w tym czasie on opiera łokcie na blacie.

– A gdzie Doktor Manhattan?

Ma na myśli Drew. No wiecie, nazwał go tak po aroganckim, nieludzkim, niebieskim stworze z komiksów *Watchmen*.

– Nie ma go tutaj.

Billy wygląda na zdziwionego. Miło.

– No nie żartuj. Nie sądziłem, że spuści cię z oka i pozwoli wyjechać do innego stanu. O co chodzi?

Wzruszam ramionami.

– Długa historia.

– Brzmi obiecująco. Hej, spotkajmy się później. Przyjdę, tylko odprowadzę Evay do hotelu na drzemkę. Moglibyśmy gdzieś wyskoczyć.

Patrzę spode łba.

– Na drzemkę?

Unosi głowę.

– Tak. Wiele osób sypia po dwanaście godzin.

Podaję mu pudełko krążków cebulowych.

– Tak, wiem. Nazywają je wampirami, Billy.

Śmieje się.

Mama wychodzi z kuchni.

– Billy! Amelia mówiła, że przyjechałeś z wizytą.

Chłopak porywa ją w ramiona i całuje w policzek.

– Cześć, Carol.

Mama patrzy z dezaprobatą na jego brodę.

– Och, skarbie, jesteś taki przystojny. Nie zakrywaj ładnej twarzy... tym czymś.

Mama jest dla wszystkich taka opiekuńcza, prawda?

Billy zaczyna bronić zarostu.

– Dlaczego nikomu nie podoba się ta broda? Ja ją lubię. – Podaje banknot studolarowy. – To za krążki cebulowe.

Mama kręci głową i odsuwa jego rękę.

– Nie chcę twoich pieniędzy, i dobrze o tym wiesz.

Zza kuchennych drzwi dochodzi odgłos tłuczonego szkła, po czy rozlega się głos George’a Reinharta:

– Carol!

Mama cmoka.

– O rany. George znów próbuje opanować zmywak. – Biegnie do kuchni.

Wybuchamy z Billym śmiechem. Po czym Billy wręcza mi stówkę.

– Wsuń to do kasy, tak żeby mama nie widziała, dobrze?

To w życiu trudny moment, kiedy możemy wesprzeć finansowo rodziców, ale oni są zbyt dumni, by to zaakceptować.

– Dobrze.

Stuka palcami w blat.

– W porządku, przyjadę po ciebie o czwartej. Bądź gotowa. I nie wkładaj jakichś garsonek czy sukienek. To wypad typu jeansy i trampki.

Właśnie to planowałam, mimo to muszę zapytać:

– Dlaczego? Co będziemy robić?

Kręci głową, patrząc na mnie.

– Nie było cię tu zbyt długo, Katie. No gdzie moglibyśmy pojechać? To jasne, że na *womping*.

Racja. Głupia ja. Oczywiście, że tak.

Billy pochyła się nad ladą i całuje mnie w policzek.

– Do zobaczenia później. – Zabiera pudełko i wychodzi.



Jechaliście kiedyś samochodem po ostatnim egzaminie lub na początku długiego weekendu? Szeroka droga przed wami, okulary przeciwsłoneczne na nosie, a ulubiona piosenka gra w głośnikach?

Dobrze. Zatem znacie to uczucie.

Womping.

Jak to wyjaśnić? Jestem pewna, że w zależności od regionu istnieje wiele określeń, jednak tutaj tak właśnie na to mówimy. To jak wspinacza górską... tyle że terenówką. Albo półciązarówką. Albo jakimkolwiek innym pojazdem z napędem na cztery koła. Celem zabawy jest znalezienie najbardziej stromego wzgórza i jak najszybsze wjechanie na nie bez wywrócenia pojazdu. To fajna, choć głupia, niebezpieczna i dająca adrenalinowego kopa zabawa.

Nie martwcie się o mój stan. Samochód Billy'ego

to terenówka z uprężami zamiast pasów. Zatem, nawet jeśli się wywrócimy, nic mi nie grozi.

Właśnie na pełnej prędkości wjeżdżamy na wzgórze. W Ohio właściwie trudno o górzysty teren, jednak mamy kilka takich miejsc. Na szczęście dla nas są blisko Greenville. Słońce świeci, mamy otwarte okna, jest przyjemna temperatura. Przekrzykuję radio:

– To kolejny nowy samochód?

Billy uśmiecha się i z uwielbieniem gładzi deskę rozdzielczą.

– Tak. I tej dziecinki nie dotknęła niszczycielska ręka mojej kuzynki.

Przewracam oczami. Zdecydowanie muszę przejrzeć finanse Billy'ego. Wiatr nawiewa mi włosy na twarz, więc je rozgarniam i znów krzyczę:

– Nie bądź takim facetem.

– Jakim facetem?

– Takim, który ma inny samochód na każdy dzień miesiąca. Wydającym kasę na zupełnie niepraktyczne rzeczy.

Wzrusza ramionami.

– Powiedziałem Amelii, że kupię jej dom. Pod warunkiem że nie zdradzi Delores jego lokalizacji.

Billy i Delores uwielbiają sobie dokuczać.

Piosenka w radiu się zmienia, a Billy podkręca

głośność, co jest zupełnie nieromantyczne, za to kojarzy się ze zbuntowanym nastolatkiem. To był nasz hymn, nasz motyw przewodni.

Zespół Alabama śpiewa o wydostaniu się z małego miasteczka, pokonaniu przeszkód i życiu dla miłości. Śpiewamy razem z nimi. Jest wspaniale. Idealnie.

Billy wciska gaz w podłogę, zostawiając w tyle tuman kurzu, a ja przypominam sobie, jak to było mieć szesnaście lat. Proste, nieskomplikowane życie, gdy największym problemem było to, gdzie wyskoczyć w piątkowy wieczór.

Mówią, że młodzież marnuje lata młodości – i mają rację. Jednak to nie wina młodych ludzi. Bez względu na to, jak wiele razy usłyszą, że mają doceniać dni, które przeżywają, oni po prostu nie potrafią tego robić. Ponieważ nie mają porównania. Z biegiem lat, gdy jest już za późno, kiedy mają rachunki do spłacenia i terminy do dotrzymania, zdają sobie sprawę, jak słodkie, niewinne i cenne były tamte chwile.

Piosenkarka śpiewa o thunderbirdzie, o jeździe nim całą noc i o życiu po swoim. Pierwszym samochodem Billy'ego był thunderbird. Pamiętacie go z Nowego Jorku, prawda? Był złomem, gdy go kupił, ale naprawiał go w weekendy i kiedy zrywał się ze szkoły.

Straciłam dziewictwo na jego tylnej kanapie. Po studniówce. Tak, to standard, ale wtedy myślałam, że to ucieleśnienie romantyzmu, szczyt doskonałości.

Jednak – jak już wspominałam – nie miałam z czym tego porównać.

Billy uwielbiał ten samochód. Założę się o mój dyplom z finansów, że nadal ma go w garażu w Los Angeles.

Nadal śpiewając, trzymam się obiema rękami uprząży, gdy Billy obraca samochód, robiąc bączka. To świetny manewr. Wciskacie gaz do dechy, skręćcie kierownicę i zaciągniecie hamulec ręczny. To najlepszy sposób, by się obrócić, przynajmniej póki nie zepsuje wam się skrzynia biegów lub coś takiego.

Kłębu kurzu wydostają się spod kół, a błoto osiada na przedniej szybie.

Zawsze tak było między nami. Brak skrzepowania. Brak komplikacji. Cóż, przynajmniej póki jeszcze mieszkaliśmy w Greenville. Kiedy poszłam na studia, odsunęliśmy się od siebie. Już nie byliśmy jak Bonnie i Clyde, bardziej jak Wendy i Piotruś Pan. Jednak tutaj, kiedy jesteśmy tylko we dwoje, a reszta świata przestaje istnieć, znów możemy być tamtymi dziećmiakami.

Dziećmiakami, które miały te same pragnienia, te

same marzenia.

Nadal kręcimy się samochodem na kawałku płaskiej, nieutwardzonej ziemi. Czuję się, jakbyśmy lecieli. Jakbym była wolna. Jakbym nie należała do świata.

A najlepsze w tym wszystkim jest to, że po raz pierwszy od czterech dni nie myślę o Drew Evansie.



ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wracamy do hotelu Billy'ego, gdy jest już ciemno. Wpadamy przez drzwi zmęczeni, brudni, ale ze śmiechem na ustach. Opadam na kanapę, podczas gdy Billy sięga po kartkę pozostawioną na kuchennej szafce.

– Gdzie Evay?

Billy macha notką.

– Wróciła do Los Angeles. Napisała, że nieprzetworzone powietrze niszczy pory jej skóry.

– Nie wyglądasz na załamane go z tego powodu.

Wyjmuje z lodówki dwa piwa i wzdusza ramionami.

– A niech wraca, skąd przyszła. Mało mnie to obchodzi. – Billy bierze gitarę leżącą po drugiej stronie stolika i brzdąka kilka akordów. Chwilę później sięga pod poduszkę i wyjmuje przezroczystą, zapinaną torebkę. Rzuci mi ją.

– Nadal skręcasz najlepsze jointy po tej stronie Mississippi czy przez firmę już całkowicie wtopiłaś się w tamtejsze społeczeństwo?

Uśmiecham się i otwieram torebkę. Skręcenie dobrego jointa wymaga skupienia. Użycie zbyt

dużej ilości trawki jest po prostu marnotrawstwem, natomiast zbyt mała jej ilość nie przyniesie efektu.

To relaksujące zajęcie. Jak robienie na drutach.

Liżę końcówkę bibułki i wygładzam ją. Podaję skręta Billy'emu.

Patrzy na mnie z podziwem.

– Jesteś artystką.

Wkłada go sobie między zęby i wyciąga zapalniczkę Zippo. Jednak zanim ogień sięga skręta, zamykam mu ją.

– Nie rób tego. Mogę się tego nawdychać.

– No i?

Wzdycham. Patrzę Billy'emu prosto w oczy.

– Jestem w ciąży.

Jego oczy rozszerzają się, a joint wypada mu z otwartych ust.

– Chrzanisz?

Kręcę głową.

– Nie chrzanię, Billy.

Odwraca się, patrząc na stół. Przez kilka długich chwil nic nie mówi, zatem przerywam martwą ciszę.

– Drew nie chce dziecka. Kazał mi się go pozbyć.

– Słowa brzmią głucho. Płasko. Chyba dlatego, że nadal nie mogę uwierzyć, że to prawda.

Billy odwraca się do mnie i syczy przez zęby:

– Co?

Kiwam głową. Wprowadzam go w żałosne szczegóły mojego wyjazdu z Nowego Jorku. Gdy kończę, wkurzony Billy chodzi po pokoju i mamrocze:

– Skurwiel wisi mi broń.

– Co?

Macha lekceważąco ręką.

– Nic. – Siada i przeczesuje włosy. – Wiedziałem, że jest dupkiem. Cholera, wiedziałem. Chociaż nie sądziłem, że jest kolejnym Garrettem Bucklerem.

Każde miasto ma dwie części: tę dobrą i tę nie za dobrą. Garrett Buckler pochodził z dobrej części Greenville, z automatycznymi zraszaczami trawników przy parterowych domkach obłożonych sztukaterią. Kończył liceum, gdy byliśmy w drugiej klasie, i od rozpoczęcia roku szkolnego skupiał się wyłącznie na jednym: Dee-Dee Warren.

Billy nienawidził go od pierwszego wejrzenia. Zawsze był nieufny w stosunku do ludzi mających pieniądze, których samodzielnie nie zarobili. Garrett pod tym względem nie był wyjątkiem. Jednak Delores kazała Billy’emu się odwalić. Powiedziała mu, że jest śmieszny i ma paranoję. Stwierdziła, że chce dać Garrettowi szansę.

Tak też zrobiła. Oddała mu również dziewictwo.

Miesiąc później, na szkolnych trybunach, Delores obwieściła Garrettowi, że jest w ciąży. Najwyraźniej kobiety z Greenville są dość płodne.

Niech wasi faceci nie plują na nas – możemy od tego zajść w ciążę.

Pomimo edukacji Amelii i tak to się zdarzyło. Chyba dlatego, że ludzie zapominają o podstawowej właściwości nastolatków – młodzi ludzie czasami robią głupie rzeczy. Nie dlatego, że nie mają wiedzy, ale dlatego, że są na tyle młodzi, że nie zdają sobie sprawy z możliwych konsekwencji. Takich zmieniających życie.

W każdym razie, jak słusznie przypuszczacie, Delores była przerażona. Jednak jak każda romantyczna, młoda dziewczyna pomyślała, że Garrett będzie ją wspierał. Sądziła, że cokolwiek ich czeka, przejdą przez to razem.

Myliła się. Chłopak kazał jej spadać. Oskarżył ją o chęć złapania na dziecko, przy okazji wątpiąc, czy było jego.

Historia jak w operze mydlanej, która w dodatku lubi się powtarzać.

Delores była załamana. A Billy... Billy był cholernie wściekły. Byłam z nim, gdy z parkingu przy sklepie ukradł białego camaro. Jechałam za nim thunderbirdem aż do dziupli samochodowej w Cleveland, w której sprzedał camaro za trzy

stówy.

Za tyle, by wystarczyło na aborcję.

Mogliśmy pójść z tą sprawą do Amelii, ale Delores się wstydziła. Zatem sami poszliśmy do kliniki. I przez cały czas trzymałam Delores za rękę.

Po wszystkim Billy odwiózł nas do domu. Po czym poszedł szukać Garretta Bucklera. Kiedy go znalazł, złamał mu rękę i przestawił szczękę. Powiedział mu też, że jeśli kiedykolwiek powie choć słowo o Delores, to wróci i połamie mu wszystko inne łącznie z tym, co ma między nogami. Do dziś jest to najpilniej strzeżona tajemnica w Greenville.

– Wiesz co? Pieprzyć go. Dobrze zarabiasz, więc jestem pewien, że nie potrzebujesz jego zasranych pieniędzy. A jeśli chodzi o posiadanie ojca? Przerklamowane. Ty miałaś tatę przez jakieś pięć minut, a my z kuzynką w ogóle nie mieliśmy ojców. I okazało się, że świetnie sobie poradziłyśmy. – Przez chwilę zastanawia się nad tym, co powiedział. – No dobra, może nie Delores, ale i tak dwoje z trójki to niezły wynik. Moglibyśmy...

Przerywam mu.

– Myślę, że jednak przerwę tę ciążę.

Billy milknie. Całkowicie. Kompletnie.

Jednak jego szok i rozczarowanie grzmia głośno niczym wielki bęben.

A może to tylko moje poczucie winy.

Pamiętacie, jak jakieś dwadzieścia lat temu Susan Smith utopiła dwójkę swoich dzieci, ponieważ jej chłopak nie chciał się wiązać z kobietą z dziećmi? Pomyślałam wtedy, podobnie jak większość ludzi, że powinno się ją związać i tarką do sera obedrzeć ze skóry. No bo co za kobieta tak postępuje? Która kobieta przedkłada faceta ponad swoje potomstwo?

Słaba.

To cecha, do której już się przyznałam, pamiętacie? Ten pomysł tkwi w mojej głowie już od jakiegoś czasu, jak pajęczyna w rogu pokoju, którą ciągle mijacie, bo nie macie czasu się z nią rozprawić.

Przede wszystkim jestem bizneswoman. Jestem analityczna. Praktyczna.

A co jeśli któraś z moich inwestycji nie wychodzi tak, jakbym się tego spodziewała? Pozbywam się jej. Ograniczam straty. To prosta matematyka – jeżeli odejmie się emocje, nie ma się nad czym zastanawiać.

Tak, wiem. Wiem, o czym myślicie. „A co z chłopczykiem z obrazka? Pięknym, idealnym chłopczykiem z ciemnymi włoskami i cudownym

uśmiechem?”

Prawda jest taka, że nie ma żadnego chłopczyka. Jeszcze nie. Teraz jest zaledwie kilka dzielących się komórek. Błąd, który stoi na drodze między mną a życiem, jakie planowałam.

Nie wiem, czy moglibyśmy wrócić z Drew do miejsca, w którym byliśmy. Wiem jednak, że urodzenie dziecka, którego on nie chce, nie przysporzy mi dodatkowych punktów. No i bez malucha byłoby mi znacznie łatwiej.

Jak depilacja woskiem. Prosty zabieg dla wygodnego życia.

Myślicie, że jestem zimną suką, co?

No... chyba macie rację.

Billy odzywa się delikatnym, niezdecydowanym głosem, jakby nie chciał zadawać tego pytania i jeszcze bardziej nie chciał usłyszeć odpowiedzi:

– Dla niego? Chcesz przerwać tę ciążę z jego powodu?

Ocieram łzy z policzków, nawet nie wiedziałam, że płaczę.

– Nie mogę go sama wychowywać.

Zawsze się do tego sprowadza, prawda?

Billy łapie mnie za rękę.

– Hej, popatrz na mnie.

Unoszę wzrok.

W jego oczach płonie czułość i determinacja.

– Nie jesteś sama, Kate. I nigdy nie będziesz. Nie, dopóki oddycham.

Przygryzam wargę. Powoli kręcę głową. Gula w moim gardle sprawia, że odzywam się ochryplym i drżącym głosem:

– Wiesz, co mam na myśli, Billy.

I tak jest. Billy rozumie mnie lepiej niż ktokolwiek inny, ponieważ był przy mnie. Wie, jak było ciężko, jak bardzo bolało. Wszystkie te wieczory, gdy wychodziłam z nim na lody czy do kina – pozostawiając matkę w pustym domu. Wszystkie te ceremonie i dyplomy, gdy twarz matki promieniała z dumy, jednak jej oczy były pełne smutku, ponieważ nie miała się z kim tą dumą podzielić. Wszystkie święta – sylwestry, wielkanocę, Święta Dziękczynienia – kiedy nie mogłam przyjechać do domu i płakałam w jego ramię, ponieważ zabijało mnie to, że mama była sama. Billy zawsze był wtedy ze mną.

A Amelia? Widział, jak ciotka walczy finansowo i emocjonalnie, starając się być rodziną dla niego i Delores. Obserwował, jak umawiała się z różnymi facetami, poszukując Pana Właściwego, który jednak nigdy się nie pojawił.

Życie mojej mamy i Amelii to nie życie. Przynajmniej nie takie, którego pragnęłabym dla siebie.

A jednak w takim punkcie jestem.

Billy kiwa głową.

– Tak Katie, wiem, o co ci chodzi.

Mocno pocieram oczy. Jestem sfrustrowana.
Rozczarowana... sobą.

– Po prostu muszę podjąć właściwą decyzję.
Wymyślić jakiś plan i się go trzymać. Po prostu...

– Łamie mi się głos. – Po prostu nie wiem, co mam
zrobić.

Billy wzdycha głęboko, po czym wstaje.

– Dobra. Pieprzyć to. Chodźmy.

Podchodzi do kuchennej szafki i grzebie pod
zlewem. Nie mam pojęcia, czego szuka.

– Co? Gdzie mamy iść?

Prostuje się, trzymając śrubokręt.

– Do miejsca, w którym nie dopadną nas
problemy.



Billy zatrzymuje się na parkingu. Reflektory
oświetlają wielki, ciemny szyld.

Widzicie go?

Tor rolkarski.

Wysiadamy.

– Nie sędzę, żeby był to dobry pomysł, Billy.

– Dlaczego nie?

Podchodzimy do bocznej ściany budynku. Oto zasada, której nauczyłam się w młodości: Jeśli idziecie w ciemności lub uciekacie przez las przed policją, wysoko unście nogi. To ochroni wasze łydki oraz dłonie przez kłującym bólem.

– Ponieważ jesteście dorośli. To włamanie.

– Kiedy mieliście po siedemnaście lat, to też było włamanie.

Podchodzimy do okna. W świetle księżycy ledwo dostrzegam twarz Billy'ego.

– Wiem. Ale nie sędzę, by teraz szeryf Mitchell był tak samo skory, by nas puścić.

– No błagam. Amelia mówiła, że szeryf nudzi się, odkąd wyjechaliśmy z miasta. Zabiłby za jakąś rozrywkę. Dzieciaki są teraz... za leniwe. Nie są pomysłowe w rozrabianiu.

Czekajcie. Co?

Cofnijmy się na moment.

– Co masz na myśli, mówiąc, że Amelia wie o nudzie szeryfa? A odkąd to Amelia rozmawia z szeryfem Mitchellem?

Billy kręci głową.

– Zaufaj mi, nawet nie chcesz wiedzieć. – Podaje mi śrubokręt. – Nadal to potrafisz? Czy może straciłaś talent?

Po raz drugi dzisiaj przyjmuję wyzwanie. Wyrywam mu śrubokręt i podchodzę do okna. Jakies dwadzieścia sekund później wchodzimy do środka.

O tak, nadal wiem, jak się to robi.

Tor rolkarski był miejscem naszych wypadów. Włamywanie się tutaj po zamknięciu było naszą najlepszą rozrywką. Zręczne ręce to dar szatana. Zatem – na miłość boską – znajdźcie swoim dzieciakom jakieś hobby.

Dziesięć minut później jeżdżę w za dużych, zużytych rolkach. To wspaniałe uczucie. Jakbym fruwała w powietrzu, unosiła się wśród wielkich, puchatych chmurek.

W tle radio gra największe hity lat osiemdziesiątych. Billy opiera się o ścianę, wydmuchując dym przez okno. Zaciąga się głęboko, po czym wypuszcza biały obłoczek i mówi:

– Wiesz co? Mogłabyś pojechać ze mną do Kalifornii. Założyłabyś własny interes. Mam kumpli, ludzi z pieniędzmi, zainwestowaliby w ciebie. Moi przyjaciele są twoimi przyjaciółmi. *Mi casa es su casa* i w ogóle.

Zatrzymuję się i zastanawiam nad tym, co powiedział.

– Właściwie to oznacza: „mój dom jest twoim domem”.

Billy ściąga brwi.

– Och. – Wzrusza ramionami. – Zawsze byłem kiepski z hiszpańskiego. Señorita Gonzales mnie nienawidziła.

– Ponieważ skleciłeś ze sobą jej długowłose psy.

Billy śmieje się, przypominając to sobie.

– Tak. To była szalona noc.

Też zaczynam się śmiać i obracać się niczym jakaś łyżwiarka na olimpiadzie. Zaczyna się *Never Say Goodbye* Bon Jovi. To była nasza piosenka na studniówce.

Podnieście rękę, jeśli i u was ją grali. Jestem pewna, że po osiemdziesiątym siódmym grali ją przynajmniej raz na każdym balu.

Billy wyrzuca peta przez okno, po czym podjeżdża do mnie. Wyciąga rękę, najlepiej jak potrafi, naśladując Sok z Żuka[2].

– Mogę prosić?

Uśmiecham się i podaję mu dłoń, po czym opieram mu ręce na ramionach. Kiedy Bon Jovi śpiewa o zadymionych pokojach i zgubionych kluczach, zaczynamy się kołysać.

Ręce Billy'ego znajdują się nisko na moich plecach. Obracam głowę i opieram policzek na jego piersi. Jest ciepła. Jego flanelowa koszula pachnie dymem, ziemią i... domem.

Billy opiera brodę na mojej głowie i pyta cicho:

– Pamiętasz studniówkę?

Uśmiecham się.

– Tak. A pamiętasz sukienkę Dee-Dee?

Billy wybucha śmiechem. Delores już wtedy wyznawała oryginalne trendy. Lady Gaga nawet się do niej nie umywa. Jej sukienka była biała i sztywna jak spódniczka baletnicy. Jej krawędź wykończona była błyszczącą lamówką. Była naprawdę ładna. Dopóki nie stanęła w ogniu. Wtedy chłopak, z którym przyszła, Louis Darden, chcąc ją ugasić, wylał na nią miskę wzbogacanego ponczu. Resztę nocy spędziła, lepiąc się i cuchnąc jak gaszone ognisko.

Ciągnę naszą wędrówkę po wspomnieniach.

– A pamiętasz ostatni dzień trzeciej klasy?

Pierś Billy’ego huczy, gdy się śmieje.

– To nie jest mój ulubiony moment.

To był ostatni dzień szkoły, jakieś czterdzieści stopni na zewnątrz w cieniu i niestety brak klimatyzacji w klasach. Jednak dyrektor Cleeves nie chciał nas wcześniej wypuścić. Zatem Billy wcisnął guzik alarmu przeciwpożarowego.

W tym samym korytarzu, na którym stał dyrektor.

Odbył się pościg, lecz Billy zdołał uciec. Zatem dyrektor próbował go wezwać przez szkolne radio. „Billy Warren proszony jest o stawienie się

w gabinecie dyrektora. Natychmiast”.

– No daj spokój. Wiem, że nie byłem najgenialniejszym dzieciakiem, ale naprawdę myśleli, że przyjdę?

Śmieję się głośno przy jego piersi.

– A potem, kiedy rozpoczęła się następna klasa, Cleeves dopadł cię i powiedział: „Panie Warren, w kozie czeka krzesło z pana imieniem”.

Naprawdę tak było. Wypisano jego nazwisko na oparciu, przez co krzesło wyglądało jak fotel reżysera.

Billy wzdycha.

– Stare, dobre czasy.

Przytakuję.

– Najlepsze.

Kiedy wirują wokół nas słowa starych piosenek i niekończąca się miłość, zamykam oczy. Billy obejmuje mnie mocniej i przyciąga bliżej siebie.

Widzicie, dokąd to zmierza, prawda? Ja nie zauważyłam.

– Brakowało mi tego, Kate. Tęskniłem za tobą.

Nie odpowiadam tym samym, ale miło to słyszeć. Jeszcze lepiej być w czyichś ramionach.

Poczuć się chcianą.

Bardzo długo żywiłam w stosunku do Billy’ego wyłącznie przyjacielskie uczucia. Jednak to wcale nie oznacza, że zapomniałam o dziewczynie, którą

niegdyś byłam. O tej, która myślała, że nie ma na świecie nic słodsze­go, niż patrzenie w oczy Billy'ego Warrena. Nic bardziej romantycznego, niż słuchanie jego śpiewu. Nic bardziej ekscytującego, niż nocna jazda jego samochodem.

Pamiętam, jak to było go kochać. Mimo że nie kocham go już w ten sam sposób.

Spoglądam na Billy'ego, gdy cicho śpiewa słowa piosenki. Dla mnie.

Patrząc wstecz, nie jestem pewna, kto pierwszy się przysunął, kto wykonał pierwszy ruch. Wiem tylko, że w jednej chwili tańczyliśmy na środku toru rolkarskiego, a w kolejnej... Billy mnie całował.

Odwzajemnienie pocałunku zajęło mi dosłownie se-
kundę.



[2] Postać z filmu *Sok z Żuka* (ang. *Beetlejuice*) – w reżyserii Tima Burtona z 1988 roku.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Całowanie Billy'ego jest... miłe. Znajome. Słodkie.

Jak znalezienie na strychu rodziców starej, ulubionej zabawki. Uśmiechacie się, gdy ją widzicie. Dotykacie jej dłonią i przypominacie sobie wszystkie te dni, które spędziłyście z nią w wymyślanym świecie. To nostalgia. Część waszego dzieciństwa.

Część, którą pozostawiłyście za sobą, ponieważ teraz jesteście dorosłe.

Zatem, bez względu na to, jak drogie są wam te wspomnienia, nie odkurzacie zabawki i nie zaczniecie się nią bawić.

Pocałunek się kończy, a ja pochylam głowę, gapiąc się w koszulę Billy'ego. Pamiętacie to powiedzenie – to chyba nawet z piosenki – że jeśli nie możecie być z tym, kogo kochacie, powinniście kochać tego, z kim jesteście? Doskonale pasowałyby do mojej sytuacji.

Może poza tym, że ja już kochałam Billy'ego. Za bardzo, by korzystać z jego oddania – za bardzo, by wykorzystać go do posklejania złamanego serca

i poobijanego ego. Billy Warren zasługuje na coś lepszego. Nie jest nagrodą pocieszenia. Chętnie wydrapałabym oczy każdej, która próbowałaby ją z niego zrobić.

Kiedyś powiedział mi, że nie jestem dziewczyną, w której zakochałby się ponownie. Jednak chociaż wtedy to bolało i było niewłaściwe, miał rację. Ponieważ nie jestem już tamtą dziewczyną.

Odrywam wzrok od jego koszuli i unoszę do góry.
– Billy...

Kładzie mi palec na ustach, poruszając nim delikatnie. Zamyka oczy i bierze głęboki wdech. Przez chwilę stoimy w bezruchu, trzymając się jeszcze kilku sekund naszej uroczej przeszłości.

Jednak Billy przerywa magiczną ciszę:

– Bycie z tobą jest niesamowite. Tak dobre, jak zapamiętałem, a może nawet lepsze. Czuję, jak... jakbyśmy się przejechali DeLoreanem[3]. – Czule obejmuje moją twarz. – Ale jest w porządku, Kate. To była tylko chwila. Teraz musimy wrócić do przyszłości. To nie musi znaczyć nic więcej. Nie musi zmieniać tego, co mamy teraz, bo to też jest dość niesamowite.

Przytakuję z ulgą, wdzięczna, że Billy wie, co czuję, i nie muszę mu tego wyjaśniać. I za to, że on czuje to samo.

– To dobrze.

Uśmiecha się.

– Powinienem odstawić cię do domu, nim Carol spuści psy, lub, co gorsza, Amelia.

Chichoczę. Trzymając się za ręce, opuszczamy tor rolkarski, pozostawiając za sobą wspomnienia.



Dwadzieścia minut później Billy zatrzymuje się na parkingu przed restauracją mojej mamy. Siedzimy w ciszy w jego samochodzie.

– Chcesz, żebym cię odprowadził?

– Nie. W porządku. Dam radę.

Powoli kiwa głową.

– To co... Między nami będzie teraz tak... niezręcznie tylko dlatego, że przez kilka chwil siłowaliśmy się na języki?

Jak już mówiłam – Billy zawsze był biegły w wysławianiu się.

– Nie. Żadnej niezręczności. Bez obaw.

Potrzebuje potwierdzenia.

– Nadal jesteś moją dziewczyną, Katie?

Nie ma na myśli dziewczyny i związku. Chodzi mu o przyjaźń – i to najlepszą – z kimś, kto jest dziewczyną.

Tak tylko mówię, w razie jakbyście miały wątpliwości.

– Zawsze będę twoją dziewczyną, Billy.

– To dobrze. – Obraca się i patrzy przez szybę. – Naprawdę powinnaś pomyśleć o Kalifornii. Sądzę, że byłaby to dla ciebie miła odmiana. Szybkie zerwanie z przeszłością.

W pewnym sensie ma rację. Kalifornia byłaby dla mnie czystą kartą. Żadnych wspomnień. Żadnych bolesnych spotkań. Żadnych kłopotliwych rozmów. A z moim CV nie powinnam mieć problemów ze znalezieniem pracy.

Jednak trzeba też dodać, że... w Nowym Jorku mam kontakty. Korzenie. Nie jestem pewna, czy chcę je wszystkie zrywać. Zatem, tak jak i w każdym innym aspekcie mojego teraźniejszego życia – nie wiem, co zrobić.

Brzmie jak zdarta płyta, co? *Sorry*.

Kładę rękę na jego dłoni opartej na lewarku.

– Przemyślę to.

Drugą dłonią nakrywa moją.

– Pozbierasz się, Kate. Jestem o tym przekonany. Będzie lepiej. Nie zawsze będzie bolało jak teraz. Mówię z doświadczenia.

Uśmiecham się z wdzięcznością.

– Dzięki, Billy. Za wszystko. – Wysiadam, a on odjeżdża.



Daję znać mamie, że wróciłam i idę do swojego pokoju. Zamykam drzwi i opieram się o nie. Jestem wyczerpana.

To był długi, cholernie męczący dzień.

Mama posprzątała mój pokój. Nie to, żebym wcześniej nabałaganiła, ale teraz jest czyściej. Poduszki są poukładane, telefon leży na nocnej szafce.

Skopuję buty, podnoszę go i włączam. Pomimo że nim rzuciłam, nadal działa. Sprawdzam połączenia przychodzące. Wyświetlają się numery i drażnią mnie. Szydzą ze mnie.

To byłoby takie proste. Wklepałabym kilka cyferek i usłyszałabym jego głos. Minęło już tyle czasu, odkąd ostatnio go słyszałam. Drżą mi nieco ręce. Jak ćpunowi na myśl o działce – żeby tylko posmakować.

Odebrałby?

Czy byłby sam, gdyby to zrobił?

Takie myśli zabijają mój głód. Nie ma mowy, bym wykręciła jego numer.

Mimo to...

Niezbyt często przesłuchuję wiadomości na poczcie głosowej. Jeszcze rzadziej je kasuję. Jednak teraz wchodzę tam, szukam daty, która mnie interesuje i naciskam „play”.

– Cześć, kochanie. Partyjka golfa nam się przedłużyła. Po drodze do domu kupię na wieczór butelkę czegoś dobrego. Chcesz Dom czy Philipponnat? Wiesz co? Po namyśle, pieprzyć szampana. Smakujesz lepiej niż oba razem wzięte. Będę w domu za pięć minut.

Zamykam oczy i pozwalam jego słowom wybrzmieć. Drew ma niesamowity głos. Spokojny, kojący, i jednocześnie diabelnie kuszący. Zdecydowanie mógłby pracować w radiu.

Naciskam kolejny guzik.

Tym razem jego ton jest rozdrażniony.

– Kate, jesteś spóźniona. Powiedz Delores, żeby sama odebrała sobie te cholerne buty. Masz chłopaka, który siedzi całkiem sam w wielkim, ciepłym jacuzzi. Wracaj do domu, kochanie. Czekam na ciebie.

Gdyby tylko to mogło być dzisiaj aktualne.

Tych wiadomości jest więcej – niektóre krótkie, rzeczowe, inne sprośne i frywolne. Przesłuchuję je wszystkie. W żadnej nie mówi, że mnie kocha, jednak wcale nie musi tego robić. Słyszę to w każdym słowie. Za każdym razem, gdy

wypowiada moje imię.

Bezwiednie zastanawiam się, jak to wszystko mogło się tak skończyć. W jaki sposób znaleźliśmy się w tym miejscu? Czy kiedykolwiek z niego wrócimy?

Nie płaczę. Zabrakło mi już łez. Zwijam się w kulkę na środku łóżka, a głos Drew tuli mnie do snu.



Następnego dnia siedzimy z Billym na zapleczu restauracji, dzieląc się talerzem frytek. Pracuje nad nową piosenką i lepiej mu się myśli, gdy jest w ruchu. Widzicie go? Łazi z jednego końca pomieszczenia na drugi, mamrocząc coś pod nosem, nucąc i raz po raz brzdąkając coś na gitarze przewieszzonej przez ramię.

Siedzę przy stole, starając się wyjść z otchłani rozpaczki, w jakiej znalazło się moje życie.

Billy podchodzi do drzwi prowadzących na salę restauracji i coś przykuwa jego uwagę. Natychmiast się odwraca.

– O w mordę!

Podnoszę głowę.

– Co? Co się stało?

Drzwi otwierają się z hukiem. Uderzają o ścianę i zamierają, zbyt przestraszone, by się ruszyć, ponieważ stoi w nich, w całej swej wkurzonej chwale, moja najlepsza przyjaciółka.

Delores Warren. Rzeczywiście, o w mordę!

Ma na sobie czerwone, wysokie do kolan kozaczki, obcisłe czarne spodnie, czarny top i króciutkie, czarno-białe, sztuczne futerko. Na ramionach zawieszona ma mnóstwo toreb od Louisa Vuittona; tej samej marki jest stojąca za nią wielka walizka na kółkach. Gniew sprawia, że jej bursztynowe oczy błyszczą jak świeżo oszlifowane topazy.

– Czy ktoś raczy mi wyjaśnić, dlaczego matka dzwoni do mnie i mówi, że w Greenville odbywa się zjazd trzech muszkieterów, na który nie zostałam zaproszona?

Podchodzi bliżej. Billy chowa się za mną, wykorzystując mnie jako żywą tarczę.

– Albo jeszcze lepiej, mógłby mi ktoś powiedzieć, dlaczego moja najlepsza przyjaciółka wylatuje z Nowego Jorku jak nietoperz z piekła, zostawiając za sobą bałagan, przy którym burza piaskowa wygląda jak lekki wiosenny wietrzyk, a ja nie mam zielonego pojęcia dlaczego?!

Podchodzi kolejny krok bliżej i rzuca torby na

podłogę, po czym obraca głowę w prawo – gdzie obok szafki stoi jasnowłosa nastolatka. To Kimberly. Jest tu kelnerką. Pracuje po szkole. Wydaje się miła. I w tej chwili – przerażona.

– Hej, Gidget, może byś się ruszyła i przyniosła mi dietetyczną colę? I nie oszczędzaj na lodzie.

Kimberly ucieka z pomieszczenia.

Szczęściara.

Delores wskazuje na mnie i wrzeszczy jak Jack Nicholson w *Ludziach honoru*:

– No i? Nie możesz mnie trzymać w niewiedzy, Kate. Ja chcę wiedzieć!

Jeśli kiedykolwiek zaatakowałaby was wściekła wilczyca, połóżcie się na ziemi i udawajcie martwe. Będzie łatwiej.

Mówię cichym, potulnym głosem:

– Nie chciałam ci psuć wyjazdu.

Delores prycha.

– Byłby całkiem udany, gdyby nie furiackie ataki Alexandry. Dzwoniła ze dwadzieścia razy do hotelu, wykrzykując, jak to szybko musimy wrócić do domu, bo Drew trzeba pilnować, by nie popełnił samobójstwa.

Przewracam oczami.

– Jak zwykle przesadziła.

– Też tak myślałam. Aż na własne oczy zobaczyłam Mrocznego Księcia. Nie wyglądał za

dobrze.

Łykam te informacje jak nowo narodzony ptaszek robaka, pragnąc więcej.

– Widziałaś Drew? Co mówił? Pytał o mnie?

– Nie był wtedy w stanie wyrazić się dość spójnie. Przeważnie mamrotał coś pod nosem jak wiejski głupek, którym w zasadzie jest. Jack się nim zajmował. Najwyraźniej palant zadekował się ostatnio w barze i Jack musiał tam pójść, by go pilnować. Co jest przerażające samo w sobie, biorąc pod uwagę, że Jack mógłby kandydować do nagrody dziwkarza roku.

Drew szlaja się po barach. Z Jackiem O'Shayem. Pamiętacie, jak skończył się ostatni wypad Drew i Jacka? Dziewczyna z taksówki, mówi wam to coś?

Zatem tak boli dźgnięcie prosto w serce szpikulcem do lodu.

Głos Billy'ego jest sarkastyczny, jakby chciał odciągnąć ode mnie gniew Dee-Dee:

– Hej, Delores. Też cię miło widzieć. U mnie super. Dziękuję, że pytasz. Nowy album? Idzie świetnie, potrójna platyna. Kalifornia? Fantastyczna, nie mógłbym być szczęśliwszy. Jeszcze raz... – Zwija dłonie w trąbkę przy ustach, udając, że mówi przez megafon. – ...dziękuję, że pytasz.

Delores wbija w niego wzrok, taksując go z góry na dół. Nie jest zadowolona z tego, co widzi.

– To się nazywa maszynka do golenia. Powinieneś sobie coś takiego sprawić. Jeśli starożytni potrafili ją opanować, ty też wymyślisz, jak się jej używa. Och, i Pearl Jam dzwonił. Chcą z powrotem tę flanelową koszulę.

Billy unosi brwi.

– Krytykujesz mój styl? Naprawdę, Cruella? Ile szczeniąt musiało umrzeć, żebyś mogła nosić to futro?

– Nazryj się gówna.

– A co? Znowu gotujesz? Myślałem, że sanepid zakazał ci prób, po tym jak ostatnio gotowałaś.

Delores otwiera usta, by odpyskować, ale nic z nich nie wychodzi. Na jej twarzy maluje się szeroki uśmiech.

– Tęskniłam za tobą, kretynie.

Billy mruga, zdziwiony.

– Ja za tobą też, kuzynko.

Billy siada obok mnie, a Delores naprzeciwno.

– Dobra, Lucy. Nawijaj.

Biorę głęboki wdech.

– Jestem w ciąży.

Początkowo Delores nic nie mówi. Po czym zegnana się znakiem krzyża.

– Antychryst chce się rozmnażać? Na litość

boską, musimy cię wykąpać w wodzie święconej czy czymś takim. Przybyło już czterech jeźdźców?

Kimberly wraca z dużą szklanką wody. Stawia ją przed Delores, po czym ucieka.

Delores upija łyk.

– Zatem zaliczyłeś wpadkę. Gratulacje. Najlepszym się zdarza. W czym problem?

Patrzę w blat.

– Drew nie chce dziecka.

Jak już wiecie, moja przyjaciółka nie jest fanką Drew. Jeśli o niego chodzi, zawsze zakłada najgorsze. Zawsze. Zatem spodziewam się, że będzie na niego wściekła. Spodziewam się, że wygłosi tyradę na temat żigolaków, psów i chorób wenerycznych. Spodziewam się, że dołączy do mnie w kolejnej rudzie gry w wyzwiska.

Jednak ona nie robi żadnej z tych rzeczy.

Zamiast tego śmieje się.

– O czym ty mówisz? Oczywiście, że chce dziecka. Drew Evans nie chciałby, by jego miniatuurka biegała po świecie? To jakby powiedzieć, że Matthew nie chce lodu, gdy stoimy w korku. To po prostu niedorzeczne.

Jestem zaskoczona, to mało powiedziane.

– Dlaczego tak myślisz?

Delores wzrusza ramionami.

– Pewnego razu o tym rozmawialiśmy. No i to,

jak odnosi się do Mackenzie. Jakby była jego oczkiem w głowie. Powiedz mi dokładnie, co ci powiedział. Faceci czasami gadają jakieś pierdoły i trzeba to przefiltrować przez palce, żeby zrozumieć, o co im chodzi.

– Och, wyraził się dość jasno. Dokładnie powiedział „zakończ to”. A striptizerka, którą oczywiście sobie wynajął, naprawdę podkreśliła wagę jego słów – odpowiadam z goryczą.

Delores wskazuje na mnie palcem. W końcu widać w niej gniew.

– W to uwierzę. Pieprzony kutas. – Wyciąga rękę. – Ale czekajcie. Nie panikujmy. Wszystkim się zajmę. W laboratorium mamy nowe paliwo, gotowe do testowania na zwierzętach. Nie zorientuje się, co go załatwiło. Mogłabym wlać je bezpośrednio do wentylacji. – Patrzy na Billy’ego. – Potrzebuję taśmę samoprzylepną i węża ogrodowego. – Patrzy na mnie. – A od ciebie kluczy i kodu do alarmu.

Kręcę głową.

– Delores, nie możesz zagazować Drew.

– Może to go nie zabije. Gdybym miała zgadywać, szanse na przeżycie są pół na pół.

– Delores...

– No dobra, trzy do siedmiu, ale to nadal daje nam spore szanse na uniknięcie

odpowiedzialności.

Mama i George wchodzą do pomieszczenia, przerywając jej snucie tego szatańskiego planu.

Mama mocno tuli Dee-Dee.

– Cześć, kochana! Dobrze cię widzieć. Jesteś głodna?

– Umieram z głodu. – Patrzy na George'a. – Cześć, George. Jak leci?

Myślę, że George trochę boi się Delores. Może nawet więcej niż trochę.

Poprawia okulary.

– A leci... dobrze. Dziękuję, że pytasz.

Mama odzywa się słodkim głosem:

– No proszę, znowu cała wasza trójka razem. Jak za starych, dobrych czasów.

Delores się uśmiecha.

– Przerazające, prawda?

Mama bierze George'a za rękę.

– Pójdziemy zrobić wam coś na obiad.

Wychodzą, a Delores zaciera ręce jak jakiś szalony naukowiec, którym w sumie jest.

– A teraz wróćmy do komory gazowej...

Przerywam jej:

– Delores, nie wiem, czy je urodzę.

Całe jej rozbawienie znika. Rozważa to przez chwilę. Wygląda, jakby była zamyślona, lecz najwyraźniej nie chce mnie osądzać. Kiedy się

odzywa, mówi poważnym, ale spokojnym głosem:

– Będę cię wspierać w stu pięćdziesięciu procentach, Kate. Wiesz o tym. Jednak, ponieważ cię znam, powiem tak: Jeśli zdecydujesz się go pozbyć, musisz być pewna, że to twoja decyzja, że sama tego chcesz. Jeśli chcesz to zrobić tylko dlatego, że Drew go nie chce, albo myślisz, że przez to w jakiś wypaczony sposób ponownie wam się ułoży, nie rób tego, bo skończysz, nienawidząc samą siebie i nie mogąc patrzeć na niego.

Nie można oszukać przyjaciela. Czasami to obosieczny miecz, ponieważ przyjaciel nie pozwoli wam oszukiwać samych siebie.

– Nie podjęłam ostatecznej decyzji. Jeszcze nie.

Delores sięga do torebki po telefon, bo *Sexy Bitch* Akona rozlega się w całym pomieszczeniu. Kiedy w niej grzebie, zwraca się do Billy'ego:

– Mógłbyś zanieść moje rzeczy do pokoju Kate? Zostaję tu dzisiaj na noc.

– A czy ja ci wyglądam na pieprzonego boja hotelowego?

Delores nie odpuszcza.

– Nie. Wyglądasz jak jakiś bezdomny. A ponieważ nie mam tu przedniej szyby, na którą mógłbyś napluć, bądź tak uprzejmy i zanieś moje bagaże na górę. Może rzucę ci za to dolara.

Z uśmiechem Billy zabiera się do roboty, mimo

to marudzi:

– Fajniej było, zanim tu przyjechała.

Delores patrzy na wyświetlacz telefonu.

– O, to Matthew. Przysięgam, że ten chłopak nie potrafi postawić klocka bez telefonu do mnie i opowiedzenia, jakiego był koloru. – Wychodzi, by porozmawiać na zewnątrz.

Billy zerka na mnie.

– Dobra, jestem facetem, ale nawet dla mnie było to ohydne.

Nie mogę się z nim nie zgodzić.



Kilka minut później Delores wpada na zaplecze. Nadal wisi na telefonie i jest czerwona, jakby zaraz miała wybuchnąć.

– Spośród wszystkich ignorantów, mówiących podobne gówniane, ciotowate rzeczy... kiedy z tobą skończę, będziesz sobie musiał zmienić płęć na wizytówkach, koleś!

Wciska czerwoną słuchawkę dużo mocniej, niż to konieczne.

– Problem?

– Tak. Problemem jest to, że ludzie są tym, co

mają między nogami, co wyjaśnia, dlaczego mój mąż zachowuje się jak wielki, gruby, obrzezany kutas.

Zakrywam uszy.

– Za dużo informacji, Delores. Za dużo. – Są rzeczy, których nie chcecie wiedzieć o mężach przyjaciółek. – Co się stało?

Wzdycha i siada obok mnie.

– Najwyraźniej po moim porannym odlocie, Matthew pojechał sprawdzić, co u Drew. Mieszkanie było pozamykane jak Fort Knox, ale Matthew ma dodatkowy klucz. Zastał twojego cholernego byłego chłopaka nieprzytomnego, pijanego w cztery dupy, na podłodze w łazience, gdzie przedtem narobił bałaganu i urządził sobie w wannie ognisko.

– Co?!

– No właśnie tak. Matthew powiedział, że gdyby nie przyjechał na czas, całe mieszkanie by się spaliło.

Kręcę głową z niedowierzaniem.

– Co podpalił?

Delores wzrusza ramionami.

– Matthew nie powiedział.

Jasne, ale założę się, że nie paliły się żadne rzeczy Drew.

Drań.

Delores ciągnie dalej:

– Dopiero jak Drew wytrzeźwiał, podał Matthew jakieś żalodne wytłumaczenie. Z początku w ogóle nie chciał mówić, ale Matthew pociągnął go za język. W końcu wyrzucił to z siebie jak snopowiązałka snopek.

Ściska mi się żołądek.

– Powiedział... powiedział Matthew o dziecku?

Delores kiwa głową.

– Matthew twierdzi, że Drew zdradził mu wszystko, co między wami zaszło.

W porządku. Może i dobrze. Jeśli Drew powie rodzinie o tym, że jestem w ciąży, może zmieni zdanie. Może potrzebuje tylko czasu, by przywyknąć do tej myśli. A Matthew jest świetny w takich sytuacjach. Nie tak dobry jak Steven czy Alexandra, mimo to jest opanowany. Przynajmniej w porównaniu z Drew.

– Co powiedział Matthew?

Delores zagryza wargi.

– Powiedział, że nie może uwierzyć, że zrobiłaś coś takiego Drew.

– Co?

Dajcie tu jakąś muzyczkę. Zaczynamy *Strefę mroku*.

Domyślałam się, że załoga z Nowego Jorku weźmie stronę Drew; mówiłam, że tak będzie.

Jednak myślałam... że chociaż częściowo będą mnie bronić. Albo że przynajmniej wściekną się na jego metody.

Delores kładzie dłoń na mojej.

– Proszę, nie przejmuj się tym, co powiedział Matthew. To naturalne, że będzie trzymał stronę Drew. Tak jak ja pomogłabym ci zakopać ofiarę zbrodni, nawet jeśli musiałybyśmy pochować moją najukochańszą matulę.

– Delores, to chore.

– Doprawdy? To nie ty weszłaś do domu i usłyszałaś, jak posuwa ją szeryf Mitchell.

Opada mi szczęka.

Delores ciągnie z niesmakiem:

– I nie krępowali się niczym. Słysząc ich było, jak w kinie Imax. Będę mieć uraz do końca życia.

Zatrzymajmy się w tym momencie.

Nigdy nie poznałyście dobrego szeryfa, więc wytłumaczę. Kiedy byliśmy nastolatkami, szeryf Ben Mitchell był dla nas cierniem w oku, kamieniem w bucie, wrzodem na tyłku. Nie miał nic lepszego do roboty niż łązić za nami, przerywając nasze piwne imprezy i co rusz zatrzymując samochód Billy'ego w poszukiwaniu trawki.

Zawsze myślał, że coś kombinujemy i... no cóż... miał rację.

Jednak nie o to chodzi.

Nawet jeśli szeryf Mitchell był w tym samym wieku co nasi rodzice, zawsze wydawał się starszy – jak gderliwy sąsiad z laską, który nigdy nie pozwala zabrać piłki przez przypadek wrzuconej do jego ogródka. Z tego co wiem, Mitchell nigdy się nie ożenił i nie chodził też na randki, zatem wszyscy zakładali, że jego skrzywiona mina i wkurzający charakter wynikają z tego, że nie może sobie dobrze pobzykać.

A Amelia Warren w każdym calu jest przeciwieństwem Mitchella. Jest aktywną członkinią Klubu Mocy Uzdrawiających Kryształów. Współczesnym dzieckiem kwiatem. Sama wizja ich jako pary jest przerażająca, a jednocześnie osobliwa.

Wstrząsa mną dreszcz.

– Masz rację. To chore.

Billy zbiega z góry.

– Co jest chore?

Delores zrzuca bombę:

– To, że Amelia i stary Mitchell się pieprzą. Na kuchennym stole.

Billy się krzywi i jęczy:

– O fuuuuj... Rano jadłem przy tym stole.

Odwracam się do niego.

– Wiedziałaś o tym?

– Coś podejrzewałem. Miałem nadzieję, że się mylę.

Delores zgadza się z nim.

– Jak my wszyscy. Już nie wiem, co gorsze: słuchać, jak matka jęczy w ekstazie czy jak on domaga się więcej, i wyobrażać sobie, co ona mu, u diabła, musi robić.

Zakrywam usta.

Jednak wybucham śmiechem.

Wszyscy się śmiejemy. Zaczyna się od parsknięcia i chichotu, kończąc na wyciskającym z łzy oczu rechocie.

– O... mój... Boże!

Choć Delores się krztusi, mówi:

– To wcale nie jest śmieszne! Myślę, że moje dziewczęce części ciała nie są w stanie tego wytrzymać. Za każdym razem, gdy o tym pomyślę, moja wagina zaciska się jak małż walczący o życie.

Rychnyśmy ze śmiechu jeszcze głośniej. Śmieję po raz pierwszy, odkąd to wszystko się zaczęło. Bola mnie policzki i kłuje w boku, ale to cudowne.

Wiecie, czasami staram się wyobrazić sobie, jak wyglądałoby moje życie, gdyby nie było w nim Dee-Dee. Jednak nie udaje mi się. Nie potrafię.



[3] DeLorean DMC-12 (czyt. *delorjan*) – samochód sportowy produkowany przez DeLorean Motor Company w latach 1981–1983, wykorzystany w trylogii filmowej *Powrót do przyszłości* jako wehikuł czasu.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Kiedy już zainstalowaliśmy Delores w moim pokoju, Billy zadzwonił do swojego menedżera. Postanowił zagrać w małym barze U Sama, gdzie grywał jeszcze w liceum. Chciał uhonorować miejsce, z którego się wywodzi – ofiarować coś w zamian miejscowym, jak zawsze robi Bruce Springsteen w Stone Pony.

Właśnie jesteście w barze U Sama.

Panuje tu ścisk. Zostały jedynie miejsca stojące. Obie z Delores zajmujemy te z przodu. Wymachujemy rękami, tańczymy i śpiewamy. Billy jest na scenie, zagrał już kilka piosenek w pierwszej części. Wygląda fantastycznie w ciemnych dżinsach, śnieżnobiałej zapinanej koszuli i z gładko ogoloną brodą. Wie, jak poderwać tłum – kiedy wystrzelić z gitarowym riffem lub kiedy ich uspokoić czułą balladą.

Nigdy nie byłam bardziej z niego dumna.

Piosenka się kończy, a ktoś z tyłu krzyczy, że go kocha. Billy, nieco zakłopotany, patrzy w dół i się śmieje. Zaraz jednak mówi do mikrofonu:

– Ja też was kocham. Następna piosenka jest

nowa. Nie grałem jej jeszcze w wytwórni, ale chciałbym ją wam dzisiaj zaprezentować. Napisałem ją dla kogoś... kto we mnie wierzył... nawet jeśli nie miał ku temu wielu powodów. Chcę, by wiedziała, że zawsze będę ją ochraniał, że zawsze będę miał ją w sercu, i że nigdy nie będzie sama.

Spojrzeniem odnajduje mnie w tłumie i puszcza do mnie oko.

Kiwam głową na znak porozumienia, że wiadomość odebrano.

Wtedy zaczyna śpiewać:

*Lata lecą, a wydaje się, jakby to było wczoraj,
Nie mogę uwierzyć, że czas minął tak szybko.
Nie chcę stracić kolejnej cennej sekundy,
Aby powiedzieć to, co od dawna powinnaś
wiedzieć.*

*Złapię cię, jeśli się potkniesz,
Podniosę, kiedy upadniesz,
Przytulę, gdy będziesz cierpiała,
Ale, kochanie, co najważniejsze,
Będę przy tobie, byś nie czuła się samotna.
Nigdy nie czuła się samotna.*

Rytm pulsuje mi w brzuchu, kiedy przysłuchuję się słowom. Myślę też, że jestem szczęściarą,

mając to, co posiadam. Jak bezcenne, szlachetne błogosławieństwa, mam rodzinę, która mnie kocha, i przyjaciół, którzy by dla mnie zabili. Dosłownie.

I rozmyślałam o tym, kim jestem. Przetrwałam śmierć ojca. Z wyróżnieniem skończyłam finanse na Wharton. Pamiętacie, jak zaczynałam pracę w firmie, której Drew Evans był złotym dzieckiem? Ustawiłam go do pionu. Skopałam mu tyłek jak biuro dłużni i szerokie.

Dokonałam tego.

Ponieważ byłam uparta. I inteligentna. I ponieważ wierzyłam, że jestem w stanie tego dokonać.

Drew powiedział mi kiedyś, że można zmienić kolor ścian, mimo to pokój pozostanie taki sam.

Miał rację.

Byłam taka na długo przed nim – i nadal taka jestem.

Bez niego.

*Od tej chwili, każdego dnia,
Będę się starał, najmocniej jak potrafię,
By pokazać ci, ile dla mnie znacysz,
Bo jeśli nie będziesz blisko,
Wtedy to wszystko na nic.
Nie chcę stracić kolejnej cennej sekundy,*

*Aby powiedzieć to, co od dawna powinnaś
wiedzieć.*

Zgubiłyście kiedyś klucze? Przetrzęsnięłyście wszystkie kieszenie i popodnosiłyście wszystkie poduszki kanapy? A wtedy – po jakiś dziesięciu minutach poszukiwań – odwracacie się, i oto są. Leżą na stole. Cały czas przed wami.

Niemal jak odpowiedź zbyt oczywista, by o niej pomyśleć.

Tak właśnie się czuję.

Ponieważ nagle wiem, czego chcę. Jestem pewna. Przekonana. I wiem, do czego jestem zdolna. Nie będzie łatwo – największe osiągnięcia nigdy takie nie są.

Wspinaczka na Mount Everest czy wybór na prezydenta?

To mozolna praca. Lecz warto ją wykonać.

*Złapię cię, jeśli się potkniesz,
Podniosę, kiedy upadniesz,
Przytulę, gdy będziesz cierpiąca,
Ale, kochanie, co najważniejsze,
Będę przy tobie, byś nie czuła się samotna.
Nigdy nie czuła się samotna.*

Wyobrażam sobie siebie za kilka lat wracającą

ulicą wielkiego miasta z pracy, którą uwielbiam, niosącą aktówkę i prowadzącą za rączkę słodkie małe dziecko. Potem widzę nas w jadalni przy stole, jak odrabiamy lekcje i rozmawiamy o tym, jak minął nam dzień. Jak czytam maluszkowi do poduszki, jak mocno go tulę i całuję w nosek.

Nie planowałam być samotną matką.

Jednak teraz?

Właśnie nią chcę zostać.

Będę przy tobie na każdym kroku,

Nie przegapię ani jednej chwili...

Będę przy tobie na każdym kroku,

Nie przegapię ani jednej chwili...

Znacie to powiedzenie, że jeśli chcecie rozśmieszyć Boga, powinniście mu opowiedzieć o swoich planach? Przypomnijcie je sobie teraz.

Gdy tylko myśl o posiadaniu dziecka zakorzenia się w mojej głowie, w brzuchu czuję tępy, pulsujący ból. Moje panie, dokładnie wiecie, o jakim bólu mówię. Zaraz potem czuję skurcze w podbrzuszu, po czym ciepłą ciecz wypływającą mi spomiędzy nóg i przesiąkającą przez bieliznę.

Serce wali mi jak młotem, gdy biegnę do łazienki, mając nadzieję, że się mylę.

Gdy już jestem w kabinie, widzę, że jednak nie.

Wypadam z łazienki i przepycham się przez tłum. Ręce dosłownie trzęsą mi się ze strachu. Ponieważ to zły objaw.

Bardzo, bardzo, bardzo zły.

Łapię Delores za ramię i mówię jej o tym, ale muzyka jest zbyt głośna i ona mnie nie słyszy. Zaciągam ją pod bar, gdzie jest trochę ciszej i zmuszam się do wypowiedzenia słów:

– Dee, mam krwawienie.



Forrest Gump wszystko pokręcił. Życie wcale nie jest jak pudełko czekoladek. Lekarze tacy są.

Żwawy, ale niedoświadczony lekarz tuż po studiach lub styrały, kończący za dwadzieścia minut swoją zmianę dziadek – nigdy nie wiecie, na kogo traficie.

– Samoistne poronienie.

Moje spojrzenie szybko przeskakuje z monitora ultrasonografu w kierunku szaroniebieskich oczu lekarza pogotowia. Jednak on na mnie nie patrzy – jest zbyt zajęty wypełnianiem mojej karty.

– Co... co pan doktor powiedział?

– Samoistne poronienie. To częste w pierwszym

trymestrze.

Staram się przetworzyć jego słowa, ale nie potrafię odnaleźć w nich sensu.

– Mówi pan... mówi pan, że tracę dziecko?

W końcu na mnie spogląda.

– Tak. Jeśli już go pani nie straciła. Na początku ciąży to trudny do określenia moment.

Kiedy wyciera przezroczysty, zimny żel z mojego brzucha, Delores ściska mnie za rękę.

W drodze do szpitala dzwoniłyśmy do mojej mamy, ale nie dojechała.

Przełykam mocno ślinę, lecz nie poddaję się. Jestem uparta, pamiętacie?

– Jest coś, co pan doktor może zrobić? Podać jakieś hormony lub zalecić leżenie w łóżku? Mogę leżeć całe dziewięć miesięcy, jeśli ma to pomóc.

Odpowiada obojętnym, zniecierpliwionym głosem:

– Nie ma nic, co mógłbym zrobić, by to powstrzymać. I niech mi pani wierzy, nie chciałaby pani tego. Samoistne poronienie jest naturalną selekcją, sposobem organizmu na pozbycie się płodu, który byłby tak strasznie uszkodzony, że nie potrafiłby przeżyć poza łonem matki. Lepiej się go pozbyć. – Pomieszczenie zaczyna wirować, jednak lekarz ciągnie dalej: – Musi się pani umówić na wizytę do ginekologa

prowadzącego. Kiedy tkanki płodu zostaną wydalone, należy je zebrać papierowym ręcznikiem i umieścić w słoiczku, by lekarz mógł ocenić szczątki i upewnić się, że macica jest czysta. Jeżeli jednak macica nie będzie...

Przyciskam dłoń do ust, by nie wymiotować. Delores przybywa na ratunek:

– Wystarczy. Dziękujemy, doktorze Frankensteinie. Damy sobie radę.

Doktor wydaje się urażony.

– Muszę udzielić pacjentce szczegółowych instrukcji. Jeśli cokolwiek zostanie w macicy, może dojść do sepsy i śmierci. Może potrzebować czyszczenia, by zapobiec infekcji.

Brzmi znajomo. Wiem, że gdzieś już się z tym spotkałam, jednak teraz nie pamiętam, z czym się to wiąże.

Pytam słabym głosem:

– Na czym polega czyszczenie?

– Na wysysaniu.

W mojej głowie pojawia się obraz, więc się krztuszę.

Doktor kontynuuje:

– Głowica ssąca jest umieszczana przy szyjce macicy i...

– Jezu Chryste, przestań pan gadać! – krzyczy Dee-Dee. – Nie widzi pan, jak bardzo jest

zdenerwowana? Chorował pan, gdy w szkole uczono o delikatności w zawodzie lekarza?

– Przepraszam panią, nie wiem, za kogo się pani uważa, ale nie będę rozmawiał z...

Delores wskazuje palcem drzwi niczym salutujący nazista.

– Wynocha. Koleżanka umówi się na wizytę z innym ginekologiem. Panu już dziękujemy.

Lekki powiew oznacza, że ktoś obok mnie przeszedł, ale nie jestem pewna, czy to lekarz, ponieważ mój wzrok nie chce się skupić, a umysł jest cały odrętwiały. Cały czas próbuję ogarnąć ostatnie wydarzenia, ale jakoś marnie mu idzie. Delores kładzie mi rękę na ramieniu, więc zaskoczona obracam ku niej głowę. Jakbym zapomniała, że jest tu ze mną.

– Kate? Pomogę ci się teraz ubrać, dobrze? Zabiorę cię do domu.

Mechanicznie kiwam głową. Czuję się, jakbym nie była sobą – jakbym wyszła z ciała. Albo miała koszmar. Nie ma mowy, żeby to działało się naprawdę.

Po tym wszystkim... to po prostu niemożliwe, by to wszystko tak się skończyło.

Delores ubiera mnie jak lalkę. Po czym pomaga mi zejść z fotela. Podtrzymuje mnie, gdy idziemy do samochodu.



Już w moim pokoju, Delores siedzi w nogach łóżka, a mama owija mnie kołdrą. Jej oczy lśnią od łez.

Jednak nie moje. Moje są suche jak Sahara.

Mama głaszcze mnie po głowie i wygładza poszwę.

– Chcesz coś zjeść, skarbie?

Wydaje się zdesperowana, jakby chwytiała się rzeczy, z którymi potrafi sobie poradzić. Bez słowa kręcę głową, ponieważ cały rosół świata nie jest w stanie mi teraz pomóc. Nie tym razem.

Całuje mnie w czoło i wychodzi, zamykając za sobą drzwi.

Delores i ja siedzimy w ciszy.

Powinnam czuć... ulgę. To znaczy, jeszcze nie tak dawno temu myślałam, że właśnie tego chciałam, prawda? Umyć od tego ręce. Pozbyć się problemu.

Jednak teraz jedyne, co czuję, to... żal. Wyrzuty sumienia. Napełniają mi płuca i krztuszę się z każdym oddechem. Najwyraźniej, gdzieś głęboko w duszy, pod całym tym strachem,

niedowierzaniem i niepewnością, chciałam tego dziecka. Kochałam tę doskonałą cząstkę Drew i mnie.

Bardzo.

Choć wtedy nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Jest za późno. Nie docenia się tego, co się posiada, póki się tego nie straci. Stereotyp, ale to cholerna prawda. Wtedy nachodzi mnie myśl. Odsuwam kołdrę i wyskakuję z łóżka. Otwieram szufladę i przegrzebuję ją, jednak bezowocnie.

Opadam na kolana przy szafie i przegrzebuję torbę, z którą przyjechałam z Nowego Jorku. Grzebię w niej jak wdowa, która zgubiła obrączkę.

– Katie?

I w końcu ją znajduję. Maleńką koszulkę, którą wtedy kupiłam. Tę, którą planowałam podarować Drew, by obwieścić mu radosną nowinę.

Patrzę na koszulkę i czuję, jak do oczu napływają mi łzy. Przeciagam palcami po literach: PRZYSZŁOŚĆ JANKESÓW, w głowie widząc małego chłopca. Mojego słodkiego, maleńkiego chłopczyka.

Naszego.

Z oczami jak u ojca i jego nieodpartym uśmiechem. Tego, którego nigdy nie będzie. Unoszę koszulkę do twarzy i chłonę jej zapach. Przysięgam na Boga, że pachnie jak zasypka dla niemowląt.

– Przepraszam. Tak bardzo przepraszam. – Drżą mi ramiona, gdy powódź wylewa mi się z oczu. Zaczynam łkać, kurczowo przyciskając koszulkę do piersi, tak jak maluch robi to z ulubioną przytulanką. – Proszę... Wcale tego nie chciałam. Po prostu się bałam... Nie miałam zamiaru...

Nie mam pojęcia, do kogo mówię – do siebie, do dziecka, a może do Boga. Po prostu muszę to z siebie wyrzucić, by słowa zadźwięczały i stały się prawdziwe. Aby wszechświat wiedział, że nie chciałam, by tak to się skończyło.

Delores głaszcze mnie po plecach, dając znać, że jest przy mnie. Jak zwykle nade mną czuwa. Obracam się do niej. Opieram głowę na jej piersi i płaczę z całego serca.

– O Boże. Dee... Proszę...

– Wiem, Katie. Wiem.

W jej głosie też słyszę łzy. Takie właśnie są prawdziwe przyjaciółki – dzielą wasz ból. Wasza agonia jest ich cierpieniem, nawet jeśli nie w równym stopniu.

– Wszystko dobrze. Wszystko będzie dobrze... – mówi. Kręcę głową.

– Nie. Wcale nie. Już nigdy nie będzie dobrze. – Delores mocno mnie obejmuje, jakby starając się sprawić, bym się nie rozpadła. – Dlaczego? Nie rozumiem. Dlaczego to się stało? Drew i ja...

a teraz dziecko... A wszystko to na nic... Na nic.

Mówiłam, że będę pytać „dlaczego”, pamiętacie?

Delores gładzi mnie po włosach. Mówi spokojnym głosem:

– Nie wiem, Katie. Chciałabym móc ci powiedzieć, ale... po prostu nie wiem.

Trwamy tak przez dłuższą chwilę. W końcu, gdy ły przestają płynąć, wracam do łóżka, a Delores siada obok mnie. Ponownie zerkam na małą koszulkę i kręcę głową.

– To tak bardzo boli. Nigdy nie myślałam, że coś może tak bardzo boleć.

– Jest coś, czego chcesz, Katie?

Zaciskam powieki, po czym mówię słabym głosem:

– Chcę Drew. Chcę go tutaj.

Gdyby świat był taki, jaki powinien być, Drew byłby tutaj. I byłby tak samo zdruzgotany. Staralby się to ukryć, ale ja i tak bym się domyśliła. Wszedłby do tego łóżka, przytulił mnie mocno, a ja poczułabym się w jego ramionach bezpieczna, kochana i... wybaczyłabym mu.

Powiedziałyby, że to nie był właściwy czas, ale jeśli pragnę mieć dzieci, to on da mi ich tuzin. Drew jest naprawdę dobry w przesadzaniu.

A potem pocałowałby mnie, miękko i czule. I rzucił coś zabawnego w stylu: „Pomyśl tylko, ile

będziemy mieć frajdy przy ich robieniu”. A ja uśmiechnęłabym się, bo to trochę złagodziłoby ból.

Tylko dlatego, że byłby ze mną.

Delores przytakuje i sięga po telefon. Powstrzymuję ją jednak, nakrywając jej dłonie swoimi. Przyjaciółka patrzy na mnie ze zrozumieniem, jakby już wiedziała, o czym myślę. I tak pewnie jest.

– Przyjedzie, Kate. Wiesz, że przyjedzie.

Kręcę głową.

– Nie było cię tam, Delores. On był... jak obłąkany. Nigdy nie widziałam go tak wściekłego. Było tak, jakby... jakby myślał, że wybieram to dziecko zamiast niego. Jakbym go zdradziła. – Zamykam oczy na to wspomnienie. – Będzie się cieszył. Będzie zadowolony, że dziecka już nie ma... I wtedy go znienawidzę.

I nawet po tym wszystkim, co się stało – nie jestem gotowa, by nienawidzić Drew Evansa.

Delores wzdycha. Puszcza telefon.

– Wydaje mi się, że się mylisz. Jestem pierwsza w kolejce, by zwrócić uwagę na to, jak wielkim idiotą potrafi być Drew, ale... nie potrafię sobie wyobrazić, by cieszył się z czegoś, co ciebie tak bardzo boli. Nie w ten sposób.

Nie odpowiadam jej, ponieważ drzwi do mojego pokoju stają otworem. Wchodzi Billy. Wygląda na

zmęczonego, twarz ma ponurą i już wiem, że mama mu powiedziała.

– Dobrze się czujesz?

Kręcę głową.

– Tak właśnie myślałem. – Siada na krześle i przeciera oczy. – To jest po prostu... schrzanione na całej linii. Kiedy sprawy naprawdę się pieprzą, wszystko, co można zrobić, to stać i patrzeć, jak się wali.

Wtedy zauważam reklamówkę, którą przyniósł ze sobą. Jest brązowa i wypełniona po brzegi. Wyjmuje jej zawartość. Jest tam kilka gramów zioła, cały karton Marlboro i dwie butelki tequili. Patrzą na miodowy płyn i myślę o meksykańskiej muzyce, ciepłej skórze i nocnych szeptach Drew.

„Kocham cię, Kate”.

Odwracam wzrok.

– Nie mogę pić tequili.

Jak z bezdennej kieszeni Mary Poppins, Billy wyciąga z reklamówki butelkę Grey Goose.

Przytakuję.

– Ale wódkę już tak.



ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Lizałyście kiedyś podłogę w toalecie na stadionie Jankesów? Ja też nie. Ale teraz wiem, jak musi smakować.

Tak, wszyscy mamy kaca. Jest piekielny. Zapomnijcie o dronach. Jeśli armia nauczyłaby się wyzwałać to uczucie, na świecie natychmiast zapanowałby pokój.

Siedzę w gabinecie ginekolog mojej mamy. Billy i Delores też tu są, by mnie wspierać. Widzicie nas? Siedzimy w rządku, jak rozrabiaki przed gabinetem dyrektora. Delores ma na nosie przeciwsłoneczne okulary, chociaż jesteśmy w budynku, czyta ulotkę dotyczącą nowego środka, podobnego do viagry, dla kobiet. Billy śpi z otwartymi ustami, opierając głowę o ścianę. Mama też tu jest. Bezwiednie przerzuca strony czasopisma. Ja po prostu siedzę, z całej siły starając się nie patrzeć na zdjęcia niemowląt porozwieszane na ścianach.

Billy zaczyna głośno chrapać, więc Delores daje mu sójkę w bok. Budzi się zmieszany i wykrzykuje:

– Natychmiastowy atak bananowy na małpy!

Wszystkie patrzmy na niego pytająco.

Uświadamia sobie, co powiedział.

– Przepraszam, miałem koszmar. – Po czym znów opiera głowę o ścianę i zamyka oczy. – Czuję się, jakby przejechał po mnie walec. – Kiwamy z Delores jednocześnie głowami, po czym Billy uroczyście przysięga: – Już nigdy nie będę pił. Nie ma opcji.

Jego kuzynka się krzywi.

– Słyszeliśmy to już wcześniej.

– Tym razem mówię poważnie. Od teraz żadnego alkoholu. Jedynie zioło.

Tak. To ma sens.

Skoro i tak siedzimy w poczekalni, zastanówmy się nad jednym z najświętszych kobiecych obrzędów: przejścia ginekologicznego egzaminu. To strasznie dziwaczne.

Widzicie, całe nasze młodzińcze życie wmawiają nam, że mamy pozostać czyste. Trzymać skrzyżowane nogi, zaciśnięte uda. I wtedy stajemy się dorosłe. Musimy iść do gabinetu i spotkać się z lekarzem, który, jak mówią statystyki, jest facetem w średnim wieku. Musimy się przed nim rozebrać. Pozwolić, by nas dotykał, wkładał palce. Zupełnie obcy gość.

Och, a potem przychodzi najlepsze: rozmowa.

Tak, mówi do was podczas całego tego egzaminu. Pyta, jak w szkole, jaka pogoda, co słyhać u mamy...? Robi, co może, by odciągnąć waszą uwagę od tego, że trzyma rękę głęboko w waszej waginie. Przyznacie, że to wyjątkowo niezręczne?

I niech wasi faceci nie jęczą w tej chwili na temat okropności badania prostaty. Tego się nie da porównać. Jeden palec wsadzony w tyłek może nawet sprawić przyjemność. Mężczyźni przynajmniej nie muszą rozkładać nóg, wsadzając je w jakieś dziwaczne, niczym średniowieczne przerządy do tortur, przyrządy. Kobiety czują się psychicznie źle po kontakcie z takim fotelem.

Wzywa mnie pielęgniarka w niebieskim fartuchu. Wstajemy z mamą i wchodzimy do pierwszego gabinetu po lewej. Rozbieram się i nakładam jednorazową, różową koszulę, oczywiście rozpinaną z przodu. Aby lepiej cię widzieć, Czerwony Kapturku.

Siadam na fotelu na papierowym podkładzie. Mama staje obok, w uspokajającym geście głaszcząc moje ramię. Wchodzi doktor.

Przyjrzyjcie mu się. Ma białą brodę. Pucułowate policzki. Okrągłe okulary. Włóżcie mu na głowę czerwoną czapkę, a mógłby występować na paradzie z okazji Święta Dziękczynienia.

Muszę zaliczyć trzecią bazę z Mikołajem? Jaja

sobie robicie? Święta już nigdy nie będą takie same.

– Witaj, Katherine. Jestem doktor Witherspoon. Lekarz twojej mamy, doktor Joan Bordello jest na urlopie... – *No oczywiście.* – ...więc ją zastępuję. – Patrzy na dokumenty. – Sądząc po dacie ostatniej miesięczki, jesteś w szóstym tygodniu pierwszego trymestru.

Kiwam głową.

– Miałaś krwawienie i skurcze?

– Zgadza się.

– Mogłabyś opisać mi tę krew? Jaki miała kolor?

Były w niej skrzepy?

Odpowiadam ochryłym głosem:

– Była brązoworóżowa. Jak w pierwszy dzień okresu. Po drodze do szpitala była jasnoczerwona... a potem... znów była brązowa. Nie wiem... nie sądzę, by były w niej jakieś skrzepy.

Kiwa głową i patrzy przyjaźnie.

– Czytałem wypis z pogotowia, ale wolałbym sam zerknąć. Zgadzasz się, Katherine?

Obdarowuję go wymuszonym uśmiechem.

– Dobrze. I może pan doktor mówić mi Kate, wszyscy tak mnie nazywają.

– W porządku, Kate. Kiedy będziesz gotowa, przesunąć pośladki na skraj fotela i włóż stopy

w strzemiona.

Kiedy wykonuję jego polecenia, przysuwa wózeczek z monitorem i klawiaturą, po czym bierze dużą, białą, plastikową głowicę, która wygląda jak... no jak dildo. Dla słonia. Podnoszę głowę z fotela.

– Ee... co to jest?

– To jest głowica dopochwowego USG. Wygląda strasznie, wiem... – *No co ty nie powiesz, Mikołaju?* – ...ale nie będzie bolało.

Następnie bierze foliowe opakowanie, wyjmuje z niego dużą prezerwatywę i zakłada na słoniowe dildo.

No bez żartów. Nie wymyśliłabym czegoś takiego, nawet gdybym się bardzo starała.

– Postaraj się rozluźnić, Kate.

Jasne, żaden problem. Będę udawała, że jestem w spa. Na zabiegu masażu jajników.

Wsuwa we mnie powoli tę głowicę. Wzdrygam się. W pokoju panuje cisza, gdy przesuwa instrumentem tam i z powrotem. Nie kłamał, to nie boli, tylko... to bardzo dziwne uczucie.

– Nadal masz skurcze?

Gapię się w beżowy sufit, celowo unikając ekranu monitora.

– Nie. Od wczoraj nic. – Jestem pewna, że wódka i trawka znieczuliły każdy nerw w moim ciele.

Słyszę stukanie na klawiaturze i głowica zostaje wyciągnięta.

– Możesz już usiąść, Kate. – Siadam. – Widzisz tę migającą kropkę?

Kieruję spojrzenie na ekran, w miejsce, które wskazuje.

– Tak.

– To serduszko twojego dziecka.

Oddech więźnie mi w płucach. Jestem przerażona.

– To znaczy... że ono... żyje?

– Zgadza się.

Zaciskam ręce i czuję, że łzy napływają mi do oczu.

– A kiedy ono... Jak długo potrwa, nim... Kiedy poronię?

Bierze moje złęczone dłonie w swoje.

– Bazując na tym badaniu, poziomie hormonów i tym, co mi powiedziałaś, nie widzę powodu, byś miała je stracić.

Kręcę ostro głową.

– Co proszę? Ale tamten lekarz wczoraj mówił, że...

– Tradycyjnym USG trudno tak wcześnie wykryć bicie serca dziecka. A co do krwawienia, plamienie w pierwszym trymestrze jest całkiem normalne. Jednak w tym momencie szyjka macicy jest

zamknięta, ciśnienie masz w normie, a puls płodu jest idealny. Wszystkie te czynniki wskazują na prawidłową ciążę, którą powinnaś donosić.

Mama obejmuje mnie za ramiona, wyczuwam w niej ulgę i ożywienie. Jednak ja potrzebuję czegoś więcej.

– Mówi pan, że będę je miała? Urodzę to dziecko?

Doktor Witherspoon się śmieje. To wesoły dźwięk.

– Tak, Kate. Wierzę, że urodzisz to dziecko. Masz termin na dwudziestego października. Gratulacje.

Nakrywam dłońmi usta i pozwalam łzom płynąć. Uśmiecham się tak szeroko, że boli mnie twarz. Tulę się do mamy.

– Mamo...

Śmieje się.

– Wiem, kochanie. Cieszę się. Tak bardzo cię kocham.

– Też cię kocham.

Tak powinno być od początku. Bez strachu. Bez wątpliwości. Wyłącznie uniesienie. Euforia.

To najpiękniejsza chwila w moim życiu.



Nakładam ubrania szybciej niż żona przyłapaną na zdradzie i wbiegam do poczekalni. Delores i Billy gapią się na mnie zaskoczeni.

– Nadal jestem w ciąży! Nie poroniłam!

Oboje wstają.

– Cholera jasna!

– Wiedziałam, że Doktor Kretyn miał głowę w dupie aż po łokcie!

Śmiejemy się i tulimy zupełnie jak na Woodstocku. W końcu przyjaciele pytają mnie:

– Wygląda na to, że się namyśliłaś. Chcesz je urodzić?

Moje dłonie opadają do brzucha, kiedy wyobrażam sobie, jak się powiększy.

– Aż skończy osiemnaście lat i pójdzie na studia. A może nawet wtedy zmuszę je, by mieszkało w domu i dojeżdżało na uczelnię.

Delores kiwa głową, zatwierdzając mój plan.

Billy pada przede mną na kolana.

– Hej, ty tam. Jestem wujek Billy. – Patrzy w górę, zmartwiony. – Mogę być wujkiem, prawda? Musisz mi pozwolić. Mogę być wujkiem tylko u Delores, a cholera wie, jaki wybryk natury ona z siebie wyciśnie.

Delores uderza go w tył głowy, a ja się śmieję.

– Tak. Możesz być wujkiem Billym.

– Super. – Znów skupia się na moim brzuchu. – Hej, mały. Nie martw się o nic. Powiem ci wszystko, co będziesz musiał wiedzieć. Powtarzaj ze mną: Strat-o-caster^[4].

Delores kręci głową.

– Nie rozumiem cię, kretynie. Dziecko jest wielkości kijanki.

– Po ostatniej nocy to zapewne nawalona kijanka. Ale to spoko, prawda? Wyrobi sobie tolerancję na używki albo wyrosną mu włosy na klacie.

Delores uśmiecha się złowieszczo.

– A jak to będzie dziewczynka?

Billy wzrusza ramionami.

– Niektórzy kolesie lecą na laski z owłosionymi cyckami. Mogłabyś się zdziwić.

Zostawiam klóćące się bliźnięta z *Alicji w krainie czarów* i wracam do gabinetu doktora Witherspoona. Czuję się winna, gdy zaczynam się jąkać:

– Przepraszam, mogę? Nie chcę przeszkadzać, ale... wczoraj... byłam smutna i... piłam alkohol, i paliłam papierosy... – Ściszam głos. – ...i marihuanę. Sporo.

Przed oczami stają mi statystyki:

Alkoholowy zespół płodowy.

Wcześniactwo.

Niska waga urodzeniowa.

Lekarz uspokajająco kładzie dłoń na moim ramieniu.

– Nie jesteś pierwszą kobietą, która robiła niestandardowe rzeczy, zanim dowiedziała się, że jest w ciąży, Kate. Dzieci w łonie matki są wytrzymalsze, niż mogłabyś przypuszczać. Mają zdolność do przewycięzania chwilowego wpływu alkoholu czy narkotyków. Jeśli od tej pory będziesz ich unikała, nie powinny wywołać żadnych trwałych efektów.

Zarzucam mu ręce na szyję, niemal go przewracając.

– Dziękuję! Dziękuję, doktorze Mikołaju, to najlepszy prezent pod choinkę na świecie!

Biegiem wracam do Delores i Billy'ego.

– Powiedział, że wszystko będzie dobrze!

Skaczemy we trójkę w kółku jak dzieciaki na placu zabaw. Jest prawie idealnie. Prawie. Ponieważ czegoś mi brakuje.

Kogoś.

Jedyną osobą na świecie, która powinna cieszyć się w tej chwili równie mocno jak ja. Powinien tu być. Powinien mnie podnieść, okręcić w koło i całować aż do omdlenia. A potem powinien mówić, że wiedział, iż dziecku nic nie będzie, ponieważ jego supersperma jest niezniszczalna.

Też możecie go zobaczyć?

Jednak nie ma go tutaj. Chciałabym wam powiedzieć, że to nie boli – że za nim nie tęsknię – że mi już na nim nie zależy. Ale byłoby to wierutne kłamstwo. Kocham Drew. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak mogłabym go nie kochać. Ponad wszystko chciałabym się tym z nim podzielić. Nie zawsze dostajemy to, czego chcemy; czasami musimy być wdzięczne za to, co już mamy. A ja jestem. Wdzięczna. Szczęśliwa. Ponieważ urodzę to dziecko i będę je wychowywać. I wcale nie będę musiała robić tego sama. Mam mamę i George’a, Delores i Billy’ego, przydadzą mi się ich pomocne dłonie. Będzie kochane bardziej niż dziesięcioro dzieci naraz.

Czterdzieści osiem godzin temu nie wiedziałam, do czego jestem zdolna, jak mocną mam psychikę. Teraz to wiem. Myślę, że to właśnie morał całej tej historii.

Musicie upaść, pozdzierać dłonie i kolana, nim zorientujecie się, że macie w sobie siłę, by wstać.

Zatem nie martwcie się o mnie. Poradzę sobie. W końcu wszystko się ułoży.

Będzie nam razem cudownie.



Stajemy na tylnym parkingu restauracji, do której mama wchodzi przez drzwi od zaplecza. Zostawiła Georga, by dowodził statkiem i nieco się denerwowała, czy go przypadkiem nie zatopił.

Kiedy cała nasza trójka wysiada z samochodu, Delores mnie pyta:

– To jaki jest plan?

Biorę głęboki wdech i zerkam w niebo. Czuję się, jakby był zupełnie nowy dzień. Czysta karta. Nowy początek. Banały, wiem. Ale to prawda.

– Spędzę tu jeszcze trochę czasu. Aby... naładować baterie. Po czym wrócę do Nowego Jorku. Musimy z Drew odbyć długą rozmowę. Mam mu kilka rzeczy do powiedzenia, których musi wysłuchać, czy będzie tego chciał, czy nie.

Klepie mnie w ramię.

– Moja dziewczyna. Urządź draniowi piekło.

Uśmiecham się. Billy otwiera nam drzwi restauracji, ale nie wchodzę za Dee-Dee. Billy pyta:

– Idziesz, Katie?

Kręcę głową.

– Wybieram się na przejażdżkę. No wiesz, muszę pozbierać myśli. Przekażesz mamie, żeby się nie martwiła?

Kiwa głową.

– Pewnie. Nie spiesz się. Będziemy tu, kiedy wrócisz.

Billy zamyka drzwi, a ja wsiadam do samochodu.

No i koniec. Oto cała moja historia. Była jazda, co?

Tata przyprowadzał mnie na ten plac zabaw, gdy byłam mała. Nawet wtedy, gdy był jeszcze nowy, nie było tu wiele dzieci. Nie mam pojęcia, dlaczego miasto wybrało akurat tę lokalizację na jego budowę; to niezbyt typowe miejsce dla placu zabaw. W pobliżu nie ma żadnego osiedla ani apartamentowców. I nie widać go z głównej drogi – jest kompletnie na uboczu.

Czas nie był łaskawy dla metalowych huśtawek i karuzel. Są zardzewiałe, łuszczy się z nich farba, która wyblakła i nie jest tak jasna jak kiedyś. Mimo to... nadal tu pięknie, oczywiście w jakiś industrialny sposób.

Spokojnie. Cicho.

Bardzo tego potrzebuję. Ponieważ, gdy myślę o tym, co mnie czeka, nie będę kłamać, i powiem, że strasznie się boję. To takie uczucie, jakbyście się przeprowadzały do nowego domu. To ekscytujące, ale też niepokojące. Nie wiecie, gdzie jest najbliższa stacja benzynowa, nie znacie

bezpośredniego numeru do lokalnej straży pożarnej. Tyłu rzeczy musicie się nauczyć.

Gdzieś czytałam, że dzieci słyszą, co dzieje się poza łonem matki. Rodzą się, znając jej głos. Podoba mi się ta myśl.

Patrzę na brzuch.

– Cześć, kijanko. Przepraszam za wszystko, co się ostatnio stało. Moje życie zazwyczaj nie jest tak dramatyczne. Chociaż Drew pewnie by się ze mną nie zgodził. On uważa, że jestem królową dramatu.

Drew. To będzie trudne. Równie dobrze mogę zacząć już teraz. Praktyka czyni mistrza.

Z czułością opieram rękę na brzuchu.

– Tak, twój... ojciec. Twój tata jest jak... spadająca gwiazda. Kiedy jest w pobliżu, wszystko inne traci blask, ponieważ on świeci tak jasno, nie można oderwać od niego oczu. Przynajmniej ja nigdy nie potrafiłam tego zrobić. – Przygryzam wargę. Obserwuję szybującego nade mną jastrzębia. Po chwili ciągnę dalej: – Kochaliśmy się. Nieważne, co się stało lub co stanie się od tej pory, ważne jest dla mnie, byś wiedział, że się kochaliśmy. Tata sprawiał, że czułam się, jakbym była dla niego wszystkim. Jakbym liczyła się tylko ja. Zawsze będę mu za to wdzięczna. Mam nadzieję, że pewnego dnia go poznasz. Bo tak

właściwie to naprawdę jest fajnym facetem. – Śmieję się miękko. – Przynajmniej kiedy nie robi z siebie dupka.

Kiedy kończę mówić, siedzę przez kilka minut w ciszy. To miejsce jest tak różne od parków w mieście z jego trąbieniem samochodów, krzykami dzieci, tupotem biegnących ludzi. Tu jest spokojnie.

Zatem, gdy niedaleko słyszę trzask zamykanych drzwi samochodu, wzdrygam się. Moja głowa natychmiast obraca się w kierunku źródła dźwięku.

Przy samochodzie stoi ostatnia osoba, której spodziewałabym się teraz w Greenville.

To Drew.



[4] Fender Stratocaster – gitara elektryczna produkowana od 1954 roku przez firmę Fender; niezwykle popularna i lubiana.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Wygląda okropnie. Zdumiewająco, niesamowicie paskudnie.

Ma przekrwione oczy, bladą twarz, kilkudniowy zarost – jednak mimo to nadal jest najprzystojniejszym facetem, jakiego widziałam.

Patrzenie w innym kierunku jest po prostu niemożliwe.

Drew również na mnie patrzy. Jego spojrzenie jest niezachwiane, jakby mnie nim spijał, jakby mnie nim spalał.

Stoimy tak przez chwilę. A potem podchodzi do mnie. Jego kroki są pewne, niezachwiane, jakby szedł na biznesowe spotkanie decydujące o jego karierze.

Zatrzymuje się dosłownie metr ode mnie, ale czuję, jakby był znacznie dalej.

Wszystko, co planowałam mu powiedzieć po powrocie do Nowego Jorku, wylatuje mi z głowy, więc zamiast tego zadaję proste pytanie:

- Skąd wiedziałeś, gdzie mnie znaleźć?
- Najpierw pojechałem do restauracji, twoja mama była w kuchni i powiedziała mi, że nie wie,

gdzie jesteś, po czym popatrzyła na mnie w taki sposób, jakby chciała nabić mojego fiuta na patyk i podać jako jedno z dań. Wszedłem więc stamtąd i wpadłem na Warrena. Powiedział, że prawdopodobnie jesteś tutaj.

Oczywiście Billy wiedział, gdzie mogę pojechać. Tak jak wiedział, że chciałabym, by przysłał do mnie Drew.

– To on ci to zrobił? – Mówię o czerwonym śladzie wielkości pięści na jego lewym policzku. Wygląda na świeży, zaczyna sinieć.

Dotyka go delikatnie.

– Nie. Była z nim Delores.

Wcale mnie to nie dziwi. Chociaż wątpię, by włożyła w to serce. Gdyby Dee-Dee naprawdę chciała uszkodzić Drew, nie traciłaby czasu na jego twarz. Dostałby prosto w krocze.

– Czego chcesz, Drew?

Śmieje się krótko, ale nie ma w tym wesołości.

– To skomplikowane pytanie. – Patrzy gdzieś w horyzont. – Nie myślałem, że wyjedziesz z Nowego Jorku.

W zdumieniu unoszę brwi.

– Po twoim małym *show*? A co według ciebie miałam zrobić?

– Myślałem, że mnie zwyzywasz, może uderzysz. Myślałem, że wybierzesz mnie... choćby tylko po

to, by odsunąć ode mnie tę inną kobietę.

Zazdrość. Niezawodna broń Drew. Już się nią posługiwał, gdy myślał, że wybrałam Billy'ego, pamiętacie?

– No to się pomyliłeś.

Uśmiecha się ponuro.

– Na to wygląda. – Przez dłuższą chwilę patrzy mi w oczy. Po czym marszczy lekko brwi. – Byłaś... byłaś ze mną szczęśliwa, Kate? Ja byłem bardzo szczęśliwy. Myślałem, że ty też jesteś.

Nie potrafię powstrzymać niewielkiego uśmiechu malującego mi się na ustach. Ponieważ pamiętam.

– Tak, byłam.

– W takim razie wytłumacz mi dlaczego? Przynajmniej tyle jesteś mi winna.

Mówię cicho i powoli, smutek znaczący każdą sylabę:

– Nie planowałam tego, Drew. Musisz wiedzieć, że nie chciałam, by to się stało. Jednak jest już po fakcie. A ludzie się zmieniają. Przez wszystko, co przeszliśmy... zmieniliśmy się. A teraz chcemy zupełnie różnych rzeczy.

Podchodzi do mnie o krok.

– Może nie.

Bardzo mocno się staram nie analizować tego, że tu jest. Nie chcę mieć nadziei. Ponieważ nadzieja potrafi unosić, jak fala kawałek drewna. A jeśli

okaże się nieuzasadniona? Rozbije belkę o skały. Łamiąc ją na tysiące kawałeczków.

– Co masz na myśli?

Jego słowa są ostrożne. Zaplanowane.

– Przyjechałem, by renegotjować warunki naszego związku.

– Renegocjować?

– Dużo o tym myślałem. Przeszłaś od Warrena prosto do mnie. Nigdy... nie miałaś szansy się zabawić. Poeksperymentować. Zatem... jeśli chcesz się spotykać z innymi... – zaciska zęby, jakby te słowa nie chciały mu przejść przez gardło

– ...to się zgadzam.

Krzywię się.

– Przejechałeś całą tę drogę, by powiedzieć mi, że chcesz, byśmy... spotykali się z innymi ludźmi?

Przełyka z trudem ślinę.

– Tak. Wiesz, przynajmniej dopóki będziesz do mnie wracać.

Dla Drew seks zawsze był priorytetem. Właśnie o to mu teraz chodzi, prawda? Nie chce dziecka, ale nie chce też przestać ze mną sypiać? Mieć ciastko i zjeść ciastko. Bez żadnych zobowiązań.

To jak odcinek Jerry'ego Springera.

– A jakby to miało działać, Drew? Szybki numerek w przerwie na lunch? Albo ostre bzykanko o północy? Bez żadnych emocji, bez

zbędnych pytań?

Wygląda, jakby był chory.

– Jeśli właśnie tego chcesz?

Jestem tak... rozczarowana. Zdegustowana.

Nim.

– Jedź do domu, Drew. Marnujesz czas. W tym momencie nie mam ochoty na gierki.

To go zaskakuje.

– Ale... dlaczego nie? Myślałem... – gubi wątek, po czym jego spojrzenie twardnieje. – Tu chodzi o niego? Naprawdę chcesz mi, kurwa, powiedzieć, że on aż tyle dla ciebie znaczy?

Nie podoba mi się jego ton. Jest uwłaczający, szyderczy. Mówiłam wcześniej, że jestem motylem? O nie. Teraz jestem cholerną lwicą.

– On jest dla mnie wszystkim. – Wyciągam palec. – I nie pozwolę, żebyś sprawił, bym czuła się źle z tego powodu.

Wzdryga się, jakby go poraziła paralizatorem. Pięć tysięcy wolt prosto w pierś. Po czym odzyskuje rezon. Krzyżuje ramiona i z uporem, całkowicie zdecydowanie mówi:

– Mam to gdzieś. To nie ma pieprzonego znaczenia.

Jeśli nabijecie zbyt wiele powietrza do koła, wiecie, co się stanie? Eksploduje.

– Jak możesz tak mówić?! Co jest z tobą, do

cholery, nie tak?

Podchodzi do mnie.

– Mówisz poważnie? A co, u diabła, dzieje się z tobą? Naćpałaś się czegoś? Masz jakieś zaburzenia osobowości, o których mi nie powiedziałaś? Dwa lata, Kate! Przez dwa cholerne lata dawałem ci wszystko, co miałem... A ty... A ty tak po prostu to wyrzuciłaś!

– Nawet się nie waż tak do mnie mówić! Ostatnie dwa lata znaczyły dla mnie wszystko!

– To weź się tak, kurwa, zachowuj! Boże wszechmogący!

– A jak się mam zachowywać, Drew? Czego ode mnie chcesz?

Wrzeszczy:

– Chcę jakiegokolwiek części ciebie, którą postanowisz mi dać!

Zapada między nami cisza.

Oboje dyszymy.

Patrzymy sobie w oczy.

Drew odzywa się po chwili cichym, pokonanym głosem:

– Wezmę cokolwiek, Kate. Tylko... nie mów mi, że to koniec. Nie akceptuję tego.

Krzyżuję ręce na piersiach, a głos mój ocieka sarkazmem:

– Jakoś nie widziałam, żebyś miał problemy

z zaakceptowaniem tego, gdy twój język znajdował się w gardle tamtej striptizerki.

– Hipokryzja naprawdę do ciebie nie pasuje, Kate. Wypatroszyłaś mnie. Myślę, że zasłużyłaś na posmak własnego czynu.

Widujecie to cały czas. W gazetach, w telewizji. W jednej chwili dwoje ludzi jest dla siebie bratnimi duszami, nigdy wcześniej się tak nie czuli, ściskają się z miłości na kanapie u Oprah, jednak sekundę później skaczą sobie do gardeł, angażując prawników, by walczyli dla nich o pieniądze, domy, dzieci... Zawsze zastanawiałam się, jak to możliwe.

Przyjrzyjcie się. Oto jak.

– No to możesz sobie pogratulować, Drew. Chciałeś mnie skrzywdzić? Udało ci się. Zadowolony?

– Tak, bardzo się cieszę. Jestem naprawdę szczęśliwy. A ty?

– Możesz przestać zachowywać się jak szczeniak, przynajmniej przez pięć minut?

– To zależy. Możesz na chwilę przestać być suką bez serca?

Gdyby stał bliżej, uderzyłabym go w twarz.

– Nienawidzę cię!

Uśmiecha się chłodno.

– W takim razie masz szczęście. Chciałbym cię

nienawidzić. Modliłem się o to. Aby wyrzucić cię z mojego serca. Ale nadal tam jesteś. Zalaźłaś mi za skórę, jak jakaś kurewska śmiertelna choroba.

Wypełniałyście kiedyś krzyżówkę w gazecie? Byłyście zdeterminowane, by ją rozwiązać do końca? Tak dobrze wam szło na początku, więc myślałyście, że dacie radę? Jednak w którymś momencie staje się zbyt trudna. Zbyt męcząca. Zatem poddajecie się. Po prostu dajecie sobie spokój. Przyciskam dłoń do czoła. Próbuję mówić pewnie, jednak mój głos jest słaby:

– Nie chcę już tego, Drew. Nie chcę się kłócić. Możemy się tak spierać cały dzień, ale to i tak niczego nie zmieni. Nie chcę mieć związku na pół gwizdka. To nie podlega negocjacjom.

– Gówno prawda! Wszystko można wynegocjować. Zależy tylko od tego, jak bardzo strony chcą się ugiąć. – Wtedy zaczyna błagać: – A ja mogę to zrobić. Nagnę się, Kate. Nienawidź mnie, ile tylko chcesz, ale... nie zostawiaj mnie.

Jest tak przygnębiony. Zdesperowany. Muszę przypomnieć sobie, by mu nie współczuć, by go nie pocieszać, by się nie zgodzić. Jeszcze kilka dni temu powiedziałabym „tak”. Porwałabym tę szansę, zlizala okrucy. By mieć go w życiu. W jakikolwiek sposób.

Jednak dziś już nie.

Ponieważ teraz nie chodzi już tylko o mnie.

– Teraz nie jestem już sama. Musisz chcieć nas oboje.

Wyrzuca pięści w górę, jakby chciał w coś trafić.

– O czym ty, kurwa, mówisz?! – ryczy. – Zupełnie jakbym utknął w jakimś popierdolonym filmie Tima Burtona, gdzie nic nie ma sensu! Nic z tego nie ma pierdolonego sensu!

– Mówię o dziecku! Nie chcę być w związku, w którym ono nie jest chciane! To niesprawiedliwe. To nie w porządku.

Nie sądziłam, by osoba tak blada jak Drew, gdy tu przyjechał, zbladła jeszcze bardziej i przeżyła. Jednak się myliłam. Ponieważ jego twarz robi się bielsza. O jakieś dwa odcienie.

– Jakim dziecku? Jesteś... – Analizuje moją twarz, starając się znaleźć odpowiedź, zanim pyta: – Jesteś... w ciąży?

To sprawia, że zastanawiacie się, jak mocno uderzyła go Delores, co?

– Oczywiście, że jestem w ciąży!

Robi krok w moją stronę. Jego twarz wygląda jak jedna z tych masek teatralnych, gdzie z jednej strony maluje się jest przerażenie, a z drugiej nadzieja.

– Jest... moje?

Nie odpowiadam od razu, ponieważ zaskakuje

mnie jego pytanie.

– A kogo... kogo innego mogłoby być?

– Boba – odpowiada rzeczowo. Jakby naprawdę wiedział, o czym mówi.

– Boba?

– Tak, Kate. Boba. Gościa, który jest dla ciebie wszystkim. Oczywiście, że się z nim pieprzyłaś, więc skąd możesz wiedzieć, że to nie jego dziecko?

Przerzucam w myślach wszystkich znajomych o imie= niu Bob, zastanawiając się, dlaczego Drew myśli, że z którymś się pieprzyłam.

– Jedyne Bob, jakiego znam to... Roberta.

Drew łapie wiatr w żagle.

– Kto?

– Roberta Chang. Bobbie. Bob. Mieszkałam z nią na studiach. Jest ginekologiem. Tego wieczoru, gdy za mną pojechałeś, widziałeś mnie pod jej gabinetem. To stąd wiesz, że...

Kiedy myśli, rozszerzają mu się oczy. Później kręci głową z niedowierzaniem. Zaprzeczając.

– Nie. Widziałem cię z facetem. Spotkałaś się z nim. Uniósł cię i uściskał. Nawet cię pocałował. Miał przygotowane jedzenie.

Potrzebuję chwili, by przetworzyć jego słowa, po czym sobie przypominam.

– Och, to był Daniel. Mąż Roberty. Również mieszkał z nami na studiach. Kilka miesięcy temu

przeprowadzili się do Nowego Jorku. Opowiadałam ci o nich.

Drew ma nieczytelny wyraz twarzy. Przeciera dłonią twarz – mocno – jakby chciał zdrapać sobie skórę.

– Dobra, przeróbmy to jeszcze raz. Kiedy w kalendarzu zapisałaś imię Bob, miałaś na myśli Robertę, która jest lekarzem od kobiet i dzieci, z którą mieszkałaś w Filadelfii?

– Tak.

– A facet, z którym widziałem cię na parkingu, jest jej mężem, ale też twoim starym przyjacielem?

– Tak.

Pyta dalej z napięciem w głosie:

– A myślisz, że klócimy się cały czas, ponieważ...?

– Ponieważ nie chcesz, żebym urodziła dziecko.

Widziałyście kiedyś wyburzenie wieżowca? Ja tak. Wysadza się go, a on imploduje. Zawala się tak, aby nie uszkodzić pobliskich budynków. Tak właśnie dzieje się z Drew. Tuż przed moimi oczami. Drew zapada się w sobie. Jego nogi poddają się i opada na kolana.

– O Boże... Jezus, Maria... Nie wierzę... Kurwa... Jestem idiotą... Jestem tak cholernie głupi...

Kłękam obok niego.

– Drew? Dobrze się czujesz?

– Nie... Nie, Kate. Jestem daleki od tego, by dobrze się czuć. To przerażające.

Biorę go za rękę, więc patrzy mi w oczy.

I, tak po prostu, wszystko nabiera sensu. Wreszcie.

Rzeczy, które zrobił.

Słowa, które wypowiedział.

Wszystko wskakuje na swoje miejsce, jakbyśmy ułożyli ostatni element układanki.

– Myślałeś, że mam romans?

Kiwa głową.

– Tak.

Wszystko zaczyna mi wirować przed oczami, ponieważ ledwo oddycham.

– Jak mogłeś tak pomyśleć? Jak mogłeś uwierzyć w to, że cię zdradzam?

– W twoim terminarzu było męskie imię... i kłamałaś... i widziałem, jak tulisz się do jakiegoś faceta. A jak ty mogłaś pomyśleć, że nie chcę dziecka? Naszego dziecka?

– Powiedziałeś, że mam dokonać aborcji.

Zaciska rękę na moich.

– Nigdy bym czegoś takiego nie powiedział.

– Ale powiedziałeś. Powiedziałeś, że mam to zakończyć.

Kręci głową i jęczy:

– Zakończyć romans, Kate. Nie ciężę.

Unoszę głowę w obronie.

– Ale nie miałam romansu.

– Ale ja o tym, kurwa, nie wiedziałem!

– No to, kurwa, powinieneś był wiedzieć! –
Wyrynam mu dłonie i popycham go. – Boże,
Drew! – Wstaję, bo muszę się od niego odsunąć, to
wszystko zbyt wiele. – Nie możesz tak traktować
ludzi! Nie możesz mnie tak traktować!

– Kate, prz...

Odwracam się na pięcie i wskazuję na niego
palcem.

– Jeśli powiesz, że przepraszasz, przysięgam na
Boga, kopnę cię w jaja tak, że podejda ci do gardła!
Zamyka usta. *Mądre posunięcie.*

Odgarniam włosy z twarzy. I zaczynam chodzić
wkoło.

Boże, co mam teraz czuć? Wszystko to jedna
wielka pomyłka? Jeśli piorun zniszczył dom,
myślicie, że jego właściciele cieszyliby się, gdyby
dowiedzieli się, że piorun tego nie chciał?

Oczywiście, że nie.

Szkoda została wyrządzona.

– Zniszczyłeś to, Drew. Cieszyłam się, chcąc ci
powiedzieć, a teraz, kiedy o tym myślę, pamiętam
tylko, jak było okropnie! – Zatrzymuję się. Mówię

drżącym głosem: – Potrzebowałam cię. Kiedy zobaczyłam krew... kiedy powiedzieli mi, że tracę dziecko...

Drew, nadal klęcząc, wyciąga ku mnie ręce.

– Kochanie, nie wiem, o czym mówisz...

– Bo cię tam nie było! Gdybyś był, wiedziałbyś, ale cię nie było! A... – Głos mi się łamie, a łzy zamazują obraz. – A obiecałeś. Obiecałeś, że już nigdy czegoś takiego nie zrobisz. – Nakrywam twarz dłońmi i płacząc.

Oplakuję każdą sekundę niepotrzebnego bólu, każdy centymetr szczeliny, która powstała między nami, i głupie decyzje, które do tego doprowadziły. I nie mam na myśli tylko jego dokonań. Jestem już duża, wiem, że dzielę z nim winę.

Być może Drew pociągnął za spust, ale to ja naładowałam broń.

– Kate... Kate, proszę. – Znow wyciąga do mnie ręce. – Proszę, Kate.

Wygląda na rozbitego. Wiem, że nie jestem jedyną, która cierpiała.

Mimo to kręcę głową. Kolejne szanse istnieją jedynie w grach wideo. W prawdziwym życiu nie można się cofnąć do ostatnich dobrych dni.

– Nie, Drew. – Odwracam się do niego plecami i idę w kierunku samochodu. Jednak udaje mi się przejść tylko kilka kroków, zanim przystaję,

i oglądam się za siebie.

Widzicie go?

Kłęczy, zakrywa twarz dłońmi. Jak człowiek czekający na kata.

Kiedy myślę o Drew, na usta cisną mi się dwa słowa: pasja i duma. Są w nim zakorzenione. Determinują to, kim jest. Kłótnie, praca, miłość – to dla niego to samo. Wkłada w nie tyle samo serca. Bez wahania, bez zastanowienia, działa na pełną parę. I wie, ile jest wart. Nie ustępuje, nie decyduje się na kompromisy. Nie musi.

– Dlaczego tu jesteś? – pytam szeptem tak cichym, że nie wiem, czy w ogóle mnie usłyszał.

Unosi głowę z zaskoczeniem.

– O co pytasz?

– Myślałeś, że cię zdradzam?

Krzywi się.

– Tak.

– Myślałeś, że mogłam zakochać się w kimś innym?

Przytakuje.

– Ale i tak przyjechałeś... dla mnie. Dlaczego?

Patrzy mi w twarz tak, jak patrzył na mnie zawsze rano, zanim się obudziłam, albo kiedy wydawało mu się, że tego nie widzę.

– Ponieważ nie potrafię bez ciebie żyć, Kate. Nawet nie wiem, jak próbować.

W liceum brałam udział w zajęciach dodatkowych z języka angielskiego. Przez kilka tygodni analizowaliśmy *Wichrowe wzgórza* Emily Brontë. W większości ocen Heathcliff był draniem. Był bezwzględny, okrutny. I czytelnik powinien go nienawidzić. Jednak ja nigdy tego nie czułam, ponieważ mimo wszystkich swoich niegodziwych występków, bardzo kochał Cathy.

Pozostań przy mnie na zawsze – przybierz, jaką chcesz, postać – doprowadź mnie do obłędu, tylko nie zostawiaj mnie samego w tej otchłani, gdzie nie mogę cię znaleźć! O, Boże! Tego się nie da wypowiedzieć! Nie mogę żyć bez mego życia. Nie mogę żyć bez mojej duszy![\[5\]](#).

Niektóre z was powiedzą, że powinnam bardziej ukarać Drew. Jednak sam wykonał lepszą robotę niż ja zdołałabym kiedykolwiek wymyślić. Inne pewnie powiedzą, że powinnam zmusić go, by bardziej się postarał. Jednak wszystkie wiemy, że zrobiłby to.

Czasami przebaczymy z egoizmu. Nie dlatego, że ktoś na to zasłużył, ale ponieważ same potrzebujemy przebaczyć, by odnaleźć spokój. Aby móc się pozbierać.

Nie potrafię żyć bez Drew Evansa. Teraz to wiem. Jednak gdybym kiedykolwiek miała wybór? Nawet bym nie chciała.

Dzieli nas tylko kilka kroków. Przebiegam je wszystkie. Rzucam się na niego, a on mnie łapie. Obejmuje mnie i tuli tak mocno, że nie mogę zaczerpnąć tchu. Ale to się nie liczy, ponieważ Drew mnie obejmuje, i kto by tam chciał oddychać?

– Przepraszam, Kate... Boże, tak bardzo przepraszam. – Brzmi beznadziejnie.

Łzy znów napływają mi do oczu.

– Nie sądziłam, byśmy jeszcze kiedykolwiek... Kiedy powiedziałeś...

– Ciii... Nie mówiłem poważnie. Przysięgam na Mackenzie, że nie miałem nic z tego na myśli. Nigdy nie chciałem... – Opiera twarz o moją szyję, a łzy jego żalu wsiąkają w moją bluzkę.

Tulę go mocniej.

– Wiem, Drew. Wiem, że nie chciałeś.

Gładzi mnie po włosach, pieści moje ramiona, twarz, plecy.

– Kocham cię, Kate. Tak bardzo cię kocham.

Poprzedniego roku poleciliśmy z Drew do Japonii. Któregoś dnia weszliśmy do sklepu z drzewkami bonsai. Wyglądają trochę dziwnie, nie sądzicie? Mają karłowate pnie i powykręcane gałęzie. Właściciel sklepu powiedział nam, że wiążą je i skręcają, przez co są silne i przetrzymują najsrozsze burze. Jesteśmy z Drew

do nich podobni.

Całuje mnie w czoło, policzki. Obejmuje moją twarz, a ja naśladowuję jego gest. Całujemy się. Nasze usta działają w pełnej synchronizacji – mocno i gwałtownie, po czym wolno i czule. I tak po prostu, wszystkie krzywdy, wszystkie gorzkie słowa roztapiają się niczym śnieg na słońcu.

Nie mają znaczenia, ponieważ jesteśmy razem. Znaleźliśmy naszą drogę.

Drew opiera czoło na moim, po czym przyciska mi dłoń do brzucha.

Jego dotyk jest pełen szacunku. Pyta onieśmielonym głosem:

– Naprawdę będziemy mieli dziecko?

Śmieję się przez łzy.

– Tak. Będziemy mieli dziecko. Naprawdę go chcesz?

Ociera wilgoć z moich policzków.

– Z tobą? Oszalałaś? To jedna z niewielu fantazji, których jeszcze nie zrealizowałem. Z tobą chciałbym mieć ze dwadzieścia dzieciaków, a niech tym wszystkim ludziom szczęki poopadają.

Znów się śmieję i czuję się tak dobrze. Opieram głowę na ramieniu Drew. On wtula twarz w moje włosy i wdycha ich zapach. Po czym mówi:

– Jest okej, Kate. Teraz już będzie okej.

I wierzę mu.



[5] Emily Brontë, *Wichrowe wzgórza* w tłumaczeniu Janiny Sujkowskiej.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Nie wiem, ile tak trwaliśmy przytuleni, klęcząc na ziemi, ale kiedy wstaliśmy, słońce wisiało nisko nad horyzontem i nastał wieczór. Drew przekonał mnie do pozostawienia samochodu, twierdząc, że później po niego wrócimy. Martwił się, że jestem zbyt wymęczona psychicznie, by bezpiecznie prowadzić. Przynajmniej raz się z nim nie sprzeczałam.

W drodze powrotnej do restauracji Drew prowadził, trzymając jedną rękę na kierownicy, a drugą na moim ramieniu, udzie lub po prostu splatał ze mną palce. To było uspokajające. Wspaniałe. Liczyłam na tę chwilę, pragnęłam jej bardziej niż czegokolwiek innego na świecie. Aby był przy mnie – kochał mnie – po tym, jak szczerze wątpiłam, by to jeszcze kiedykolwiek wróciło.

To jak film. Ponowne spotkanie. Pojednanie. Szczęśliwe zakończenie.

Jedynym problem jest to, że w życiu nie ma później wesołej piosenki. Nie wyjeżdżają napisy. W prawdziwym życiu musicie stawić czoło temu,

co dzieje się później. Musicie poradzić sobie z konsekwencjami swoich słów i czynów, które niemalże wszystko zniszczyły.

Które nadal mają taką moc.

Dlatego właśnie tak chętnie oglądamy filmy, ponieważ życie wcale nie jest takie proste.

Ale ta świadomość nie jest w stanie zmącić mojego poczucia szczęścia, tak wielkiego, że nawet nie potrafię tego opisać. Mimo wszystko czuję ulgę, że słowa Drew, striptizerka i konsekwencje tego wszystkiego były jedynie wynikiem nieporozumienia.

To modlitwa każdego, kto kiedykolwiek usłyszał łamiące serce wieści.

Twój syn zginął w wypadku samochodowym, zdiagnozowano u ciebie czwarte stadium raka. Zawsze jest nadzieja na to, że ktoś się pomylił. Przeprowadził błędną identyfikację, postawił błędną diagnozę.

Popełnił błąd.

Ale co dzieje się po tym błędzie? Kiedy już zaakceptowałyście tragedię jako prawdę lub wydałyście wszystkie oszczędności, sądząc, że pozostał wam już tylko jeden dzień? Co wtedy robicie?

Idziecie do przodu. Odbudowujecie. Wspinacie się od nowa z determinacją, by nie tylko wrócić do

tego, co było, ale żeby było jeszcze lepiej.

Ponieważ z perspektywy czasu widać więcej szans. Perspektywa nie tylko zmienia to, jak postrzegacie rzeczy, ale też to, co czujecie. I kiedy wydaje się, że wszystko straciłyście, potem nieskończenie bardziej cenicie każdą następną chwilę.

Podjeżdżamy na tylny parking i wchodzimy bocznym wejściem do kuchni, trzymając się za ręce. Jak para nastolatków, którzy nie tylko nie stawili się wieczorem na umówioną godzinę, ale byli też poza domem całą noc, mając gdzieś wszystkich, którzy zamartwiali się, że pewnie nie żyją.

Mama stoi przy blacie, błyszczącym nożem wściekle krojąc surową marchewkę. Nietrudno się domyślić, że wyobraża sobie, że marchewka jest zupełnie czymś innym. George siedzi przy stoliku z Billym. Dee-Dee, po drugiej stronie, siedzi z telefonem przy uchu.

Kiedy nas dostrzega, mówi cicho:

– Już są. Odzwonię. – I kończy połączenie.

Mama gwałtownie unosi głowę, odkłada nóż i odwraca się w naszą stronę. Wtedy zerka na nasze złączone ręce i patrzy na Drew.

– Musisz mieć tupet, ponownie tu przychodząc.

Drew wzdycha z rezygnacją i próbuje

wytłumaczyć.

– Carol...

Mama natychmiast mu przerywa.

– Nie chcę tego słuchać! Nawet się nie odzywaj. – Wskazuje na mnie palcem. – Wiem, że moja córka jest dorosłą kobietą, ale dla mnie zawsze będzie moim dzieckiem. Moim jedynym dzieckiem. A to, co jej zgotowałeś, jest niewybaczalne.

Znów próbuje:

– Rozumie...

– Powiedziałam, że masz się zamknąć! Nie ma nic, co mógłbyś powiedzieć, by to naprawić.

– Kate i ja...

– Zamknij się! Kiedy przypomnę sobie, jak wyglądała, gdy tu przyjechała... Dlaczego myślisz, że tak po prostu możesz wrócić do jej życia po tym wszystkim, co jej powiedziałaś? Po tym, co jej zrobiłeś!

Drew się nie odzywa.

Matka przewraca oczami.

– No nie stój tak! Odpowiadaj!

Zawsze myślałam, że mama jest spokojna w obliczu chaosu. Racjonalna. Ta sytuacja całkowicie rozwała moje wyobrażenia.

Drew otwiera usta, ale nie wypowiada słowa. Zamiast tego patrzy na mnie zdezorientowany.

Przybywam mu na ratunek.

– Mamo, to była straszna pomyłka. Drew nic nie wiedział o dziecku.

– Mówiłaś, że powiedziałaś mu o dziecku, a on wynajął tanią striptizerkę!

W tym momencie mój świeżo odzyskany chłopak postanawia sprostować:

– Możesz mi wierzyć, nie była tania.

Wbijam mu paznokcie w dłoń, by się zamknął, po czym wyjaśniam mamie:

– Nie, nie wiedział. Myślał, że mówię o czymś innym. To było nieporozumienie.

Wtrąca się Dee-Dee:

– Nieraz już to słyszałam. Ta śpiewka staje się już nużąca.

Przewracam oczami.

– Nie teraz, Dee.

Mama krzyżuje ręce na piersiach i stuka stopą.

– Nie chcę go gościć pod moim dachem, Katherine. Nie jest tu mile widziany.

To właśnie dlatego nigdy nie powinnyście zwierzać się rodzinie z miłosnych niepowodzeń. Nie znam waszych chłopaków tak dobrze jak wy, i jestem w stu procentach pewna, że nie kochają ich tak jak wy. Zatem nigdy – przenigdy – nie wybaczą tak, jak wy to zrobicie.

Nawet jeśli wiem, o co matce chodzi, mam teraz zbyt wiele na głowie. A ona naprawdę nie pomaga.

– W takim razie ja też tutaj nie zostanę.

Mama wygląda na zszokowaną, aż opadają jej ręce.

Znów wtrąca się Delores:

– Hej, kretynie. – Drew patrzy na nią. – Tak, ty. To chwila, w której powinienes powiedzieć, że nie chcesz wchodzić między Kate i jej matkę. Po czym powinienes pojechać do hotelu.

Drew prycha.

– Najwyraźniej nie jestem aż tak rycerski. Zostaję z Kate. Gdziekolwiek pójdzie, pójdę z nią.

Dee się krzywi.

– Ooo, jak Jack i Rose na Titanicu. – Podnosi rękę. – Ktoś również ma nadzieję, że dupek skończy jak Jack?

Ignoruję ją i skupiam spojrzenie na matce, w której głosie słyszę błaganie:

– To był bardzo emocjonujący dzień, Katie. Potrzebujesz nabrać dystansu. Nie myślisz teraz jasno.

Kręcę głową.

– Nie, mam. Mam tyle dystansu, ile mi trzeba. Drew chce tego dziecka. Kocha mnie. I musimy porozmawiać, by to wszystko wyjaśnić. – Patrzę na Dee-Dee. – Bez udziału publiczności. – Znów odwracam się do mamy. – I to nie była tylko jego wina. Ja też popełniłam kilka błędów.

Jak każda inna matka, tak i moja nie wierzy w błędy swojego dziecka.

– Tak ci właśnie powiedział? Stwierdził, że to twoja wina?

– Nie. Sama tak twierdzę. Po części też jestem winna, mamó. – Wzdycham. – Może dla wszystkich będzie lepiej, jak pojedziemy z Drew do hotelu.

Upór najwyraźniej jest dziedziczny, ponieważ mama mówi:

– Nie. Nie chcę, żebyś się tułała po hotelach. Chcesz, żeby został, to nie będę się wtrącać. Ale mi się to nie podoba. – Patrzy na Drew. – Trzymaj się ode mnie z daleka, jeśli nie chcesz oberwać. – Po czym wychodzi z pomieszczenia.

Wstaje George.

– Powiniennem z nią porozmawiać. – Zanim wychodzi, podaje rękę Drew. – Dobrze cię widzieć, synu.

Drew ściska mu rękę, po czym wciąga George'a w męski uścisk, klepiąc go po plecach.

– Dobrze wiedzieć, że chociaż ty tak myślisz, George.

George uśmiecha się i idzie za moją mamą.

Naprzeciw nas staje Billy.

Jeśli przyjrzyście się uważnie, dostrzeżecie, że klatka piersiowa Drew nadyma się, jak u dzikiej

małpy przygotowującej się do śmiertelnej walki o ostatniego banana w dżungli.

– Chcesz coś dodać, Warren?

Billy patrzy na Drew, następnie ignoruje go, przenosząc spojrzenie na mnie.

– Powiedziałem mu, że pewnie będziesz na placu zabaw, bo domyśliłem się, że tego byś chciała.

Uśmiecham się ciepło.

– Tak było. Doceniam, że to zrobiłeś. Oboje doceniamy.

Szturcham Drew łokciem, jednak on stoi niewzruszony.

Billy mówi:

– Nie potrzebujesz go, Katie. To proste.

– Kocham go, Billy. To proste.

Patrzy mi w oczy przez chwilę, po czym z rezygnacją kręci głową i opadają mu ręce.

– Tak w kwestii formalnej, oboje potrzebujecie terapii, i to na wczoraj. Możecie mi zaufać, potrafię rozpoznać dysfunkcyjność relacji

Przytakuję.

– Pomyślmy o tym.

Drew się krzywi.

– Jak chcesz.

Delores staje obok Billy'ego i mówi do Drew:

– Z przyjemnością będę się przyglądać, jak wygrzebujesz się z szamba, które sam sobie

zgotowałaś. To będzie lepsze, niż cokolwiek, co bym zdołała wymyślić. – Po namyśle dodaje: – A jeśli nie, potrafię być bardzo kreatywna.

Nie bądźcie rozczarowane brakiem kary ze strony Dee. Jest prawdziwą przyjaciółką, respektuje moje decyzje, nawet jeśli się z nimi nie zgadza. Wie, kiedy się wycofać i pozwolić mi działać na własną rękę.

Albo po prostu czeka na właściwy moment.

Dee przytula mnie i szepcze mi do ucha:

– Nie pozwól się pieprzyć do świtu. Wielokrotne orgazmy są jak plaster, nie jak lekarstwo.

Chichoczę.

– Dzięki, Dee.

Odwraca się do Billy’ego.

– Chodź. Sprawdzimy, czy Amelia potrafi wystarczająco długo nie gzić się z szeryfem Mitchellem, by zrobić nam kolację.

Billy się krzywi.

– Za wcześnie, by żartować na ten temat.

Wychodzą tylnymi drzwiami, zostawiając nas samych.

Pocieram ramię Drew.

– Nie tylko George cieszy się na twój widok. W razie, gdybym nie mówiła tego wcześniej, cieszę się, że tu jesteś.

Drew się uśmiecha i z czułością dotyka mojego

policzka.
– Wiem.



Idziemy na górę, do mojego pokoju i zamykamy za sobą drzwi. Obchodzę łóżko, skopuję buty i wciskam je pod nie. Jest już ciemno, więc włączam lampkę nocną rzucającą na pokój ciepłe światło.

– Mamie zajmie trochę czasu, nim to wszystko zrozumie. Prawdopodobnie nie będzie dla ciebie wtedy miła.

Drew siada na skraju łóżka i wzrusza ramionami.

– Nie martwię się twoją matką.

– Nie?

– Ona cię kocha. Zrozumie wszystko, gdy wpadnie na to, że chcesz być ze mną, że jesteś ze mną szczęśliwa. Moim jedynym zmartwieniem teraz jest to, byś taka właśnie była.

Milczymy przez chwilę. Siadam ze skrzyżowanymi nogami na łóżku obok Drew, który w zamyśleniu pociera ręce, po czym mówi, co leży mu na łożądku:

– To... Warren był tu przez cały czas?

Chociaż Drew rozmawiał z Billym, zanim znalazł mnie na placu zabaw, jestem pewna, że aż do teraz w pełni nie odnotował jego obecności.

– Billy przyjechał odwiedzić Amelię. Wpadł do restauracji kilka dni po tym, jak zjawiłam się w domu.

– I spędzaliście czas... razem?

Wiem, do czego zmierza. Zachowuje się jak doświadczony prawnik wyciągający ze świadka zeznania, czekający tylko na jego potknięcie, budujący pytanie, na które odpowiedź zada cios całej sprawie.

Spoglądam na łóżko, niezdolna patrzeć Drew w oczy. Czuję się winna, choć tak naprawdę nie powinno tak być.

Nie tylko Drew ciężko zrezygnować ze starych nawyków. Jak zawsze, lubię odwlekać nieuniknione.

– Naprawdę chcesz teraz o tym rozmawiać? – pytam.

Śmieje się ochryple.

– Tak dla przypomnienia, to nie jest rozmowa, którą chciałbym kiedykolwiek prowadzić. Ale chyba lepiej wyrzucić sobie wszystko od razu. – Nieznacznie kręci głową. – Co zrobiłaś, Kate?

Gwałtownie unoszę głowę. Czuję się obrażona

jego domniemanymi oskarżeniami.

– Co zrobiłam? Masz jaja, by mnie o to pytać.

Wzrusza ramionami.

– I to dość spore, dzięki. Jednak moje jaja nie są tematem tej dyskusji. Pieprzyłaś się z nim?

– A ty pieprzyłeś się ze striptizerką?

– Zapytałem pierwszy.

Milknę. Śmiałabym się z niego, gdyby to nie było takie żałosne. W końcu zrezygnowana mówię:

– Nie, nie pieprzyłam się z Billym.

Drew wypuszcza wstrzymywany oddech. Jego głos staje się delikatniejszy.

– Ja też nie... to znaczy, z Warrenem... Nie pieprzyłem się też ze striptizerką.

Wstaję z łóżka.

– A chciałeś?

Biorąc pod uwagę to, że Drew lubi odmianę, myślę, że to słuszne pytanie. Moim zdaniem miał wtedy szansę uciec od monotonii.

– Ani trochę. – Łapie mnie za szlufkę jeansów i przyciąga do siebie, między swoje rozsunięte kolana. – Pamiętasz ten okropny babski film, do którego oglądania zmusiłaś mnie w zeszłym roku? Ten z tym facetem, który grał także w serialu *Biuro*?

Mówi o *Kocha, lubi, szanuje*. Kiwam głową.

Drew ciągnie dalej:

– I to, jak na końcu powiedział: „Nawet gdy cię nienawidziłem, kochałem cię”?

Ponownie przytakuje.

– Właśnie tak się czułem. Nie chodziło o to, czego chciałem, tylko o to, co wydawało mi się, że powinienem zrobić. Zawsze chodziło o ciebie. Byłaś w mojej głowie, w moim sercu... nawet, gdy nie było cię przy mnie... i tak byłaś w mojej duszy.

Nigdy nie będzie dobrego momentu, by to powiedzieć. Kłamstwo czy zatajenie nigdy nie było możliwe.

– Całowałam się z Billym.

Uchwyt Drew tężeje na moich biodrach. Słowa zawisają w powietrzu niczym smród.

Kiedy w żaden sposób nie reaguje, dodaję:

– To nic nie znaczyło.

Drew uśmiecha się gorzko.

– Jasne, że nie znaczyło.

– Byłam zraniona. I zdezorientowana. To trwało tylko kilka sekund. I nie chodziło o pożądanie. To było tylko... pocieszenie.

Drew odsuwa mnie na bok i wstaje. Zaczyna szybko chodzić. Każdy mięsień w jego ciele jest napięty.

– Mówiłem, że tak będzie. Przez cały czas wiedziałem, że tak będzie. Ten krętacz tylko czeka na sposobność, by ponownie dobrać ci się do

majtek.

– To nie tak, Drew. To było niewinne. – Na myśl przychodzi mi wspomnienie Drew lubieżnie całującego striptizerkę. Obraz, który natychmiast wywołuje mój gniew. – To nie było nic, czego sam byś nie zrobił. Tyle że ja musiałam na to patrzeć.

– I przez to mam poczuć się lepiej?

– Nie staram się sprawić, byś poczuł się lepiej! Staram się wyjaśnić, co zaszło, żebyśmy mogli mieć to już za sobą. Tego właśnie chcesz, prawda? Prawda?

Musiał usłyszeć desperację w moim głosie, ponieważ przystaje i przez dłuższą chwilę wpatruje się we mnie. W jego niebieskich oczach dostrzegam walkę oburzenia i niezrozumienia. Potrzebę bezsensownej furii, do której nie ma prawa.

Wypuszcza powietrze i ponownie siada na łóżku.

– Tak, właśnie tego chcę.

Uśmiecham się smutno.

– Ja również.

Nie patrzy na mnie, tylko gapi się na drzwi pokoju.

– To był tylko pocałunek?

– Tak.

– Żadnych pieszczot, żadnego rozbierania?

Przewracam oczami.

– Nie.

Spięty, kiwa głową.

– Okej... okej. Myślę, że jesteśmy kwita. – Przez chwilę siedzi w ciszy, po czym mówi stanowczo: – Nie chcę, byś kiedykolwiek z nim rozmawiała. Nigdy.

– Drew...

– Mówię poważnie, Kate. Nie chcę, żeby dzwonił do naszego mieszkania, nie chcę, by pisał do ciebie e-maile. Nie chcę, byś wychodziła z nim na lunch lub na jakiegokolwiek „babskie spotkanie”. – Patrzy mi z zacięciem w oczy. – Chcę, żeby Billy Warren zniknął z naszego życia. Na zawsze.

Zamykam oczy. Wiedziałam, że tak będzie. I nie myślcie sobie, że nie wiem, jak czuje się Drew. Być może zgadzacie się z nim, ale wybór pomiędzy Billym a Drew nie jest możliwy. Może to egoistyczne, ale potrzebuję ich obu. Drew jest moim kochankiem, miłością mojego życia, ojcem mojego dziecka. Ale Billy jest moim najlepszym przyjacielem, takim samym jak Dee-Dee.

– Jest moim przyjacielem. – Spoglądam na niego z poważnym wyrazem twarzy, mówiąc mu bez słów, że i tym razem się nie poddam. Nie w tej sprawie. Nie ma mowy.

Zaciska zęby.

– Jak możesz wymagać ode mnie, bym to znosił?

Cholera, jak mogę patrzeć, jak z nim rozmawiasz, i nie mieć ochoty mu przywalić?

Biorę Drew za rękę i mocno ściskam.

– Gdybyśmy zdecydowali nie być dłużej razem, nie byłabym ponownie z Billym. Nigdy. On też nie chciałby być ze mną. Kiedy tu przyjechałam, wierzyłam, że nie chcesz dziecka. I sądziłam, że nie poradzę sobie z tym sama. Billy sprawił, iż zrozumiałam, że dam radę. I, co ważniejsze, sprawił, że zrozumiałam, iż tego chcę.

Drew się odwraca.

Obejmuję jego twarz i zmuszam, by znów na mnie patrzył.

– Gdyby nie było tu Billy’ego, istniałaby spora szansa, że zanim byś tu przyjechał, dokonałabym aborcji. Pomyśl o tym. Pomyśl, co mogliśmy stracić, Drew. Po tym nigdy bym sobie nie wybaczyła. Ani tobie. Jestem jego dłużniczką. Oboje jesteśmy.

Zaciska mocno powieki. Właściwie nie oczekuję, że się ze mną zgodzi. To trudne do przełknięcia dla mężczyzny, szczególnie takiego jak Drew. Ale słuchał. I mogę mieć tylko nadzieję, że pomyśli o tym, co powiedziałam i uzmysłowi sobie, że moje życie – nasze życie – jest lepsze z przyjacielem, jakim jest Billy.

Na razie musi wystarczyć mi to, że nie kłóci się

ze mną.

Przeciera oczy ze znużenia. Kiedy opuszcza ręce, zadaje mi pytanie. W każdej sylabie słyhać jednocześnie przygnębienie i ciekawość.

– Dlaczego mi po prostu nie powiedziałaś, Kate? Kiedy pierwszy raz pomyślałaś, że możesz być w ciąży. Dlaczego wtedy nic nie powiedziałaś?

To coś, nad czym też się pewnie zastanawiacie, prawda? Cała historia nie miałaby miejsca, gdybym podzieliła się swoimi obawami.

– Byłam oszołomiona... Przerazona. Nie wiedziałam nawet, jak mam się czuć na myśl o możliwej ciąży i... nie byłam pewna, jak na to zareagujesz. Musiałam się z tym pogodzić. Zaakceptować to. Aby w końcu się tym cieszyć. I tak się stało. Po spotkaniu z Bobbie w końcu byłam szczęśliwa. Wracałam do domu, by ci powiedzieć, ale... wtedy było już za późno.

Drew mówi:

– Tak cholernie mocno starałem się nie wyciągać pochopnych wniosków. Znowu. Kiedy zobaczyłem męskie imię w twoim terminarzu i kiedy skłamałaś na temat tego, gdzie się wybierasz... Byłem naprawdę wkurzony. Później ochłonałem i pomyślałem, że może to coś dobrego. Może jedziesz kupić mi prezent albo chcesz przygotować jakąś niespodziankę.

– I zamiast zapytać mnie o to lub poczekać na tę niespodziankę, postanowiłeś za mną pojechać?

– Nie mogłem po prostu siedzieć z założonymi rękami. Musiałem coś zrobić. I wtedy zobaczyłem cię na parkingu, jak bardzo jesteś szczęśliwa na widok tego sukinsyna. Nigdy nie pomyślałem, że mogłabyś mnie zdradzać. Nigdy nie chciałem w to uwierzyć, ale miałem to przed oczami.

– Babcia mawiała: „Nie wierz w to, co słyszysz, i tylko w połowie w to, co widzisz”.

Drew prycha:

– Była pieprzonym geniuszem.

Jestem gotowa zaakceptować rolę, jaką odegrałam w całej tej sprawie, ale nie mam syndromu męczennika, więc pytam:

– Jeśli myślałeś, że cię zdradzam, dlaczego nie zareagowałeś jak normalny facet? Dlaczego nie uderzyłeś w ścianę czy nie upiłeś się? Dlaczego musiałeś wcielić w życie ten swój diaboliczny plan, jak jakiś złoczyńca z *Batmana*?

Kręci głową i bawi się moimi włosami.

– Kiedy zobaczyłem to, co zobaczyłem... przeżyłem koszmar. Znalazłem się w piekle. Bóg czy szatan, nigdy nie byli nawet blisko tego, jak się wtedy poczułem.

– Mogę sobie wyobrazić.

– I chciałem tylko, by to uczucie minęło. Ten

kurewski, miazdzący ból. Przynajmniej trochę. Zatem zanim kupiłem butelkę whisky, poszedłem do klubu, do którego za dawnych czasów chodziliśmy z chłopakami. I ona tam... po prostu była. I wiesz jak to mówią: „Najlepszym sposobem, by o kimś zapomnieć, jest znaleźć sobie kogoś nowego”.

– Nikt tak nie mówi, Drew.

– To może powinni. Tak czy inaczej wpadłem na pomysł, że jeśli zobaczysz mnie z inną, zdasz sobie sprawę, co tracisz. Pomyślałem, że skończysz z tym, co myślałem, że robisz i... że do mnie wrócisz. Błagając o litość. Prosząc o wybaczenie. Wszystko miałem zaplanowane.

Odpowiadam oschle:

– Jasne. I tak cudnie wyszło.

– Powiedziałem, że to był plan, nie mówiłem, że był dobry. – Odwraca się skwaszony. – Kiedy wyszłaś... wpadłem w szal. Po prostu nie mogłem uwierzyć... że nie wybrałaś mnie. – Mówi, jakby był załamany, co jest tak niepodobne do faceta, z którym mieszkałam przez dwa lata.

Łzy pełne smutku i poczucia winy spływają mi po policzkach.

– Przykro mi.

Drew bierze mnie w ramiona. Całuje mnie w szyję, mówiąc:

– To mi jest przykro, Kate. – Odsuwa się i ociera mi policzki. – Nie płacz. Nie chcę, byś jeszcze kiedykolwiek płakała.

Pociągam nosem i wycieram oczy.

– Co byś zrobił, gdybym ci powiedziała o swoich podejrzeniach tej nocy, po kolacji u twoich rodziców?

Mały uśmiech maluje się na jego ustach, gdy wyobraża sobie to wspaniałe „co, jeśli”.

– Pobiegnę do apteki, bez względu na to, która byłaby godzina, i kupiłbym jeden z tych testów ciążowych. Albo nawet z dziesięć! I siedziałbym z tobą przy stole, wlewając w ciebie wiadra wody, byśmy w końcu mogli sprawdzić.

Śmieję się wzruszona, bo tak dobrze to słyszeć.

– A kiedy już wszystkie okazałyby się dodatnie, ustawiłbym je jeden przy drugim i zrobił im zdjęcie, żebyśmy mogli je wysłać twojej mamie i moim rodzicom, a także Matthew i Alexandrze. Potem wziąłbym cię na ręce i zaniósł do sypialni, gdzie spędziłbym kolejne kilka godzin na uprawianiu miłości. Byłby to powolny i delikatny seks, ponieważ pewnie bałbym się cię skrzywdzić. A potem, gdy leżelibyśmy zmęczeni... powiedziałbym ci, że nie mogę się doczekać, by już minęło te dziewięć miesięcy. – Jego niebieskie oczy błyszczą z czułością i namiętnością. –

Ponieważ wiedziałbym, że możemy spłodzić tylko idealne dziecko.

Śmiejąc się, odgarniam mu ciemne włosy z czoła. Po czym pochylam się i obdarowuję go słodkim pocałunkiem.

Po czym Drew pyta:

– Gdybym tamtego wieczoru był sam w mieszkaniu, co byś mi powiedziała? Jakbyś mi przekazała tę wiadomość?

Znowu mam w oczach łzy. Wstaję i podchodzę do komody, by wyciągnąć z szuflady małą koszulkę. Trzymam ją za plecami i podchodzę do Drew. Mówię cicho:

– Poprosiłabym, żebyś usiadł, i powiedziałabym, że gdy zaczęłam pracować w firmie, nie spodziewałam się poznać kogoś takiego jak ty. I nigdy nie myślałam, że się w kimś takim zakocham. I naprawdę nie oczekiwałam, że ktoś taki obdarzy mnie choć najmniejszym uczuciem. A potem powiedziałabym, że najlepsze rzeczy w życiu to te niespodziewane. A później dałabym ci to.

Podaję mu koszulkę, a on ją rozwija i czyta napis, a jego usta układają się w dumny, zadowolony uśmiech. Odzywa się ochryplym z emocji głosem:

– To bardzo, bardzo dobry pomysł.

Odkłada koszulkę na bok i odsuwa kołdrę. Łapie za spód mojej bluzki i ściąga mi ją przez głowę. Rozbiera mnie, później zdejmuje mi jeansy, więc stoję przed nim jedynie w biustonoszu i majtkach.

Powoli rozpinam mu koszulę. Wodzę palcami po jego ramionach i piersi, rozkoszując się dotykiem ciała, którego tak bardzo mi brakowało. Jednak nie ma w tym nic erotycznego. Kiedy Drew też jest w samej bieliźnie, gasimy światło i wchodzimy pod kołdrę.

Mam nadzieję na dobry, głęboki sen. W końcu. To samo zmęczenie dostrzegam u Drew. Emocjonalne wyczerpanie może być straszniejsze niż najbardziej intensywny, sześciodniowy trening na siłowni.

Drew kładzie się na plecach, więc opieram głowę na jego piersi. Całuje mnie w czubek głowy i gładzi po włosach.

Pytam cicho:

– Nadal myślisz, że jestem idealna?

– Co masz na myśli? – pyta sennym głosem.

Unoszę głowę i patrzę na niego.

– Mówiłeś to cały czas. Gdy pracowaliśmy, kiedy się kochaliśmy, podejrzewam, że czasami robiłeś to bezwiednie. Mówiłeś, że jestem idealna. Po tym wszystkim, co się stało, nadal tak uważasz?

Wiem, że daleko mi do ideału. Nikt nim nie jest.

Ale nie chcę poznać prawdy – chcę wiedzieć, czy coś się zmieniło. Czy straciłam ostatnio w jego oczach.

Dotyka mojej twarzy, śledząc usta kciukiem.

– Nadal myślę, że jesteś dla mnie idealna. Nic nigdy tego nie zmieni.

Uśmiecham się i kładę głowę. Zasypiamy przytuleni.



ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Następnego ranka otwieram oczy i stwierdzam, że jest bardzo wcześnie. Szare światło prześwituje przez zasłony, ale słońce jeszcze nie wstało. Łóżko obok mnie jest puste. Jestem sama.

Przez jedną straszną, okropną chwilę myślę, że to był tylko sen. Przyjazd Drew do Greenville, nasze pojednanie – wszystko było tylko złudzeniem, wywołanym nadmiernym oglądaniem telewizji i czytaniem romansów Julie Garwood.

I nagle zauważam leżącą na szafce nocnej kartkę.

*Nie panikuj. Zszedłem na dół po kawę i śniadanie.
Zaraz będę. Zostań w łóżku.*

Uspokojona odwracam się na plecy i zamykam oczy. Z doświadczenia wiem, że jeśli zbyt szybko wstanę, mdłości dopadną mnie z podwójną siłą. Oczywiście nikt nie lubi, jak mu żołądek fika koziółka, lecz teraz w pewnym sensie to pocieszające. Jakby ciało mówiło mi, że wszystko jest okej, że wszystko działa jak należy.

Dziesięć minut później wstaję powoli i nakładam szlafrok. Kuszona zapachem świeżo parzonej kawy schodzę na dół. Przed kuchennymi drzwiami słyszę głos Drew. Zamiast wejść, zerkam przez szczelinę w zawiasach.

Drew stoi przy szafkach, miesza coś w misce, dosypując do tego mąkę. Mama siedzi sztywno przy stole w rogu kuchni, przeglądając rachunki i wciskając guziki wielkiego kalkulatora. Ma surową minę, najwyraźniej za wszelką cenę stara się ignorować drugą osobę przebywającą w pomieszczeniu.

Słucham, jak Drew kończy jakąś historię.

– ...więc powiedziałem: „Dwa miliony? Nie mogę przedstawić klientowi takiej oferty. Wróc z poważną propozycją”. – Patrzy na mamę, ale ta nie reaguje. Wraca do mieszania i ciągnie wątek: – Dokładnie tak, jak mówiłem Kate kilka tygodni temu: „Niektórzy faceci muszą nauczyć się przegrywać”.

Mama rzuca rachunek na stół i bierze kolejny ze stosu.

Drew wzdycha. Odkłada miskę na blat i siada obok mamy, ale ona nie zwraca na niego uwagi. Drew zastanawia się przez moment, pocierając knykciami zarost na szczęce, po czym pochyła się do mamy i mówi:

– Kocham twoją córkę, Carol. Kocham ją tak bardzo, że zasłoniłbym ją własną piersią przed kulą.

Mama prycha.

Drew przytakuje.

– Tak, rozumiem. To pewnie niewiele dla ciebie znaczy. Ale to prawda. Nie obiecuję, że znów czegoś nie spieprzę. Jednak jeśli to zrobię, nie będzie to tak wielka wpadka, jak ta ostatnia. Mogę ci jednak obiecać, że zrobię wszystko, by to Kate wynagrodzić.

Matka nadal patrzy na rachunek trzymany w dłoni, jakby była na nim zapisana formuła leku na raka.

Drew opiera się na krześle, patrzy w okno i uśmiecha się delikatnie.

– Kiedy byłem mały, chciałem być jak ojciec. Nosił niesamowite garnitury i pracował na szczycie ogromnego budynku. Zawsze miał wszystko poukładane, jakby miał pod kontrolą cały świat. Kiedy poznałem Kate... nie... kiedy uświadomiłem sobie, że Kate jest mi przeznaczona, chciałem być tylko facetem, który będzie ją uszczęśliwiał. Który będzie ją zaskakiwał i sprawiał, że będzie się uśmiechała.

Po raz pierwszy mama spogląda na Drew. On odwzajemnia jej spojrzenie, po czym mówi

dosadnie:

– Nadal chcę być tym facetem, Carol. Nadal uważam, że mogę nim być. I mam nadzieję, że pewnego dnia też tak pomyślisz.

Po chwili Drew wstaje i wraca do przygotowywania śniadania.

Stoję i obserwuję, jak mama nieruchomo siedzi przy stole. Czy nie coś takiego chciałby usłyszeć każdy rodzic? Czy nie byłby zadowolony, dowiadując się, że celem kogoś, kto kocha ich dziecko, jest jego uszczęśliwianie? Nie mogę uwierzyć, że nie poruszyły ją słowa Drew.

W końcu mówi:

– Źle to robisz.

Drew przestaje mieszać i odwraca się do niej.

– Tak?

Mama wstaje i odbiera mu miskę.

– Jeśli wsypiesz za dużo mąki, naleśniki będą za ciężkie. Za grube. Musisz dodać tylko tyle, by wymieszać wszystkie składniki. – Obdarowuje Drew słabym uśmiechem. Ale tylko jednym. – Pomogę ci.

Powoli Drew odwzajemnia uśmiech.

– Super. Dziękuję.

Tak – wszystko dobre, co się dobrze kończy. Moje serce odrobinę topnieje, ponieważ każda dziewczyna pragnie, by jej matka akceptowała

mężczyznę, którego ta kocha.

Wchodzę do kuchni.

– Dzień dobry.

– Witaj, kochanie. Jak się czujesz? – pyta mama.

– Dobrze. Naprawdę dobrze.

Podchodzę do Drew, który mnie obejmuje i całuje.

– Co tutaj robisz? Nie czytałaś karteczki, którą ci zostawiłem?

– Czytałam, ale chciałam sprawdzić, co kombinujesz. Jak ci idzie?

Mruga do mnie.

– Dajemy radę.

Zostaliśmy w Greenville jeszcze jeden dzień, po czym wieczorem wsiedliśmy w samolot do Nowego Jorku. W sobotę rano przekroczyliśmy próg naszego mieszkania.

Rozglądam się po salonie, gdy Drew układa nasze rzeczy w kącie. Mieszkanie jest świeżo wysprzątane na błysk i pachnie cytrusowym płynem do mebli. Wygląda dokładnie tak samo, jak kiedy z niego wychodziłam tydzień temu. Bez zmian.

Właściwie, czytając mi w myślach, Drew mówi:

– Zatrudniłem serwis sprzątający.

Patrzę w kierunku łazienki.

– Żeby rozprawili się z ogniskiem?

Rozmawialiśmy o skłonności Drew do piromanii. Powiedział, że spalił kilka zdjęć, ale mamy ich kopie. Nie straciliśmy nic cennego.

Dramatycznie, nie sądzicie?

Z ponurą miną mówię:

– Drew, musimy porozmawiać.

Patrzy na mnie ostrożnie.

– Żadna rozmowa na świecie zaczynająca się od tych słów, nie zakończyła się jeszcze dobrze. Może usiądziemy.

Siadam na kanapie. Drew odwraca fotel i siada twarzą do mnie. Przechodzę od razu do rzeczy:

– Chcę się wyprowadzić.

Rozważa to przez chwilę, a ja pracuję nad umotywowaniem mojego pomysłu, bo wiem, co zaraz powie.

Ale on szybko przytakuje.

– Masz rację.

– Mam?

– Oczywiście. – Rozgląda się po pokoju. – Powinienem był wcześniej o tym pomyśleć. To znaczy, to tutaj odbył się najgorszy koszmar twojego życia. To jak dom z horroru *Amityville*. Kto chciałby tu mieszkać? – Zachowuje się lepiej, niż sądziłam. Przynajmniej póki nie mówi: – Moja siostra ma genialnego agenta nieruchomości. Zaraz do niej zadzwonię. Jeśli chcesz, to do czasu,

aż czegoś nie znajdziemy, możemy mieszkać w hotelu. Chociaż nie powinno to długo potrwać.

– Nie, Drew. Powiedziałam, że to ja chcę się wyprowadzić. Sama. Chcę mieć własne mieszkanie.

Marszczy czoło.

– Dlaczego?

Pewnie zastanawiacie się nad tym samym. Myślałam o tym, planowałam to, odkąd zdecydowałam się zatrzymać dziecko i wychować je bez Drew. Są różne rodzaje uzależnień. Zawsze chciałam być niezależna finansowo i teraz jestem. Jednak nigdy nie byłam niezależna emocjonalnie. Nigdy nie polegałam tylko na sobie. I w tym momencie życia właśnie tego pragnę.

Aby udowodnić samej sobie, że jestem do tego zdolna.

– Nigdy nie mieszkałam sama. Wiesz o tym, prawda?

Wciąż oszołomiony mówi:

– Wiem, i...?

– Na pierwszym roku studiów mieszkałam w akademiku. Potem z Billym i kilkoma innymi studentami znaleźliśmy dom poza kampusem. Później wynajmowałam mieszkanie albo z Dee, albo z Billym. Ostatecznie przeprowadziłam się do ciebie.

Drew pochyla się, opierając łokcie na kolanach.

– Do czego zmierzasz, Kate?

– Chodzi mi o to, że nigdy nie miałam własnego kąta. Nigdy nic samodzielnie nie urządziłam i nie kupowałam sobie mebli. Mam dwadzieścia siedem lat i praktycznie nigdy nie spałam sama. – Drew otwiera usta, by się kłócić, ale ciągnę dalej: – I... myślę, że masz rację, twierdząc, że się pospieszyliśmy. W jedną noc przeszliśmy od przygodnego seksu do wspólnego mieszkania.

– I super nam się mieszkało! Wiem, czego chcę, a chcę ciebie. Nie było sensu czekać, bo...

– A może właśnie w czekaniu jest sens, Drew. Może nasz związek byłby silniejszy, gdybyśmy... po prostu się spotykali... przez jakiś czas, zanim zdecydowalibyśmy się razem zamieszkać. Może, gdybyśmy się tak nie spieszyli, cała ta historia nigdy by się nie wydarzyła.

Drew jest rozdrażniony. I nieco spanikowany. Stara się to ukryć, ale mu nie wychodzi.

– Mówiłaś, że mi wybaczyłaś.

– Wybaczyłam. Ale... nie zapomniałam.

Kręci głową.

– To jakiś babski sposób, by mi to gównie przypominać do końca życia!

Ma rację. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie mam ochoty wyciągać tego na światło dzienne

za każdym razem, gdy coś mi zrobi. Chcę, by wiedział, że nie może mnie traktować, jak chce, i by uświadomił sobie, że istnieją konsekwencje jego działań. Aby wiedział, że jeśli znów coś spieprzy, będę mogła – i z pewnością to zrobię – go zostawić.

Jednak nie chodzi tylko o to.

– Chcesz zmienić tu wystrój? – pyta. – Nie krępuj się. Chcesz przemaalować ściany na różowo i założyć pościel w cholerne jednorożce? Nawet słówka nie pisnę.

Kręcę głową.

– Muszę wiedzieć, że potrafię to zrobić, Drew. Dla siebie. I... kiedy nasze dziecko wyprowadzi się na własne śmieci, muszę wiedzieć, jak to jest, by mu pomóc.

W tej chwili spodziewam się, że Drew zgodzi się na wszystko, czego od niego zażądam. Kobiety wiedzą, kiedy mają przewagę. Wiecie, o co mi chodzi. O ten dzień po rocznicy waszego ślubu, o której wasz mąż zapomniał lub gdy wasz chłopak zasiedział się w barze z kumplami, oglądając mecz. Kiedy wygrywa kobieta, faceci wychodzą z siebie, by robić wszystko rozważnie i z głową. Są pokorni i kochający. Chowają buty do szafy, wynoszą śmieci z własnej woli, zawsze pamiętają, by opuścić deskę klozetową.

Zatem, choć zdaję sobie sprawę, że Drew nie będzie zadowolony z mojego rozumowania, wyobrażam sobie, że będzie wyrozumiały i pomocny.

– Ale to jakaś pieprzona głupota!

To nie dokładnie to, na co liczyłam.

Krzyżuję ręce na piersiach.

– Nie dla mnie.

Drew zrywa się na równe nogi.

– Zwariowałaś! – Przeczesuje dłonią włosy i stara się uspokoić. Kiedy ponownie się odzywa, jest spokojnym, zrównoważonym biznesmenem. – Dobra, zgadzam się, że ostatnie dni były bardzo emocjonujące. I jesteś w ciąży, nie myślisz przez to racjonalnie. Kiedy Alexandra była w ciąży, chciała obciąć swoje długie włosy jak Miley Cyrus. Fryzjer jej to odradził i w końcu była z tego zadowolona. Zatem... zawieśmy na chwilę ten pomysł... zostawmy go na później.

Wzdycham.

– To będzie dla nas dobre. Nadal będziemy się codziennie widywać, ale trochę czasu spędzimy osobno, będziemy mieli odrobinę więcej przestrzeni...

– Matce powiedziałaś, że nie potrzebujesz przestrzeni. Mówiłaś, że musimy być razem, by to jakoś poukładać.

– Tak było wtedy. – Wzruszam ramionami. Lecę później starym, niezawodnym tekstem: – Jeśli coś kochasz, musisz to uwolnić. Jeśli do ciebie wróci, jest twoje.

Uciska nasadę nosa.

– Zatem chcesz udowodnić, że nigdy ode mnie nie odejdziesz... odchodząc ode mnie?

– Nie. Chcę udowodnić, że nigdy od ciebie nie odejdę, wracając do ciebie.

Drew odchyła spodnie od brzucha i patrzy w dół.

– Nie. Nadal mam fiuta. Co w sumie wiele tłumaczy, bo twoje argumenty mają sens wyłącznie dla kobiet. – Przewracam oczami, a Drew kontynuuje: – Jesteś w cholernej ciąży, Kate! Będziemy mieli dziecko. Nie czas na robienie kroku w tył i sprawdzanie, czy chcesz być w związku!

Biorę go za rękę, chcąc, by usiadł obok mnie na kanapie.

– Pamiętasz wszystko, co zrobiłeś, zanim się tu wprowadziłam? Kwiaty, balony, pogadankę siostry B., remont domowego gabinetu, te wszystkie piękne gesty? Pokazałeś mi, jak bardzo mnie chcesz i jak potrafisz zmienić dla mnie swoje życie. – Patrzę na nasze złączone dłonie. – Stworzyłeś również ofertę, której nie potrafiłam odmówić. Żadna kobieta nie dałaby rady. I myślę,

że częściowo wierzysz, że manipulowałeś mną, bym z tobą zamieszkała, że gdybyś mnie w to nie wciągnął, nigdy bym cię nie wybrała.

– Bo byś nie wybrała.

– Już wiesz, o co mi chodzi? Ale jest jeszcze coś. Być może potrzebowałam czasu, by ponownie ci zaufać, ale go nie dostałam. Być może nadal bym cię kochała i chciałabym z tobą mieszkać, tylko za to jaki jesteś, a nie za to, co dla mnie zrobiłeś. W taki sposób możemy to naprawić, Drew. Żebyś nigdy nie wątpił, z jakich powodów z tobą jestem.

Zabiera rękę i przeciera nią twarz.

– Zatem... chcesz wynająć mieszkanie, spakować swoje rzeczy, kupić meble i trudzić się przeprowadzką tylko dlatego, by udowodnić nam obojgu, że potrafisz to zrobić? Wiedząc, że tak czy owak w pewnej chwili do mnie wrócisz?

– Cóż, jeśli tak to ujmujesz, to brzmi to niedorzecznie.

– Tak! Dziękuję. Wyrzucić z tego te psychoemocjonalne brednie i jest to zupełnie niedorzeczne!

– Nie. Wcale nie. Kiedy zdecydujemy ponownie razem mieszkać, będziemy równymi partnerami. Nie będziesz musiał robić dla mnie miejsca w swoim życiu, tylko razem podejmiemy tę decyzję. Ze wszystkich najlepszych powodów.

Zamyślony, spogląda na drzwi. Po czym obraca się do mnie.

– Nie. Przepraszam, Kate, ale nie. Tak, bardzo chcę, byś była szczęśliwa, ale nie będę wspierał czegoś, co jest bezsensowne. Nie chcę się na to godzić. I tego nie zrobię. Po prostu nie. – Krzyżuje ręce na piersi i robi nadąsaną minę. Jak dwulatek, który nie chce ustąpić, póki nie będzie po jego myśli.

Nie tak dawno temu przekonałaby mnie jego odmowa. Przyjęłabym jego opinię. Poddałabym się dla dobra naszego związku i własnego zdrowia psychicznego. Ale teraz już nie.

Wstaję.

– Zrobię to, Drew, z tobą czy bez ciebie. Mam nadzieję, że nadal będziemy mogli być razem.

Idę korytarzem do sypialni.



Stoję na środku pokoju i rozpamiętuję. Niektóre z najwspanialszych i najbardziej romantycznych chwil w moim życiu miały miejsce w tym pomieszczeniu. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie będę za nim tęsknić. Jednak

jestem przekonana, że dobrze robię, wyprowadzając się. Wierzę, że różnice między nami rozpadną się pod ciężarem naszej pasji i uporą, a nasz związek stanie się silniejszy niż kiedykolwiek wcześniej.

Chciałabym tylko, żeby Drew też tak to widział.

Wzdycham i idę do szafy po walizkę. Tydzień temu wzięłam ze sobą jedynie małą torbę, więc zostało mi jeszcze wiele rzeczy do spakowania. Na górnej półce znajduję dużą, szarą walizkę.

Półki w szafach naprawdę nie zostały zainstalowane z myślą o niskich osobach. Staję na palcach, starając się dosięgnąć rączki. Rozważam przyniesienie krzesła z drugiego pokoju, ale najpierw próbuję podskoczyć. Zginam kolana, by się odbić, gdy słyszę, że Drew staje za mną. Sięga ponad moją głowę, łapie uchwyt i wyciąga walizkę.

– Nie powinnaś wyciągać rąk nad głowę. To niezbyt dobrze dla ciebie... i dziecka. – Odchodzi i kładzie walizkę na łóżku.

– Skąd o tym wiesz? – pytam, idąc za nim.

Wzrusza ramionami.

– Czytałem sporo, gdy Alexandra była w ciąży. Chciałem być przygotowany, gdyby zaczęła rodzić w domu lub gdybyśmy utknęli w taksówce podczas godzin szczytu. – Rozpina ją i dodaje: – Musiałem

później wyjąć i włożyć sobie na nowo gałki oczne, ale było warto.

Uśmiecham się.

Chwyta mnie za ramiona i sadza na skraju łóżka.

– Najpierw... połóż się i pozwól odpocząć stopom. Zrelaksuj się.

Odwraca się, wyjmuje z szuflady komody stos moich podkoszulków i układa je w walizce. Nie patrzy na mnie, gdy to robi.

– Pomagasz mi z pakowaniem?

Kiwa sztywno głową.

– Tak.

– Ale nadal nie chcesz, żebym się wyprowadzała?

– Nie.

– I nadal uważasz, że to głupi pomysł?

– Tak. Nie miewasz wielu głupich pomysłów, ale kiedy już na jakiś wpadniesz, jest najgłupszy na świecie.

Bierze kolejny stos z szuflady, gdy pytam:

– To dlaczego mi pomagasz?

Kładzie rzeczy do walizki i patrzy mi w oczy. Jego mina zdradza wszystkie jego uczucia – frustrację, rezygnację... oddanie.

– W ostatnich dwóch latach pewnie kilkadziesiąt razy powiedziałem, że zrobiłbym dla ciebie wszystko. – Wzrusza ramionami. – Nadszedł czas,

abym to zrobił albo się zamknął.

I właśnie dlatego... dlatego tak bardzo go kocham. Podejrzewam też, że dlatego wy go tak kochacie. Ponieważ mimo swoich wad i niedoskonałości, Drew gotów jest oddać mi wszystko, co posiada. Położyłby swoje serce na pieńku i wręczył mi topór. Zrobiłby rzeczy, których by nie znosił, tylko dlatego że poprosiłabym go o to. Sprzeciwiłby się swojemu instynktowi i zdrowemu rozsądkowi, gdybym tego potrzebowała. Swoje dobro i szczęście zawsze stawia na drugim miejscu, tuż po moim.

Wstaję, obejmuję go za szyję i całuję w usta. Przez chwilę nie dotykam podłogi, a jego dłonie wplatają się w moje włosy. Mój jęk zostaje pochłonięty przez jego usta, gdy przyciska je do moich jeszcze mocniej. Odsuwam się i mówię:

– Jesteś niesamowity.

Obdarowuje mnie delikatnym uśmiechem.

– Muszę się z tym zgodzić.

Odwzajemniam uśmiech.

– Kocham cię.

Stawia mnie na podłodze, ale nie puszcza mojej talii.

– To dobrze. Zatem pozwolisz mi zamontować trzy zamki w drzwiach mieszkania, do którego się przeprowadzisz. I łańcuch. I rygiel.

Uśmiecham się szerzej.

– Dobrze.

Drew powoli rusza do przodu, sprawiając, że się cofam.

– I nie będziesz się wkurzać, gdy zainstaluję alarm.

– Nawet tego nie planowałam.

Stawiamy kolejne kroki, jakbyśmy tańczyli.

– Myślę o kupieniu ci jednego z tych urządzeń, które powiadamiają w razie upadku.

Unoszę wzrok, udając, że się zastanawiam.

– Porozmawiamy o tym.

– I pozwolisz mi co wieczór odprowadzać się do domu.

– Tak.

Dotykam łóżka tylną częścią łydek.

– Mam też zamiar chodzić z tobą na każdą wizytę do lekarza.

– Nawet przez sekundę nie myślałam, że będzie inaczej.

Drew obejmuje moją twarz.

– I pewnego dnia poproszę, byś za mnie wyszła. I będziesz wiedziała, że to nie dlatego, że jesteś w ciąży, i nie dlatego, że chcę cię przy sobie zatrzymać. – W moich oczach pojawiają się łzy, gdy tak na siebie patrzymy. Drew ochryłym głosem ciągnie dalej: – Będziesz wiedziała, że

zapytam cię o to, ponieważ chcę być dumny, mówiąc: „To moja żona, Kate”, a wtedy na moje pytanie odpowiesz: „Tak”.

Kiedy kiwam głową, po policzku spływa mi łza. Drew ściera ją kciukiem, a ja odpowiadam:

– Zapewne tak będzie.

Drew całuje mnie z całą pasją i namiętnością, jaka zgromadziła się w nim przez ostatnie dwa lata. Podtrzymuje mnie, gdy opadamy na łóżko. Wyginam plecy w łuk, ponieważ czuję w brzuchu żar, kiedy ocieram się o miejsce, w którym Drew jest już twardy i gotowy.

Opierając się na łokciach w okolicach mojej głowy, pyta:

– To seks na zgodę czy seks na pożegnanie? Pytam, bo mam fantastyczny pomysł na oba.

Rozchylam nogi, wypuszczając go bliżej.

– To z pewnością seks na zgodę, z niewielką domieszką pożegnalnego seksu. I sporą dawką seksu z powodu rozstania z tym mieszkaniem. Jest tego wiele, więc sędzę, że będziemy potrzebowali sporo czasu.

Drew uśmiecha się. To jego chłopięcy, zachwycający uśmiech – jeden z moich ulubionych – który pojawia się jedynie przy specjalnych okazjach.

– Podoba mi się twój sposób myślenia.

I przez resztę dnia nie wychodzimy z łóżka.



EPILOG

Osiem miesięcy później

Cóż... Znow chodzę do kościoła. Co tydzień. Czasami dwa razy w tygodniu.

Och, tak – to ja, Drew.

Długo się nie widzieliśmy, co? Tęskniłyście? Sądząc po waszych minach pod tytułem: „Chcemy wsadzić twojego kutasa do temperówki do ołówków”, wnoszę, że nie.

Nadal jesteście wkurzone, co? Nie mogę powiedzieć, że was winię. Minał pewnie miesiąc, nim potrafiłem spojrzeć w lustro bez chęci nakopania sobie do dupy. Właściwie w pewien wieczór świętowaliśmy na mieście umowę, którą podpisał Jack, i po zbyt wielu kieliszkach Jägera błagałem Matthew, by kopnął mnie w jaja tak mocno, jak potrafi, ponieważ nie potrafiłem wymazać z pamięci miny Kate, gdy tamtego dnia weszła do mieszkania. Odtwarzałem ją sobie w myślach w nieskończoność, jak jeden z tych okropnych filmów na kablówce, który ciągle gdzieś leci, ale nikt go nie ogląda.

Na szczęście dla mnie Matthew odmówił. Na

jeszcze większe szczęście nie było z nim Delores, ponieważ jestem pewien, że byłaby bardziej niż zadowolona mogąc spełnić moją prośbę. Tak, lista tyłków, które musiałem wycalować przez ostatnie miesiące jest długa. Każdy jakoś sobie zasłużył. Kate, Delores, Carol, mój ojciec, Alexandra... Kupiłem nawet szminkę ochronną – nie chciałem poranić sobie warg.

Wiele przegapiłyście. Postaram się wam opowiedzieć.



Co wiecie na temat czasu na odbudowę? Każda wspaniała drużyna daje sobie taki czas. Do diabła, Jankesi robią to nawet co roku. Celem takiej odbudowy nie jest wygranie pucharu świata. Raczej chodzi o to, by rozwijać swoje mocne strony, by poznać słabości. Sprawić, by drużyna stała się solidna... silna.

Tym właśnie były dla mnie i dla Kate tygodnie po jej wyprowadzce w cholerę. Nie potrzebowała wiele czasu, by znaleźć mieszkanie. Dwupokojowe, umeblowane, w przyzwoitej części miasta. Było małe... Moja siostra nazwała je osobliwym.

Gdybym miał być obiektywny, musiałbym przyznać, że było przytulne.

Ale obiektywizm nie jest moją zaletą, więc powiem, że było koszmarne. Nienawidziłem go – każdego jego centymetra.

Pierwszy poniedziałek, gdy wróciliśmy z Kate do pracy, nie był fajny. Ojciec wezwał nas do siebie i postanowił zrobić nam wykład.

Techniki karania rozwinął, gdy byłem nastolatkiem, kiedy to uświadomił sobie, że klapsy w ogóle nie są skuteczne. Staruszek uwielbia nawijać – demokratka z Teksasu Wendy Davis nie dorasta mu do pięt – i może tak gadać godzinami. Bywały dni, w których wolałbym, by mi przywalił; byłoby prościej.

Tamtego dnia przeżyliśmy długą, werbalną chłostę, zawierającą słowa takie jak: „rozczarowanie”, „zła ocena”, „niedojrzałość” i „autorefleksja”.

Pod koniec wyjaśnił, że miał w życiu tylko dwie miłości – rodzinę i firmę – i nie pozwoli, by jedna pożarła drugą. Zatem jeśli jeszcze raz ja lub Kate przeniesiemy prywatne życie do pracy, oboje lub jedno z nas będzie musiało poszukać sobie nowego pracodawcy.

Ogólnie rzecz biorąc, uważam, że to miłe z jego strony. Gdybym był na jego miejscu, bez

mrugnięcia okiem wywaliłbym siebie z roboty. Po całej jego przemowie obwieściliśmy mu, że po raz trzeci zostanie dziadkiem. Cóż, powiedzmy, że ta wiadomość musiała przebyć długą drogę, by podziałać na naszą korzyść.

Od tamtej chwili widywaliśmy się z Kate każdego dnia w pracy i po niej. Nie było wspólnego spania, ale były randki – kolacje, kino, spacer po Central Parku, maratony telefoniczne, w których mogliśmy rywalizować z nastolatkami. Naprawdę wiele rozmawialiśmy. Zgaduję, że właśnie o to chodziło.

Niczego nie tailiśmy. Wyłożyliśmy kawę na ławę. Rozmawialiśmy o niepewnościach – o własnych wątpliwościach, które, nieplewione, mnożą się jak chwasty i zanim się spostrzeżecie, wasz ogródek wygląda jak wietnamska dżungla.

Kate oskarżyła mnie o używanie seksu jako broni i koca bezpieczeństwa. A ja zarzuciłem jej, że mnie odcina, więc nie mam sposobności przekonać się, co naprawdę myśli. Narosło między nami tyle problemów, że wystarczyłoby na całą serię *talk-show Doktora Phila*.

Kto by przypuszczał?

Wyrzucenie tego wszystkiego i otworzenie się pomogło. Mówiłem tak dużo o własnych uczuciach, że dziwię się, iż nie wyrosły mi cycki.

Wiecie, to tak jak ze sprzątaniem garażu. Musicie go wybebeszyć, wyrzucić pudła pełne rupieci, posprzątać półki, zanim będziecie mogły od nowa wszystko poukładać. To było mniej więcej coś takiego.

Dużo rozmawialiśmy o tym, czego oczekujemy po tej naszej przerwie. I muszę wam powiedzieć, że te rozmowy były równie przyjemne jak kolonoskopia. Jej język zaplątany w język Warrena został rozpracowany w najdrobniejszych szczegółach.

Czy byłem zły?

A czy nafta jest cholernie łatwopalna?

Gdybym tylko miał gnoja pod ręką, spralbym go na kwaśne jabłko. Nadal miałem ochotę narysować grubą kreskę i zażądać od Kate, by nigdy więcej nie rozmawiała z sukinsynem. By nigdy już się z nim nie spotykała. Przenigdy.

Jednak tego nie zrobiłem. Ponieważ, choć ciężko mi to przyznać, debil był przy niej, kiedy... mnie nie było. Pomógł jej po tym, gdy kopnąłem ją w zebra butem z metalowym noskiem. Zatem w jakiś dziwny, popieprzony, bezsensowny sposób wyświadczył mi przysługę. Do tego ten kretyn wiele znaczy dla Kate. I choć chciałbym być dla niej wszystkim, nie mogę się zmusić, by jej czegoś odmówić – kogoś – kto sprawia, że jest szczęśliwa.

Zatem, w świetle mojego zachowania, jestem

w stanie dać palantowi kredyt zaufania. Tym razem.

Oczywiście, jeśli go następnym razem zobaczę, cofnę wszystko, co powiedziałem. Jeśli padalec zagra mi na nerwach, nie zawaham się walnąć go w zęby i wbić mu ich do gardła. A biorąc pod uwagę jego talent do irytowania ludzi, to raczej bardzo prawdopodobne.

Dlaczego tak na mnie patrzycie? Nie mówcie mi, że nagle lubicie typa. Jezu Chryste, ubzdryngoliłyście się, czy jak?

Tak czy inaczej, idziemy dalej... Dobrze wiecie, że nie przeleciałem striptizerki. Ale nie wiecie, że... nie dlatego, że się nie starałem.

Zanim urwiecie mi łeb, nie zapomnijcie, że Kate gołymi rękami wyrwała mi serce z piersi. Powiedziała, że odchodzi, że między nami wszystko skończone.

A ja jej uwierzyłem.

Tu wracamy do mojego wyznania na początku. Zgadza się – chodzę do kościoła. Prawda jest taka, że jestem dłużnikiem Boga. I to wielkim. I nie z powodu, o którym zapewne myślicie.

Co wiecie na temat zaburzeń erekcji? Syndromu sflaczałego fiuta? Niezdolności do postawienia masztu? To stan, z którym w pewnym momencie życia zмага się każdy biedak posiadający penisa.

To przerażające. I jak kometa uderzająca w ziemię – to nieuniknione.

Jednak mi zdarzyło się to zaledwie raz. Chcecie zgadywać kiedy?

Właśnie – w tę okropną noc. Po wyjściu Kate, przez jakieś dziesięć minut striptizerka kontynuowała pokaz. Potem zaproponowała, że weźmie sprawy w swoje ręce – abyśmy lepiej się poznali na kanapie, w sypialni i w jadalni. Jednak wiedziałem, że to się nie wydarzy. To się nie mogło stać. Byłem tak gotowy jak listek gumy do żucia.

Może dlatego, że byłem zdruzgotany sytuacją z Kate. A może wypilem tak dużo alkoholu, ile mogłoby zabić konia. Jednak wolę myśleć o tym, jak o bożej interwencji. Jak o bożej łasce, dzięki której zostałem ocalony przed własną głupotą.

I to zadziało. Ponieważ teraz jest nam z Kate lepiej niż wcześniej. Jestem pewien, że nie byłoby tak, gdybym pieprzył się wtedy z inną kobietą. Nie sądzę, by Kate wybaczyła mi coś takiego. Wiem, że sam bym sobie nie wybaczył.



Po tym wszystkim, co spotkało nas po drodze,

przejdźmy do dobrych rzeczy. Do pojednania. Do tego, jak ją odzyskałem. Zawsze byłem w tym dobry, pamiętacie? Ale jak wiecie, nie lubię się powtarzać; to brak wyobraźni. Tym razem obyło się bez potopu kwiatów. Bez biura wypełnionego balonami. Nie było żadnych grajków.

Były jednakże czułe SMS-y. Niewielkie, jednak znaczące prezenty. Karteczki na drzwiach jej mieszkania. Za każdym razem, gdy o niej myślałem, a nie było jej przy mnie, za każdym razem, gdy tęskniłem za jej ciałem leżącym obok, dawałem jej o tym znać. Być może nawet była w to zaangażowana poezja.

A Kate nie pozostała bierna. Pomimo jej oczywistej radości z życiowej niezależności, zdała sobie sprawę, że beze mnie czuje się samotna. Nalegała, byśmy rozmawiali przez telefon tuż przed snem. Często zasypiała ze słuchawką przy uchu, a ja, dłużej, niż chciałbym przyznać, słuchałem jej równego oddechu.

To żalosne?

Pieprzyć to – jestem nadopiekuńczy.

Kate gotowała też u siebie trzy razy w tygodniu. Pracowaliśmy wtedy razem w kuchni jak dwoje licealistów zakuwających do matury.

Jednak jakieś osiem tygodni później poczułem, że muszę coś zrobić. I wykonałem wielki ruch.

Widziałyście kiedyś *Nic nie mów*? Pamiętacie, jak John Cusack trzymał nad głową wielkie radio? Zapożyczyłem pomysł. Jednak zamiast wygłupiać się z radyjkiem, zabrałem ze sobą urządzenie do karaoke.

Pamiętacie mój stosunek do karaoke, prawda? Mam wiele talentów – śpiew do nich nie należy. Ale uparłem się i zaśpiewałem wszystkie piosenki miłosne, jakie tylko były w repertuarze.

Matthew, Steven i Jack też przyszli. Usiedli na krawężniku i zaczęli się ze mnie nabijać, ale miałem ich gdzieś, ponieważ, gdy śpiewałem, Kate cały czas stała na balkonie, patrzyła, a na jej ustach malował się niewielki uśmiech.

W końcu publiczne upokorzenie opłaciło się.

W połowie *Mirrors* Justina Timberlake'a Kate zeszła, wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do swojego mieszkania. Po drodze kazałem chłopakom zająć się sprzętem. Gdy już byliśmy na górze, Kate ujeżdżała mnie jak wojownicza księżniczka spiesząca na bitwę.

No co? Myślałyście, że nie uprawialiśmy seksu, co? Ja i dwa miesiące bez bzykanka? Lepiej od razu pęsetą wyciągnąć mi mózg przez nos. Myślę, że mniej by bolało.

Uprawialiśmy seks, ale jak już wcześniej wspominałem, nie zostawałem na noc. To było

trochę jak jedzenie lodów bez posypki. Wciąż dobre, jednak czegoś brakowało.

Ale tamtej nocy wszystko się zmieniło. Otworzyłem rano oczy, a Kate już nie spała. Przyglądała mi się. Gładziła mnie po piersi i całowała. Powiedziała, że jest gotowa, że chce, byśmy znów razem zamieszkali.

To był drugi najlepszy dzień mojego życia.

Dość szybko znaleźliśmy nowe mieszkanie. Już jakiś czas szukałem i zawęziłem wybór do trzech.

Kate bardzo nalegała, by było „nasze” w każdym znaczeniu tego słowa. Dla niej stanowiło to nowy początek naszego związku. Symbol równouprawnienia, którego wcześniej jej brakowało. Zawsze uważałem, że Kate jest silna, niezależna – nigdy jednak nie zdawałem sobie sprawy, że ona tak się nie czuje.

Budynek ma ponad sto lat, oryginalną sztukaterię, okna od podłogi do sufitu i dwa balkony z widokiem na Central Park, poza tym fajne jest, że kilka pięter pod nami mieszka John Bon Jovi. Kate jest jego wierną fanką.

No i tyle. Myślę, że wszystko streściłem. Opuściłem coś?

Odrobiłem lekcję. I to dobrze. Poważnie. Gdybym teraz wrócił do domu, a Kate pieprzyłaby jakiegoś gościa w naszym łóżku? Nie ześwirowałbym, nie

powiedziałbym ani słowa. Po prostu złapałbym ją, przerzucił sobie przez ramię i zaniósł do najbliższego punktu przeprowadzającego badania DNA, żeby się przekonać, czy to rzeczywiście Kate, a nie jakaś dawno zaginiona bliźniaczka z piekła rodem, zafiksowana na punkcie zrujnowania nam życia.

Nigdy już nie zwątpię w Kate. Ani w nas, jeśli o to chodzi.

Nadal mi nie wierzycie?

W porządku. Czas pokaże. Poza tym Kate mi wierzy. I tylko to, do cholery, ma na prawdę znaczenie, czyż nie?

Teraz wicie już wszystko, nie będę zanudzał was podsumowaniami. Jednak historia się jeszcze nie zakończyła. Resztę pozwolę wam obejrzeć na żywo.



– Nie wcisnę w siebie kolejnego kęsa. Myślę, że zaraz pęknie mi żołądek.

– Boże, Matthew, jeszcze jeden kawałek! Gdzie ci się tyle mieści? – pyta Delores.

Matthew pociera wypukły brzuch niczym

dziadek w Święto Dziękczynienia.

– To dar.

Delores przewraca oczami.

Wszyscy są tutaj. Chłopaki przyszlizli pomoc z meblami w pokoju dla dziecka, a dziewczyny dołączyły, aby ich nadzorować. Prawdziwe wiśniowe drewno – jest cholernie ciężkie. Posłuchajcie mojej rady: postawcie na imitację drewna. Wygląda ładnie i dużo łatwiej wnieść to cholerstwo na górę.

Shamu patrzy na Matthew, który bierze piątą kawalek pizzy.

– Matthew, poważnie. Musisz przestać.

Shamu[6]? Ach tak, nowy, tymczasowy przydomek Alexandry. Wpadliśmy na niego z Matthew kilka tygodni temu, kiedy ubrała na plażę jednoczęściowy, czarno-biały strój kąpielowy dla ciężarnych.

Tylko nie mówcie Stevenowi. Ostatnio w ogóle nie ma poczucia humoru, jeśli chodzi o nabijanie się z mojej siostry.

Z pełnymi ustami Matthew odpowiada:

– Nie bądź zazdrosna, Sham, tylko dlatego, że jesteś zbyt okrągła, by cieszyć się odrobiną tej delikatności.

Oho. Zauważyłyście, że mu się wyrwało?

Alexandra z pewnością zauważyła.

– Jak mnie nazwałeś?

– Co?

– Sham. Nazywałeś mnie Sham. Co to, do diabła, znaczy, Matthew?

Nigdy nie widziałem kogoś, kto stoi przed plutonem egzekucyjnym, teraz wiem, jak wygląda. Matthew przelyka, jakby pogryzł cegłę.

Patrzy na mnie oczyma wielkimi jak spodki, prosząc o pomoc.

Radź sobie sam, stary. Moja kobieta jest w ciąży. Fajnie byłoby mieć wszystkie cztery kończyny, gdy dziecko już się urodzi.

– Ach... ja... cierpię na zespół Tourette'a. – Delores wygląda na dezorientowaną. Alexandra mruży oczy. – Liżącydupęzgównemsukinsyn. Widzisz?

Shamu się odwraca.

– Nieważne.

Ech, to było rozczarowujące. Cięża musiała ją rozmiękczyć. A jeśli mówimy o ciąży – Kate wtacza się do pokoju.

Jej długie, lśniące włosy lekko kołyszą się z prawej strony, gdy się porusza. Na twarzy ma grymas zmęczenia, jedną rękę opiera na plecach, by wesprzeć ciężący brzuch.

Nie mogę oderwać od niej oczu. Jest uroczo okrągła. Jak jedna z piłek, którą bawiłem się jako

dziecko. Opada na kanapę obok mnie i opiera swoje opuchnięte stopy Freda Flinstone'a na ławie.

– Jestem taka wielka.

Uśmiecham się, opierając rękę na jej dużym brzuchu, pocierając go jak łysego na szczęście. Świadomość, że w środku jest dziecko, obserwowanie, jak porusza się pod jej skórą, jest niesamowite.

Gdy grają Jankesi opowiadam mu o grze, wyjaśniając, co się dzieje, niczym komentator dla niewidomych. A w nocy, gdy Kate śpi, kładę na jej brzuchu pilota, obserwując, jak dziecko kopie w niego od środka. Fajnie, co? Przypomina Obcego, ale jest świetne.

– Tak, naprawdę jesteś ogromna – mówię. – Od śniadania urosłaś dwa razy.

W pokoju nagle zalega cisza. Kate patrzy na moją dłoń sekundę za długo.

– Przepraszam... Muszę iść... – Wstaje i tak szybko, jak tylko może, znika w korytarzu.

Pewnie poszła siku. Ostatnio często jej się to zdarza.

Dostaję w cholerne ucho od Delores.

Klaps.

– Aua! – Pocieram delikatną małżowinę. Shamu wzdycha z irytacją.

– Możesz klepnąć go jeszcze raz, ode mnie, Delores? Sama chyba nie wstanę.

Klaps.

– Jezu! Co z wami?

Alexandra zaczyna po mnie jeździć:

– A co ty sobie myślisz? Nie mówi się kobiecie, która jest trzy dni przed porodem, że jest wielka!

– To nie ja to powiedziałem. Sama tak stwierdziła. Ja tylko przytaknąłem.

– Delores.

Klaps.

– Boże wszechmogący!

Jeśli dzwonięcie w uchu jest jakimś objawem utraty słuchu, to istnieje spora szansa, że ogłuchnę.

– Kate wie, że wcale tak nie myślę.

Delores z zadowoleniem krzyżuje ramiona.

– Pewnie, że wie, palancie. Pewnie właśnie dlatego w tym momencie wypłakuje sobie oczy w łazience.

Przełykam z trudem i patrzę w stronę korytarza. Możliwe, że Delores tylko mnie wkłęca. Ostatnio jej ulubionym zajęciem jest sprawianie, bym czuł się winny za wszystko, co Kate już dawno mi przebaczyła. Delores Warren ma do tego smykałkę.

Alexandra dźwiga się z kanapy.

– A jeśli już przy tym jesteśmy, zatocz mnie do domu, Steven. Mimo że bardzo chciałam zobaczyć, jak płaszczy się mój braciszek, jestem w tej chwili zbyt zmęczona, żebym mogła się tym odpowiednio cieszyć.

Delores i Matthew też się zbierają, aby cała czwórka mogła się zabrać jedną taksówką. Chociaż naprawdę wątpię, by to się udało, bo Alexandra potrzebuje całej tylnej kanapy dla siebie. Jednakże nie podzielę się na głos tym przemyśleniem.

Poza tym mam ważniejsze rzeczy na głowie. Muszę się dowiedzieć, co z moją dziewczyną.



Pukam cicho do drzwi łazienki.

– Kate?

Słyszę szuranie za drzwiami.

– Zaraz wyjdę.

Cholera. Brzmi, jakby płakała. Delores jednak mnie nie wkręcała. Sięgam po dodatkowy klucz leżący na szafce. Otwieram powoli drzwi i widzę Kate. Stoi przed lustrem ze śladami łez na policzkach.

Obraca się do mnie, łkając. Mówi słabym, smutnym głosem:

– Nie chcę być gruba. – Zakrywa twarz dłońmi i płacze.

Próbuję się nie śmiać. Naprawdę. Wygląda tak uroczo, a jednocześnie żałośnie, że nie chcę jej dokładać. Obejmuję ją, stając za nią.

– Nie jesteś gruba, Kate.

Dłonie tłumią jej głos.

– Jestem. Wczoraj nie potrafiłam nałożyć butów. Dee-Dee musiała mi pomóc, bo nie mogłam dosięgnąć.

Tym razem nie potrafię powstrzymać się od śmiechu. Opieram brodę na jej ramieniu i odsuwam jej dłonie od twarzy. Patrzymy na siebie w lustrze.

– Nie jesteś gruba, tylko jesteś w ciąży. – Myślę o tym przez chwilę i dodaję rzeczowo: – Alexandra jest gruba.

Kate przewraca mokrymi oczami.

– Ona też jest w ciąży.

– Nie w udach.

Kate kręci głową.

– Jesteś okropny.

– Nie o to mi chodzi. Próbuję ci tylko powiedzieć, że jesteś piękna. – Wodzę rękoma po jej wąskich biodrach. – Seksowna jak diabli. I nie gadam tak,

tylko żeby ją pocieszyć. Być może brzuch ma wielki, ale nogi szczupłe. I nadal ma najśłodszy, wysportowany, mały tyłeczek po tej stronie rzeki Hudson.

Pewnie, że często bywa nakręcona hormonami i zachowuje się irracjonalnie, ale przez resztę czasu jest napalona. Bardziej niż kiedykolwiek. Do tego dochodzą jej cycki. Nie można o nich zapomnieć. Są prawie wielkości jej głowy. Tyle radochy.

Nie, żeby piersiom Kate w normalnym stanie czegoś brakowało. Jednak cycki Kate w ciąży są trochę jak Indie. Nie trzeba zostawać na zawsze, ale każda wizyta jest tak samo ekscytująca.

Kate wątpi w moją szczerłość.

– Seksowna? No błagam. Nie mydl mi oczu, Drew.

Uśmiecham się.

– Zaufaj mi, kochanie. Jeśli mówię, że jesteś seksowna, to tak właśnie jest.

Nieprzekonana, odwraca się w moich ramionach.

– Jak mógłbyś w ogóle pomyśleć, że to – wskazuje na swoje ciało – jest seksowne?

Waham się. Pocieram kark.

– To cię może zdenerwować.

– Zaryzykuj.

Wzruszam ramionami.

– No bo... ja ci to zrobiłem. – Pewnie nie da mi o tym zapomnieć, gdy już trafimy na porodówkę. – Ja spowodowałem, że tak wyglądasz. Nosisz moje dziecko. To jak wielki neon z napisem: WŁASNOŚĆ DREW EVANSA. Nazwij mnie jaskiniowcem, ale to mnie kręci jak cholera.

Kate przez chwilę milczy, patrząc na nasze splecione palce.

– A jeśli nie schudnę, gdy dziecko już się urodzi?

– Schudniesz.

– Ale co, jeśli nie?

Wzruszam ramionami.

– Wtedy będę kochał cię taką. Trochę więcej kochanego ciała wcale nie jest złe.

Przewraca oczami, ale się śmieje. Obejmuję jej twarz dłońmi i całuję w usta. Pocałunek z początku jest słodki i czuły.

A potem się zmienia.

Kate przygryza moją dolną wargę. Mocno. Jakby błagała o więcej.

Nogi zaczynają mi drżeć z chęci zaspokojenia jej.

To nadal mnie zdumiewa – władza, jaką ma nade mną. Ta mała kobieta potrafi posłać mnie na kolana samym spojrzeniem... lub westchnieniem. Jednak nie chciałbym, by było inaczej. Byłem już po drugiej stronie. Wiem, co wolność ma do zaoferowania.

Niedolę.

Dawajcie pieprzone łańcuchy; w każdej chwili stanę się niewolnikiem.

Kate cofa się z zamkniętymi oczyma. Dysząc, mówi:

– Drew... Drew, potrzebuję...

Odsuwam jej włosy z twarzy.

– Co kochanie? Czego potrzebujesz?

Otwiera oczy.

– Pragniesz mnie, Drew?

Zasysam jej dolną wargę i syczę:

– Tak.

– Pokaż mi. Spraw, bym poczuła. Nie myśl o dziecku... tylko wypieprz mnie... jak kiedyś...

Święta Maryjo, Matko Boża.

Dobra, w tym momencie Kate jest... rozciągnięta. Delikatna. Jak balon napełniony wodą do granic wytrzymałości. Muszę się natrudzić, by było jej dobrze. Muszę się z nią kochać czule i powoli, mimo niektórych wymyślnych pozycji. Jednak teraz, po tym, co mówi, i to jakim głosem – Jezu Chryste – ledwo mogę się powstrzymać, by nie wypieprzyć jej nad zlewem, aż oboje stracimy dech.

– Potrzebuję mocno... proszę, Drew... tak jak kiedyś... – *Boże, tak musi czuć się goryl zaraz po ucieczce z zoo.* – Tylko... nie patrz na mnie, jak

już...

Pękam jak kawałek wyschniętej szczapy. Chwytam ją za ramiona mocniej, niż powinienem, i obracam. Wplątuję rękę w jej włosy, odchylając jej głowę, by móc zaatakować jej szyję. Stojącego już fiuta przyciskam do jej tyłka. Kate jęczy. Drugą rękę przesuwam po jej brzuchu i dość mocno ściskam pierś, która przelewa się w mojej dłoni. Nasze usta łączą się, języki uprawiają zapasy. Łapię ją za uda i podnoszę, kierując się wprost do sypialni.

Kate odsuwa się trochę.

– Drew, czekaj. Jestem za ciężka. Coś ci się stanie.

Gdybym nie był pobudzony, to bym się obraził. Przerywam jej kolejnym głębokim pocałunkiem. Kładę ją na łóżku.

Niespiesznie odpinam guziki jej sukienki. Nie chcę się z nią droczyć, tylko coś jej udowodnić.

– „Nie patrz na mnie”? Akurat! Patrzenie na ciebie jest najlepszą częścią.

No dobra. To może nie najlepsza część, ale zdecydowanie dobra.

Chichocze niecierpliwie, rozpinając biustonosz i zsuwając go. Przez chwilę podziwiam swoje dzieło, pieszcząc spojrzeniem każdy centymetr jej ciała. Jest oszałamiająca.

Pochylam się i nurkuję do jej piersi, liząc je i ssąc, pieszcząc oba wspaniałe wzgórki.

Kate wygina plecy w łuk i ciągnie mnie za włosy. Wije się pode mną.

Ściągam koszulę przez głowę.

Obejmuje mnie ramionami, wbijając palce w plecy, przyciągając mnie bliżej. Jęczę i skubię zębami jej szyję, kierując się do ust, by złożyć na nich kolejny długi pocałunek. Nie chcę, by w tej chwili myślała o dziecku, ale nie potrafię przejść obok niego, nie oddając mu czci. Całuję z szacunkiem jej brzuch.

Wstaję. Rozpinam pasek i zdejmuję spodnie wraz z bokserkami.

Kate oddycha szybko. Jej wargi są rozchylone i nabrzmięte. A w jej skupionym na mnie spojrzeniu dostrzegam ogień. Chwytam ją za kostki i przeciągam na skraj łóżka, owijając jej nogi wokół moich bioder. Przesuwam penisem po jej szparce, nawilżając główkę jej sokami. Po chwili zatrzymuję się i patrzę jej w oczy. Wiem, że chce ostrej jazdy i cieszy mnie to, ale najpierw muszę poprosić:

– Jeśli coś cię zabolí, albo będzie ci niewygodnie, powiesz mi o tym, dobrze?

Szybko kiwa głową. To jedyne zapewnienie, jakiego potrzebuję, nim wbijam się w nią. *Cholera.*

Ucieka nam jednocześnie przeciągły, głośny jęk. Odchylam głowę w tył i ponownie w nią wchodzę. Jest teraz ciaśniejsza. Nie wiem, czy to z powodu nacisku dziecka, a może po prostu Bóg jest dobry, ale jej cipka połyka mnie jak roszciska swój ostatni posiłek. Poruszam biodrami szybko i mocno, przyciskając je do niej i pocierając jak tylko mam śmiałość. Czuję się prymitywnie. Pierwotnie. I tak wspaniale intensywnie, że to powinno być zakazane. Jej wielkie piersi kołyszą się z każdym moim pchnięciem. Sapie i jęczy, rozkoszując się każdą sekundą naszego aktu. Sięga do moich bioder, ale są za daleko i nie może dostać, więc zamiast tego łapie koldrę i zaciska na niej dłoń. Utrzymując jednostajne tempo, wsuwam między nas dłoń i pocieram łechtaczkę dokładnie tak, jak lubi. Następnie przenoszę się wyżej, szczypiąc te piękne, ciemne sutki. Piersi Kate zawsze były podatne na pieszczoty, ale teraz są wyjątkowo wrażliwe. Rozchyła usta i mruczy z rozkoszy. I tego po prostu nie mogę przyjąć.

– Och, kochanie, stać cię na więcej. – Wchodzę w nią szybko i głęboko, a ona krzyczy:

– Drew... Drew... Tak!

Od razu lepiej. Chwytam ją za kolana i używam ich jako dźwigni, przysuwając ją do siebie, gdy wypycham biodra w przód. Słysząc uderzenie

skóry o skórę.

– Boże... Kate...

Prawdopodobnie nie wytrzymam już dłużej. W tym tempie naprawdę bym na to nie liczył. Pochyliam głowę, opuszczam ręce i łapię ją za tyłek. Unoszę go nieco i wchodzę jeszcze głębiej. Poruszam się szybciej. Kate zaciska wokół mnie nogi i wiem, że jest blisko. Jęczy... Krzyczy... Wydaje z siebie rozbrajające dźwięki. Później jej ciało sztywnieje. Cipka zaciska się wokół mnie, zabierając mnie ze sobą na szczyt. Obejmuję Kate i tulę, gdy wspólnie przeżywamy orgazm. Chwilę później, gdy nasze oddechy wracają do normy, opadam na łóżko obok niej.

– Cholera. To mi się nigdy nie znudzi.

Kate się śmieje.

– Mi też. Potrzebowałam tego. – Przygryza dolną wargę i patrzy na mnie z ukosa. Niemal wstydliwie. – Chcesz jeszcze raz?

Naprawdę musi pytać?



Kilka godzin później z erotycznego letargu budzi mnie głos Kate.

– Och... cholerna pizza. Szlak by trafił tego, kto ją wymyślił.

Przecieram zaspane oczy i patrzę w okno. Na zewnątrz nadal jest ciemno. Może być środek nocy. Kate chodzi po pokoju, pocierając brzuch. Oddycha ciężko.

– Kate? Co się dzieje?

Zatrzymuje się i patrzy na mnie.

– Nic. Śpij dalej. – Jęczy cicho. – To tylko niestrawność.

Tylko niestrawność? Słynne ostatnie słowa. Zaraz po ich wypowiedzeniu wujek Morty leżał w kostnicy po rozległym zawale, o którym twierdził, że go nie ma.

Nie ze mną te numery.

W mgnieniu oka wyskakuję z łóżka i wkładam spodnie od dresu. Staję obok Kate i obejmuję ją ramieniem.

– Dzwonimy do lekarza?

– Co? Nie... Jestem pewna, że to tylko... Aua... – Pochyla się, trzymając za brzuch. – Ooo... Aaa...

I nagle spomiędzy jej nóg tryska woda. Jakby całe wiadro. Stoimy i gapimy się ogłupiali, obserwując krople spływające po jej nocnej koszuli i skapujące na dywan. Dopiero po chwili, niczym wąż pełznący przez trawę, dociera do nas rzeczywistość.

– O mój Boże!

– Jasna cholera!

Pamiętacie balon wypełniony wodą, o którym wspominałem? Tak – ten drań właśnie pękł.



Wdech.

Wydech.

Wdech.

Wydech.

Kiedy miałem szesnaście lat, moja szkolna drużyna koszykówki dostała się do mistrzostw stanowych. W finałowej rozgrywce przegrywaliśmy jednym punktem na trzy sekundy przed końcem meczu. Zgadnijcie, do kogo podali piłkę. Kto zdobył zwycięskie trzy punkty.

Tak – to byłem ja. Nawet wtedy byłem nie do pokonania. Spokojny i opanowany. Nie poddawałem się stresowi. Strach i panika są dla frajerów.

A ja nie jestem frajerem.

Zatem dlaczego trzęsą mi się ręce jak pacjentowi w zaawansowanym stadium choroby Parkinsona?

Czy kiedykolwiek powiedział wam ktoś, że

zadajecie zbyt wiele cholernych pytań?

Od mocnego trzymania kierownicy pobielały mi knykie.

Kate siedzi z przodu – na ręczniku – wykorzystując technikę oddychania, której nauczyła nas instruktorka w szkole rodzenia.

Wdech.

Wydech.

Wdech.

Wydech.

Po czym, w połowie następnego wdechu krzyczy:

– O, nie!

Niemalże rozbijam samochód o pieprzony słup telefoniczny.

– Co?! Co się stało?

– Zapomniałam o kwaskowych jabłkowych lizakach.

– O czym zapomniałaś?

W jej głosie słycać zawód:

– O kwaskowych jabłkowych lizakach. Alexandra mówiła, że były jedyną rzeczą, która gasiła jej pragnienie, gdy była na porodówce z Mackenzie. Miałam je kupić po południu, ale zapomniałam. Możemy się zatrzymać i je gdzieś kupić?

Dobra, wydaje mi się, że zdrowy rozsądek Kate poszedł w cholerę, więc teraz to ja muszę być

rozważny. Co jest diabelnie przerażające, biorąc pod uwagę, że sam ledwie się trzymam.

– Nie, nie możemy się, kurwa, zatrzymać! Odbiło ci?

Brązowe oczy Kate natychmiast wypełniają się łzami. Czuję się jak największy na świecie kutas.

– Proszę, Drew... Chcę, żeby wszystko było idealnie... a jeśli poproszę cię o lizaka podczas porodu, a ty pójdziesz po niego i dziecko urodzi się, kiedy ciebie nie będzie? Przegapisz jego przyjście na świat. – Łzy płyną jej po policzkach jak dwa maleńkie strumyczki. – Nie wybaczyłabym sobie, gdybyś to przegapił.

Proszę, niech to nie będzie dziewczynka. Na miłość boską, proszę, tylko nie dziewczynka. Przez cały czas ciąży modliłem się o zdrowe dziecko, bez względu na płeć.

Aż do teraz.

Jeśli będę miał córkę i jej łzy będą bolały mnie tak bardzo jak łzy Kate? Będę miał całkowicie przerabane.

– Dobrze, Kate. Już dobrze, kochanie. Tylko nie płacz. Zaraz stanę.

Pociąga nosem i uśmiecha się.

– Dziękuję.

Przekręcam kierownicę, zawracam i skręcam w siedemset jedenastą, po czym szybciej niż bolid

na pit-stopie wracam na trasę do szpitala, zaopatrzony w całą paczkę kwaśnych lizaków, leżących na tylnym siedzeniu.

Kate wraca do ćwiczeń oddechowych.

Wdech.

Wydech.

Wdech.

Wydech.

Aż znów przestaje.

– Myślisz, że pielęgniarki będą wiedziały, że uprawialiśmy seks?

Patrzę znacząco na jej brzuch.

– Jeśli tylko nie w mówisz im, że to było niepokalane poczęcie, to raczej się domyślą. – Naciskam ostro na klakson. – Gaz to ten po prawej, babciu!

Przysięgam na Boga, że powinni odbierać prawo jazdy ludziom, którym zza kierownicy widać jedynie siwe włosy.

Wdech.

Wydech.

– Nie. Czy myślisz, że poznają, że dzisiaj uprawialiśmy seks?

Kate jest zabawna, jeśli chodzi o takie rzeczy. Wstydliva. Czasem nawet przy mnie. Kiedyś wszedłem do łazienki, gdy siedziała na toalecie, i zachowała się potem, jakby nadszedł koniec

świata. Uważam, że to niedorzeczne. Ale nie mam zamiaru kłócić się z nią o to teraz.

– To porodówka, Kate, a nie wydział śledczy. Nie będą świecić tam lampą ultrafioletową w poszukiwaniu plemników.

Wdech.

Wdech.

– Masz rację. Nie będą mogli tego stwierdzić. – Wydaje się, że jej ulżyło.

Wydech.

Cieszę się. Teraz już, jeśli tylko uda mi się nie dostać zawału serca, wszystko będzie dobrze.



Godzinę później Kate zostaje ulokowana w prywatnym pokoju nowojorskiego szpitala prezbiteriańskiego i podłączona do kilku piszczących urządzeń, jak jakaś staruszka do aparatury podtrzymującej życie. Siadam na krześle obok łóżka.

– Przynieść ci coś? Pomasować plecy? Załatwić lody? Narkotyki?

Wiem, że mnie w tym momencie przydałaby się szklaneczka whisky. A jeszcze lepiej cała butelka.

Kate bierze mnie za rękę i ściska mocno, jak w samolocie podczas turbulencji.

– Nie. Tylko... mów do mnie. – Wtedy jej głos cichnie. – Boję się, Drew.

Pierś ściska mi się z żalu. Nigdy w życiu nie czułem się taki bezradny. Jednak robię, co w mojej mocy, by to ukryć.

– Ej, ten cały poród to bułka z masłem. Kobiety cały czas rodzą dzieci. Czytałem, że dawno temu rodziły, pracując na polach. Zaraz po tym myły się, zawijały dziecko i wracały do pracy. To nie może być trudne.

Kate prycha.

– Łatwo ci mówić. Twoja rola była fajna. I już się skończyła. Kobiety naprawdę mają przekichane w tej kwestii.

Nie myli się. Ale kobiety są silniejsze od mężczyzn. Poważnie. Oczywiście nie mówię o sile ramion, ale o sile psychicznej i emocjonalnej. Mają wytrzymalsze ciała i geny.

– To dlatego, że Bóg jest mądry. Gdybyśmy to my mieli przejść przez coś takiego jak poród, ludzka rasa wymarłaby w cholerę już przy Adamie.

Kate chichocze.

Od drzwi dobiega głos:

– Jak sobie radzisz?

– Hej, Bobbie.

– Cześć, Roberta.

Tak – używam wyłącznie jej pełnego imienia. Zespół stresu pourazowego? Możliwe. Wiem tylko, że na dźwięk imienia Bob mam ochotę otworzyć sobie żyły tępą obieraczką do ziemniaków.

Roberta sprawdza kartę zawieszoną na łóżku.

– Wszystko wygląda dobrze. Masz jakieś trzy centymetry rozwarcia, Kate, więc jeszcze mamy trochę czasu. Potrzebujesz czegoś?

Twarz Kate jest pełna nadziei.

– Znieczulenie zewnątrzoponowe?

Mam dla was radę – nie bądźcie masochistkami. Poproście o znieczulenie. Na wypadek gdyby wam umknęło, powtórzę: **WEŹCIE ZNIECZULENIE!** Według mojej siostry to cudowny środek. Z chęcią zrobiłaby laskę facetowi, który go wymyślił, i sądzę, że Steven by jej na to pozwolił. Wyrwałybyście ząb bez nowokainy? Dałybyście wyciąć sobie wyrostek bez uspienia? Oczywiście, że nie. Zatem nie wciskajcie mi kitu o konieczności „pełnego doświadczania cudu narodzin”. Ból to ból. Nie ma w tym nic cudownego. Boli jak diabli.

Roberta uśmiecha się łagodnie.

– Zaraz zlecę przygotowanie. – Wpisuje coś na karcie i odkłada ją na miejsce. – Za jakiś czas przyjdę sprawdzić, co z tobą. Poproś pielęgniarkę,

żeby dała mi znać, gdybyś czegoś potrzebowała.

– Dobrze. Dzięki Roberta.

Kiedy już jej nie ma, wstaję i biorę komórkę.

– Zadzwońię do twojej mamy. Nie będziesz miała nic przeciwko, żebym na chwilę wyszedł?

Macha ręką.

– Pewnie. Nigdzie się nie wybieram. Będziemy tutaj.

Pochylam się i całuję ją w czoło. Następnie pochylam się bardziej i całuję jej brzuch, po czym mówię do niego:

– Nie wychodź beze mnie.

Za drzwiami udaje mi się dogonić lekarzkę Kate.

– Hej, Roberta?

Zatrzymuje się i odwraca.

– Tak, Drew? Co się dzieje?

– Nic, chciałem tylko zapytać o puls dziecka. Nie jest trochę za wysoki?

W głosie Roberty słyhać wyrozumiałość, pewnie przywykła do tego typu pytań:

– Jest w normie. Podczas porodu można zaobserwować drobne wahania tętna dziecka.

Przytakuję i zadaję kolejne pytanie:

– A ciśnienie Kate? Są jakieś objawy nadciśnienia?

Wiedza to siła. Im więcej wiecie, tym lepiej możecie kontrolować sytuację. Przynajmniej

wmawiałem to sobie przez ostatnie osiem miesięcy.

– Nie. Tak jak mówiłam ci wczoraj przez telefon i przedwczoraj, i przed przedwczoraj, ciśnienie Kate jest w normie. Było stałe przez całą ciążę.

Pocieram podbródek i kiwam głową.

– Ale odbierałaś kiedyś poród z dystocją barkową? Bo wiesz, nie poznasz tego, dopóki nie wyjdzie główka dziecka i...

– Drew, chyba uzgodniliśmy, że przestajesz oglądać powtórki *Ostrego dyżuru*, tak?

Ostry dyżur powinni wyświetlać z informacją ostrzegawczą. Jeśli macie hipochondrię lub jesteście matkami, spodziewajcie się bezsenności po zaledwie jednym odcinku.

– No wiem, ale...

Roberta unosi dłonie.

– Słuchaj, wiem, jak się czujesz...

– Naprawdę? – pytam ostro. – Powierzyłaś kiedyś całe swoje życie w ręce innej osoby z prośbą, by dobrze się nim zajęto? Aby zwrócono ci je w jednym kawałku? Bo właśnie tak się czuję.

– Przeczesałam dłonią włosy i patrzę gdzieś w ścianę. A kiedy ponownie się odzywam, głos mi drży: – Kate i dziecko... Jeżeli coś się stanie...

Nie potrafię nawet dokończyć myśli, a co dopiero zdania.

Roberta opiera mi rękę na ramieniu.

– Drew, musisz mi zaufać. Wiem, że to trudne, ale spróbuj skupić się na pozytywach. Kate jest młoda i zdrowa. Mamy wszelkie podstawy sądzić, że poród przebiegnie bez komplikacji.

Kiwam głową i logika nakazuje mi wierzyć, że ma rację.

– Wracaj do Kate. Cieszcie się czasem, który macie we dwoje. Niedługo nie będziecie sami, i to przez bardzo, bardzo długo.

Obdarowuję ją wymuszonym skinieniem.

– Dobra. Dzięki.

Odwracam się i wchodzę do pokoju. Staję w drzwiach. Widzicie ją?

Leży wśród poduszek, owinięta kołdrą, którą koniecznie chciała zabrać z domu. Wygląda tak krucho. Niemal jak mała dziewczynka chowająca się w łóżku rodziców przed burzą. Muszę powiedzieć jej słowa, które tak dobrze zna.

– Kocham cię, Kate. Wszystko, co dobre, wszystko, co liczy się w moim życiu, mam dzięki tobie. Gdybyśmy się nie spotkali, byłbym cholernie nieszczęśliwy i pewnie nawet nie zdawałbym sobie z tego sprawy.

Kate patrzy mi prosto w oczy.

– Rodzę dziecko, Drew. Nie umieram. – Nagle jej oczy robią się wielkie jak spodki. – Jezus, Maria,

nie umieram, prawda?

I tyle wystarczy, by wyrwać mnie z mojej paniki.

– Nie, Kate. Nie umierasz.

Kiwa głową.

– To dobrze. I, żeby było jasne, też cię kocham. Kocham to, że zafundujesz przyszłość Mackenzie, bo nie przestaniesz przeklinać. Kocham to, że niemiłosiernie droczysz się z siostrą, chociaż zabiłbyś każdego, kto by ją skrzywdził. Ale najbardziej kocham to... jak kochasz mnie. Czuję to w każdej chwili, każdego dnia.

Podchodzę do niej i obejmuję jej twarz. Pochylam się i delikatnie ją całuję.

Bierze mnie za rękę i ściska. Zaciska zęby z determinacją.

– A teraz, zrobmy to.



Okazało się, że niepokój był zbędny. O dziewiątej pięćdziesiąt siedem Kate urodziła zdrowego chłopczyka. Byłem przy niej przez cały czas.

Dzieliłem jej ból.

Dosłownie.

Jestem pewien, że złamała mi rękę.

Ale kto by się tam przejmował – co znaczy kilka złamanych kości, kiedy trzymacie trzy i pół kilogramowy cud? To właśnie teraz robię.

Wiem, że każdy rodzic uważa, że jego dziecko jest urocze, ale, bądźmy szczerzy, mój jest naprawdę fajnym chłopakiem, nie sądzicie? Na czubku główki ma nieco ciemnych włosków. Rączki, nosek, usta – jakbym patrzył w cholerne lustro.

Jednak oczy ma po Kate.

Jest idealny. Doskonałość stworzona z ciała.

To prawda, że taki się nie urodził. Jeszcze kilka godzin temu wyglądał jak wrzeszczący, obdarty z piór kurczak. Ale był moim wrzeszczącym, obdartym z piór kurczakiem, więc mimo to był najpiękniejszą istotą, jaką w życiu widziałem.

To aż nierealne. Uwielbiam go. Mój zachwyty jest tak przytłaczający, że samo patrzeć na niego niemal boli. To znaczy, kocham Kate nad życie, ale potrzebowałem czasu, by do tego dojrzeć. Zakochałem się w niej stopniowo. Ale to... To natychmiastowe. W chwili, gdy go zobaczyłem, wiedziałem, że wskoczyłbym z gołym tyłkiem do basenu pełnego kwasu, gdyby tylko chodziło o niego. Wariactwo, prawda? I już nie mogę się doczekać, by zacząć go uczyć. Pokazać mu... wszystko. Jak zmienić koło, jak zagadać do

dziewczyny, jak uderzyć piłkę, jak wyprowadzić prawy sierpowy. Niekonieczne w tej kolejności.

Wcześniej nabijałem się z tych facetów w parku. Tatusiów z wózkami, głupkowatymi uśmiechami i torebkami. Jednak teraz... rozumiem.

Głos Kate odciąga mnie od przyglądania się dziecku.

– Hej. – Wydaje się wyczerpana. Wcale jej się nie dziwię.

– Jak się czujesz?

Uśmiecha się sennie.

– No, wyobraź sobie jakbyś miał wysikać arbuza. Wzdrygam się.

– Aua.

– No właśnie.

Jej spojrzenie opada na niebieski kocyk z zawiniątkiem, które trzymam na rękach.

– Jak mały?

– Dobrze. Tak sobie chodzimy. Opowiadam mu o najważniejszych rzeczach w życiu, takich jak laski, samochody i... laski.

– Naprawdę?

– Tak.

Patrzę na naszego syna. Mówię nieco onieśmielony:

– Odwaliłaś kawał dobrej roboty, Kate. Ma twoje oczy, a ja kocham twoje oczy, mówiłem ci o tym

kiedys? Były pierwszą rzeczą, jaką w tobie zauważyłem.

Unosi brew.

– Myślałam, że mój tyłek był pierwszą rzeczą, jaką zauważyłeś.

Śmieję się na to wspomnienie.

– O tak, zgadza się. Ale kiedy się odwróciłaś... zwałaś mnie z nóg.

Dziecko zaczyna płakać, przyciągając naszą uwagę.

– Chyba jest głodny.

Kate kiwa głową. Rozpina guziki piżamy, ujawniając soczystą pierś. Przysuwa dziecko do sutka, a ono łapie go w usta – jak ekspert. A czego się spodziewałyście? W końcu to mój syn.

Przez chwilę się temu przyglądam. Po czym muszę poprawić namiot, który mam w spodniach.

Chore? Tak – wiem.

Kate posyła mi uśmiezek, zerkając na moje krocze.

– Ma pan tam problem, panie Evans?

Wzruszam ramionami.

– Nie. Żaden problem. Czekam tylko na swoją kolej.

Widzicie, na świecie są dwa rodzaje kobiet. Te, które wiedzą, że przez sześć tygodni po porodzie nie zaliczą żadnej akcji i na to samo skazują

faceta. Jest też druga grupa, która wie, że mogą używać ust, rąk i innych technik, ponieważ wiedzą, że przyjemność zostanie im zwrócona z nawiązką, gdy zakaz zostanie zdjęty.

Kate zdecydowanie zalicza się do tej drugiej grupy. Jestem o tym przekonany, podobnie jak mój koleżka.

– Po masakrze na porodówce nie sądziłam, że kiedykolwiek będziesz chciał się ze mną kochać.

Opada mi szczęka.

– Jaja sobie ze mnie robisz? To znaczy, wiedziałem, że twoja cipka jest wspaniała, ale gdy zobaczyłem, do czego jest zdolna, uważam ją za superbohaterkę. Właściwie sądzę, że powinniśmy nadać jej imię. – Rozciągam ręce, pokazując wielki billboard. – Superpiczka.

Kręci głową. Uśmiecha się, patrząc na dziecko.

– A mówiąc o nadawaniu imion... chyba powinniśmy się zająć tą sprawą, nie sądzisz?

Postanowiliśmy poczekać z imieniem dla dziecka, aż się urodzi, by mieć pewność, że będzie dobrze pasowało. Imiona są ważne. To pierwsze wrażenie, jakie sprawicie na otoczeniu. Dlatego właśnie nie rozumiem, dlaczego ludzie przeklinają życie dzieci, nadając im na takie imiona, jak Edmund, Albert, Morning Dew^[7]. Dlaczego nie pojechać po bandzie i nie nazywać dziecka

Półgłówek?

Opieram się na krześle.

– Dobra, zaczynaj.

Patrzy na buźkę dziecka.

– Connor.

Kręcę głową.

– To nie jest imię.

– Oczywiście, że jest.

– To nazwisko. – Najlepszym głosem

Terminatora mówię: – Sarah Connor.

Kate przewraca oczami, po czym mówi:

– Zawsze podobało mi się imię Dalton.

– Nie skomentuję tego nawet.

– Dobra. To Colin.

Prycham.

– Nie ma mowy. Brzmi podobnie jak łacińska nazwa okrężnicy. Gdy tylko wejdzie na plac zabaw, ktoś nazwie go dupą.

Kate patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Naprawdę chodziłeś do katolickiej szkoły?

Brzmi, jakbyś się wychowywał w poprawczaku.

Życie to jeden wielki plac zabaw, pamiętajcie o tym.

Musicie mieć mentalność wilka. Nauczyć się nie być najsłabszym ogniwem.

Inaczej zostaniecie pożarte. Żywcem.

– Skoro nie podobają ci się moje propozycje, to

jakie są twoje sugestie? – pyta.

Spoglądam na śpiącego syna. Ma idealne usta, długie, ciemne rzęsy.

– Michael.

– Nie. W trzeciej klasie Michael Rollins narzygał mi do butów. Ile razy słyszę to imię, myślę, o wypływanych hot dogach.

Dobra. Próbuję jeszcze raz:

– James. Nie Jim czy Jimmy i z pewnością nie Jamie. Po prostu James.

Kate unosi brwi. Sprawdza jak się to wymawia:

– James, James, podoba mi się.

– Tak?

Ponownie patrzy na dziecko.

– Tak, niech będzie James.

Sięgam do kieszeni i wyciągam złożoną kartkę.

– Dobra. A teraz jakie nazwisko?

Kate wydaje się zdezorientowana.

– Nazwisko?

Rozmawialiśmy o tym, by Brooks było jego drugim imieniem, ale umówmy się, to imię jak dla jakiegoś seryjnego mordercy. Zatem wpadł mi do głowy lepszy pomysł. Rozkładałam kartkę i podaję Kate.

Patrzy na nią.

Brooks-Evans

Wygląda na zdumioną.

– Chcesz, żeby miał dwa nazwiska?

Jestem staromodnym facetem. Uważam, że kobieta powinna przyjąć nazwisko męża. Jasne, że wywodzi się to stąd, że kobieta staje się jego własnością, ale ja się z tym nie zgadzam. W przyszłości, kiedy jakiś młody człowiek przyjdzie i oświadczy, że moja siostrzenica jest jego własnością – kupię mu łopatę. Żeby mógł wykopać własny grób, bo właśnie tam go wpakuję.

Jednak, ściśle rzecz biorąc, Kate jest ostatnia w linii Brooksów. I chociaż przekazywanie rodowego nazwiska nie ma już tak wielkiego znaczenia, myślę, że dla Kate ma ogromne.

– Cóż... jest wspólny. A ty wykonałaś większość roboty. Powinnaś mieć udział w nazwisku.

Jej spojrzenie mięknie, gdy na mnie patrzy.

– Ale ty nienawidzisz się dzielić, Drew.

Zakładam jej luźny kosmyk za ucho.

– Dla ciebie jestem skłonny zrobić wyjątek.

Poza tym liczę na to, że już niedługo nazwisko Kate się zmieni i będzie takie, jak naszego syna. Oczywiście Kate zasługuje na najlepsze na świecie oświadczyni, a najlepsze wymagają czasu na przygotowanie.

Pracuję nad tym. W sobotnie popołudnia, kiedy

Kate myśli, że gram z chłopakami, chodzę na kurs pilotowania balonu. Planuję zabrać Kate na wspólny lot balonem po dolinie Hudson. Kiedy wylądujemy, będzie dla nas przygotowany elegancki piknik. Właśnie na nim zadam jej to pytanie. W ten sposób – w razie gdyby mi jednak odmówiła – będę trzymał ją na odludziu, dopóki nie zmieni zdania.

Jestem genialny, prawda?

Będę miał limuzynę – niezbyt daleko – która odwiezie nas do domu, żebyśmy po drodze mogli się zrelaksować. Uprawiając w niej seks, oczywiście. Nigdy nie powinniście odrzucać sposobności uprawiania seksu w limuzynie – to zawsze świetna zabawa.

Oczy Kate lśnią od łez. Łez szczęścia.

– Podoba mi się. James Brooks-Evans. Idealne. Dziękuję.

Pochyliam się i całuję syna w czoło, po czym całuję jego matkę w usta.

– Nie, kochanie. To ja powinienem dziękować tobie.

Kate patrzy na Jamesa z czułością, po czym głosem, którego mogą zazdrościć jej aniołowie, zaczyna śpiewać:

Jest piosenka, którą śpiewają, wyruszając

*w podróż,
Jest piosenka, którą śpiewają, wypływając
w morze,
Jest piosenka, którą śpiewają w swoim domu
w niebie,
Może uwierzysz w nią, kiedy pomoże ci zasnąć.
Jej słowa koją również i mnie,
Więc powiedz dobranoc księżycowi,
I śpij, mój mały Jamesie.
Wybrałam głębokie zielenie i błękity,
Więc pozwól mi odpłynąć w sen,
I śpij, mój mały Jamesie.*

W życiu faceta jest tylko kilka chwil, gdy może się mazać, nie wyglądając przy tym jak totalny cienias. To właśnie taki moment.

Kate kończy kołysankę, a ja odchrząkuję. I ocieram wilgotne oczy.

Układam się na łóżku obok niej.

Jestem pewien, że jest to niezgodne z polityką szpitala i muszę przyznać, że niektórzy pielęgniarze wyglądają dość groźnie, ale dajcie spokój, to tylko pielęgniarze.

Kate odwraca się do mnie tak, że James leży między nami. Obejmuję ich oboje.

Spojrzenie Kate jest ciepłe, aksamitne.

– Drew?

– Mmm?

– Myślisz, że zawsze tak będzie?

Obdarowuję ją delikatnym uśmiechem.

– Z pewnością nie. – Dotykam jej twarzy, tej, którą planuję oglądać co wieczór i każdego ranka, póki mnie śmierć nie zabierze, i mówię: – Będzie jeszcze lepiej.



No i proszę. Co za cholernie szczęśliwe zakończenie, co? A może to początek... Wszystko zależy, jak się na to patrzy. Tak czy inaczej, teraz jest najlepszy moment, bym trysnął jakąś mądrością. Rzucił jakieś dobre rady.

Jednak biorąc pod uwagę wydarzenia ostatniego roku, jest coraz bardziej oczywiste, że, cholera, sam nie wiem, co mówię. Jestem pewien, że nie powinniście słuchać tych głupot, które pieprzę. Mimo to nadal chcecie, bym spróbował?

Dobra. Ale nie mówcie, że nie ostrzegałem.

No to lecimy: po pierwsze – ludzie się nie zmieniają. Nie ma żadnej magicznej szklanej kuli, żadnego czary-mary.

Bierzecie, co widzicie. Oczywiście, że niektóre

przyzwyczajenia da się zmodyfikować. Niektóre wykluczyć. Jak moją skłonność do pochopnej oceny sytuacji. Samo założenie, że wszystko wiem lepiej – bez wcześniejszej konsultacji z Kate – napawa mnie wstrętem.

Jednak moja zaborczość, upór Kate i nasze współzawodnictwo – to cechy, które w tak dużej mierze stanowią o tym, kim jesteśmy, że nie da się ich wykorzeni.

To trochę jak... cellulit. Możecie, moje panie, całymi dniami przesiadywać w spa, owinięte folią i wysmarowane błotem, możecie wyrzucać fortunę na kremy i balsamy, jednak na dłuższą metę nic to nie da, ponieważ pomarańczowa skórka nadal będzie na waszych udach.

Przepraszam, że o tym mówię, ale tak właśnie jest. Ale jeśli się kogoś kocha, tak naprawdę, to bierze się go takim, jakim jest. Nawet nie próbuje się go zmieniać.

Bierzecie całość – obwisłe pośladki też.

Po drugie – życie nie jest idealne. Lub przewidywalne. Nie oczekujcie, że takie będzie.

W jednej chwili pływacie w oceanie, woda jest spokojna, wy zrelaksowane. A wtedy – znikąd – wir ściąga was w dół. Liczy się to, co zrobicie później. Czy dacie z siebie wszystko. Czy będziecie walczyć, nawet gdy ręce i nogi odmówią wam

posłuszeństwa. Jak zareagujecie, gdy wasze życie stanie na zakręcie.

I po trzecie – najważniejsze jest, czy potrafcie przetrwać ciężkie czasy? Światło na końcu tunelu warte jest wysiłku pokonania tego całego gówna, koniecznego, by się do niego dostać.

To coś, czego nigdy nie zapomnę. Przypominam sobie o tym za każdym razem, gdy spoglądam na Kate. Za każdym razem, gdy patrzę na syna.

Kiedy wszystko zostało powiedziane i zrobione? Nagroda jest cholernie cenna.



[6] Shamu była pierwszą orką, która przeżyła więcej niż trzynaście miesięcy w niewoli. Była gwiazdą pokazu w SeaWorld w San Diego w latach sześćdziesiątych. Orki nazywane też są *killer whale* – co dosłownie oznacza „zabójczy wieloryb”.

[7] Poranna Rosa.

PODZIĘKOWANIA

Dla najlepszej agentki, o jakiej autor może tylko zamarzyć, Amy Tannenbaum i dla całego zespołu Jane Rotrosen Agency – nie potrafię wystarczająco podziękować za wasze wspaniałe wskazówki i zachętę; mojej fantastycznej redaktorce Micki Nuding i wszystkim z Gallery Books, włączając Kristin i Julesa, za wiele emocji i poświęceń. Dziękuję niesamowitej Enn Bocci za to, że zawsze wie, kiedy i co powiedzieć, i za to, że pokonuje wszelkie przeszkody. Niekończące się podziękowania dla moich internetowych przyjaciół i wszystkich blogerów, których entuzjizm pomógł mi odkryć i zakochać się w Drew Evansie i Kate Brooks.

Dziękuję moim czytelnikom za wyrozumiałość, radość i frajdę z czytania o losach bohaterów, jaką i ja miałam przy ich tworzeniu.

Jestem również bardzo wdzięczna mojemu genialnemu mężowi i dwójce pięknych dzieci – dziękuję za waszą cierpliwość, miłość, wsparcie i dawanie mi każdego dnia powodów do uśmiechu.

ZAPOWIEDŹ

Odwróćcie stronę, by przeczytać zapowiedź historii o tym, jak zakochali się w sobie najlepsi przyjaciele Drew i Kate. O tym w następnej książce Emmy Chase pod tytułem *Zniewoleni*, którą niebawem wydamy.



Nakładam jedwabne bokserki i idę odgrzać resztki makaronu z kurczakiem. Nie jestem Włochem, ale, gdybym tylko mógł, jadłbym to codziennie. Jest wpół do dziewiątej, gdy kończę myć naczynia. Tak, jestem facetem, który myje po sobie gary.

Bądźcie zazdrosne, moje miłe – jestem rzadkim okazem.

Następnie wracam do mojego wielgachnego łoża i z kieszeni rzuconych na podłogę spodni wyciągam swój złoty bilet.

Palcem śledzę litery na jasnozielonym kartoniku.

DEE WARREN

Chemik

Paliwa wysokooktanowe

I przypominam sobie miękkie, gładkie ciało, które skrywała luźna, różowa koszulka bez rękawów. Mój fiut drga – przypuszczam, że też to pamięta.

Normalnie czekam dzień lub dwa, by zadzwonić do dziewczyny takiej jak Delores. Wycucie czasu jest ważne. Zbyt wczesny telefon jest błędem kogoś niedoświadczonego – zaraz „po” dzwonią

szczeniaki, nie mężczyźni.

Jednak jest środy wieczór, a mam nadzieję spotkać się z Dee w piątek. Dwudziesty pierwszy wiek jest erą filmów i poradników: *Kobiety pragną bardziej*, *Randkowanie dla opornych* i *Przewodnik do podrywu dla kobiet*, co oznacza, że wyrwanie laski na jednorazowy numer nie jest już tak proste, jak bywało kiedyś. Teraz są te wszystkie pieprzone zasady – przekonałem się o tym na własnej skórze.

Na przykład: gdy facet dzwoni i chce spotkać się w ten sam dzień, powiniście odmówić, ponieważ oznacza to, że was nie szanuje. A jeśli chce was wyciągnąć z domu we wtorek, to oznacza, że ma lepsze plany na sobotni wieczór niż spotkanie się z wami.

Próba doścignięcia zmieniających się trendów w randkowaniu jest trudniejsza niż śledzenie ustawy zdrowotnej w kongresie. To jak pole minowe – jeden niewłaściwy ruch i penis na bardzo długi czas może pojechać na wakacje. Jednak jeśli bzykanie byłoby takie proste, wszyscy by to robili. To... i przeważnie nic więcej.

To prowadzi mnie do następnej konkluzji: wiem, że feministki narzekają, że cała władza jest w rękach mężczyzn. Jednak jeśli chodzi o randkowanie? Wcale tak nie jest. W weekendy

bary są pełne kobiet. Wiją sobie tam gniazda, ponieważ samotny mężczyzna nigdy nie odmówi.

Wyobraźcie sobie: muzyka dudni, ciała wirują, a całkiem fajna laska podchodzi do faceta samotnie sączącego drinka i mówi: „Chcę się z tobą pieprzyć”. A on odpowiada: „Nie, nie mam dziś ochoty na seks”. ŻADEN FACET TAK NIGDY NIE POWIE!

Laski nie muszą martwić się o upolowanie, przynajmniej dopóki nie są za bardzo wybredne. Nie muszą denerwować się wyczekiwaniem, kiedy im się poszczęści. Dla kobiet seks jest jak szwedzki stół – mają w czym przebierać.

By zapewnić przetrwanie gatunku, Bóg stworzył mężczyzn z silnym popędem płciowym. Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, i takie tam. Dla facetów takich jak ja, którzy wiedzą, czego chcą, właściwie to żaden problem. Jednak dla niektórych z moich niewyćwiczonych braci, takie zadanie może być jednak trudne.

Adrenalina pobudza mnie, gdy sięgam po telefon, by wybrać numer z wizytówki. Nie żebym się denerwował, raczej... ostrożnie wyczekuję. Stukam palcami w udo, czekając na połączenie, słuchając utworu *Enter Sandman* Metalliki i ściska mi się żołądek, gdy jej telefon dzwoni.

Wyobrażam sobie, że mnie pamięta – że mimo

wszystko wywarłem na niej całkiem niezłe wrażenie, i zakładam, że będzie otwarta na spotkanie ze mną – może nawet chętna. To, czego się nie spodziewam, to jej głos walący mi w bębenki, gdy dziewczyna krzyczy:

– Nie, kretynie, nie chcę ponownie słuchać tej piosenki! Zadzwoń sobie do Kate, jeśli potrzebujesz pieprzonej publiczności!

Odsuwam nieznacznie komórkę od ucha i sprawdzam, czy numer na pewno jest dobry. Okazuje się, że jest.

Mówię więc:

– Ee... Witam? Dodzwoniłem się do Dee?

Następuje chwila ciszy. Prawdopodobnie Dee orientuje się, że nie jestem palantem, po czym mówi:

– Tak, tu Dee. Kto mówi?

– Cześć. Z tej strony Matthew Fisher. Pracuję z Kate. Poznaliśmy się dzisiaj na lunchu.

Następuje kolejna krótka przerwa, po czym dziewczyna zaczyna kojarzyć.

– Ach tak, lechtaczkowy chłoptaś, prawda?

Śmieję się lekko, bo nie do końca jestem pewien, czy podoba mi się to przezwisko, ale przynajmniej coś utkwiło jej w pamięci. Zostawiam sobie mentalną notatkę: ponownie skorzystać z tego tekstu.

– To ja.

– Przepraszam, że się wydarłam. Kuzyn cały dzień zawraca mi dupę.

Mój penis zaczyna reagować na myśl o jej tyłku, przez co muszę powstrzymać się od uwagi, że chciałbym zamienić się miejscami z jej kuzynem.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Matthew Fisherze?

Moja wyobraźnia szaleje na myśl o szczegółach. Och, rzeczy, które mogłaby zrobić...

Przez chwilę zastanawiam się, czy specjalnie tak mówi, czy to ja po prostu jestem zajębiście napalony.

Stosuję bezpieczną zagrywkę:

– Zastanawiałem się, czy chciałabyś się kiedyś ze mną umówić. Na drinka czy coś.

Zatrzymajmy się w tym miejscu. Pomimo moich wcześniejszych uwag na temat trudności, jakie w dzisiejszych czasach mężczyźni napotykalają na drodze do łóżka, czuję się w obowiązku wyjaśnić wam, jak powinnyście rozumieć słowa faceta. Wyobraźcie mnie sobie jako seksowniejszą wersję Edwarda Snowdena lub Juliana Assange'a. Być może powinienem założyć stronę internetową – nazwałbym ją DickiLeaks[8]. Jednak po namyśle stwierdzam – to bezsensowna nazwa. Brzmi jak jakaś choroba weneryczna.

Pamiętacie, jak wcześniej wspominałem

o kategoriach: „wypieprzyć”, „zabić” i „poślubić”? Jeśli facet zaprasza was na drinka lub chce się z wami umówić, z pewnością zakwalifikował was do kategorii „wypieprzyć”.

Nie, nie kłóćcie się – to prawda. Jeśli facet zaprasza was na randkę, na kolację lub do kina, jesteście najpewniej w kategorii „wypieprzyć”, ale możecie awansować.

Nie musicie jednak opierać swojej odpowiedzi na tej informacji; tak tylko pomyślałem, że chciałybyście wiedzieć.

A teraz wróćmy do rozmowy telefonicznej.

Słyszę radość w jej głosie, gdy akceptuje moje zaproszenie:

– Zawsze jestem chętna na drinka.

„Chętna”. Więcej erotycznych aluzji. Z pewnością to nie tylko moja wyobraźnia. Mam szansę na bzykanko.

– Super. Jesteś wolna w piątek?

Przez chwilę trwa cisza, aż Dee proponuje:

– A może dziś wieczór?

Wow. Najwyraźniej Delores Warren nie czytała rozdziału, w którym wymagane są dwa dni między telefonem a ewentualną randką.

Szczęściarz ze mnie.

Dee rozwija myśl:

– Chodzi mi o to, że może być przerwa

w dostawie prądu, wody albo kosmici mogą wreszcie podjąć decyzję o inwazji i zniewoleniu rasy ludzkiej...

Takiego tekstu nigdy wcześniej nie słyszałem.

– Mielibyśmy wtedy ogromnego pecha. Po co zatem czekać do piątku?

Podoba mi się jej sposób rozumowania, gdy mówi:

– Nie odkładaj na jutro tego, co możesz zrobić dziś...

– Dzisiejszy wieczór mi pasuje. – Z chęcią przystaję na propozycję. – O której?

Niektórym dziewczynom przygotowanie się zajmuje wieki. To cholernie wkurzające. Pójście na siłownię czy na plażę nie powinno wymagać przygotowań, moje miłe.

– Może za godzinkę?

Dwa punkty dla Dee – świetne cycki i niewielki wysiłek. Chyba się zakochałem.

– Świetnie – mówię. – Podasz adres, żebym mógł po ciebie przyjechać?

Budynek, w którym mieszkam, ma prywatny parking dla mieszkańców. Wielu nowojorczyków wydaje miesięcznie horrendalne sumy na miejsca parkingowe, tylko po to, by nie jeździć samochodami, bo są korki. Utrudnienia drogowe mnie jednak nie ograniczają – zawsze zostawiam

sobie trochę czasu na niespodziewane okoliczności. Jak już mówiłem, wycucie czasu jest ważne.

I jeszcze jedno: nie mam samochodu. Jeżdżę przerabianym Ducati Monster 1100S. Nie szukam kłopotów i nie mam zamiaru dołączać do żadnego klubu motocyklowego, ale jazda na dwóch kółkach jest kolejnym moim hobby. Niewiele rzeczy kręci mnie w życiu tak, jak długa jazda szeroką drogą pod niebieskim niebem, kiedy liście dopiero zaczynają zmieniać kolor. To uczucie tak bliskie lataniu, jakie tylko człowiek jest w stanie poczuć.

Jeżdżę na motocyklu przy każdej nadarzającej się okazji. Czasami laski jojczą, że zmarzną albo fryzura im się zburzy, ale kiedy już go zobaczą, szybko na niego wskakują.

Delores odpowiada:

– Um... A może po prostu gdzieś się spotkamy?

To sprytne posunięcie dla singielki. Tak jak nie powinniście podawać numeru pesel w Internecie, tak samo nie powinniście podawać adresu facetowi, którego ledwo znacie. Świat to popieprzone miejsce, a kobiety powinny wykazać szczególną troskę, by jakiś szajbus nie zapukał do ich drzwi.

Oznacza to także, że rumak zostaje dzisiaj w domu. Jestem tym trochę zawiedziony.

– Dobrze, spotkajmy się gdzieś na miejscu.

Zanim zdążę zasugerować jakiś lokal, Dee przejmuje inicjatywę:

– Znasz Stitch na Trzydziestej Siódmej?

Znam. To klub, gdzie podają dobre drinki, muzyka gra na żywo i da się pogadać. Ponieważ jest środa, nie będzie tłoku, jednak w Nowym Jorku żaden bar nigdy nie pustoszeje.

– Tak, znam go bardzo dobrze.

– Super. To widzimy się tam za godzinę.

– Świetnie.

Rozłączam się, ale nie zaczynam się ubierać. Nie jestem wybredny co do stroju jak jacyś młodzi metroseksualni profesjonaliści, ale nie jestem też niechlujem. Wyciągam dokumenty z aktówki i czytam, co planowałem zrobić przed snem, ponieważ wygląda na to, że długo jeszcze nie wyląduję w łóżku – a kiedy to zrobię, zdecydowanie nie będę sam.

Docieram do Stitch wcześniej. Piję piwo przy barze i wychodzę na zewnątrz zapalić. Tak – palę. Możecie wyciągać gwoździe i młotek, by mnie ukrzyżować.

Wiem, że to niezdrowe. Nie muszę oglądać organów wewnętrznych pacjentów zmarłych na raka, by rozumieć, że to zły nawyk. *Dziękuję ci za te plakaty, burmistrzu Bloomberg.* Zmuszanie do wychodzenia z lokalu też nie powstrzyma mnie

przed puszczeniem dymka – a tylko mnie wkurzy. To kłopot, nie zniechęcenie.

Jednak jestem ostrożny. Nie rzucam petów na chodnik, nie dmucham dymem w twarze osób starszych i dzieci. Alexandra wyrwałaby mi nogi z dupy, gdybym zapalił w pobliżu Mackenzie. Dosłownie.

Chociaż planuję rzucić... kiedyś.

W tym momencie jednak długoterminowe uszkodzenie płuc, jakie mogę sobie zafundować, schodzi na drugi plan ze względu na to, że po prostu lubię palić. To dobre. I takie proste. Możecie schować sobie swoje słone precelki, ponieważ nic lepiej nie pasuje do piwa niż papieros. Jest tak dobry, jak zrobiona przez mamę kanapka z masłem orzechowym i dżemem.

Gaszę papierosa na ścianie budynku i wyrzucam peta do metalowego śmietnika stojącego na chodniku, po czym wrzucam odświeżającą drażetkę do ust, ponieważ, jak już mówiłem, jestem ostrożny. Nie wiem, czy Dee przeszkadzają palacze czy też nie, ale wiem, że nikt nie chciałby włożyć języka w usta innej osoby i posmakować popielniczki. A język Dee w moich ustach... podobnie jak w innych miejscach... zdecydowanie jest w planie dzisiejszego wieczoru.

Wracam do baru i zamawiam drugie piwo. Biorę

łyk i zauważam, że otwierają się drzwi. Obserwuję, jak wchodzi.

Uważałem, że Dee jest seksowna, gdy poznałem ją na lunchu. Muszę zmienić zdanie, ponieważ jest oszałamiająca. Ma rozpuszczone, długie, jasne włosy, zakręcone na końcach, ściągnięte z twarzy grubą, czarą opaską. Ubrana jest w czarną kurteczkę, pod którą ma biały top z dużym dekoltem. Krótkie białe spodenki ledwo wystają jej spod kurtki, odsłaniając długie, apetyczne, opalone nogi. Do tego białe, wysokie szpilki, a usta podkreśla czerwona szminka.

Jest wspaniała – szokująco zachwycająca. Bez problemu mogłaby zostać modelką Calvina Kleina. Jej wizytówka nie jest złotym biletem do fabryki czekolady – raczej jest moim wygranym losem na loterii.

Rozgląda się po pomieszczeniu. Stoi w drzwiach, przepatrując przez chwilę wzrokiem salę, i zaraz mnie dostrzega. Macham do niej. Uśmiecha się w odpowiedzi, odsłaniając białe, równe zęby.

– Cześć – mówi, podchodząc.

– Witaj. Dobrze wyglądasz w tej kurtce. – Nie można źle wypaść, zaczynając od komplementu. Dziewczyny je uwielbiają.

Jej uśmiech przekształca się w porozumiewawczy uśmieszek.

– Niech zgadnę, „ale lepiej bym wyglądała bez niej”?

Śmieję się.

– Wcale nie chciałem tego powiedzieć. Nigdy nie zasunąłbym tak kiepskim tekstem. – Wzruszam ramionami. – Planowałem powiedzieć: „lepiej wyglądałaby na podłodze sypialni”.

Ucieka jej dźwięczny, głęboki śmiech.

– Tak, bo w tym nie ma nic kiepskiego.

Wyciągam dla niej wysoki stołek, a ona zajmuje na nim miejsce.

– Czym się trujesz? – pytam.

Bez wahania odpowiada:

– Martini.

– Zaprawiane ginem na ostro?

– Lubię martini, podobnie jak lubię uprawiać seks. – Zalotnie puszcza do mnie oko. – Ostry zawsze jest lepszy.

Tak – z pewnością się zakochałem.

Podchodzi barman, lecz nim mam sposobność zamówić, Dee dokładnie wyjaśnia, jak przyrządzonego drinka sobie życzy.

– Pięćdziesiątkę ginu, do pełna wermutu i zaledwie jedną oliwkę...

Gładko ogolony barman w kraciastej koszuli, wyglądający na zaledwie dwadzieścia jeden lat, wydaje się zagubiony. Dee zauważyła to i wstaje.

– Wiesz co? Pokażę ci, będzie prościej. – Odwraca się, wskakuje pupą na bar i przerzuca nogi na drugą stronę – a ja dyskretnie rzucam okiem na jej spodenki. Jeśli ma pod nimi bieliznę, muszą to być stringi.

Mój wacek natychmiast przetwarza tę informację, rozpychając się w jeansach, najwyraźniej licząc na to, że i jemu uda się zerknąć.

Dee stoi za barem i szybko miesza drinka, wyjaśniając każdy ruch niewzruszonemu barmanowi. Podrzuca do góry oliwkę i łapie ją wprawnie zębami. Następnie nadziewa ją na wykałaczkę i wkłada do przezroczystego kieliszka wypełnionego alkoholem.

Ustawia całość na barze i wskazuje ręką.

– No i proszę, idealne Dirty Martini.

Zawsze wyznawałem zasadę, że wiele można powiedzieć o kimś po tym, co pije. Piwo jest prostym, nieskomplikowanym lub tanim napojem. Wino kojarzy się z młodością i nostalgią. Cristal i Dom Pérignon są zbyt wyszukane, świadczą o tym, że staracie się błyszczeć, a przecież są równie drogie szampany, tylko nie tak popularnych marek.

Co wybór drinka Dee mówi mi o niej? Jest skomplikowana i ma bardzo specyficzny, ale

i wyrafinowany gust. I jest szczerą, śmiałą, ale nie wredną. To dziewczyna, która odeśle źle przyrządzonego steka, w sposób, który nie sprawi, że kelner będzie chciał napluć jej do talerza.

Barman unosi brwi i patrzy na mnie przyjaźnie.

– Ciekawa z niej osóbką, stary.

Dee z powrotem przeskakuje na drugą stronę baru, a ja odpowiadam:

– Na to wygląda. – Kiedy Delores wraca na stołek, komentuję jej wyczyn: – To było imponujące. Widzę, że znasz się na mieszanii alkoholi, co?

Upija łyk.

– Na studiach dorabiałam jako barmanka, przez co jestem wybredna, jeśli chodzi o wybór trucizny.

Biorę łyk piwa i przechodzę do luźnej rozmowy.

– Kate mówiła, że jesteś chemikiem. Jak to jest?

Przytakuję.

– To jak zabawa w małego chemika i dostawanie za to kasy. Lubię analizować, rozkładać na czynniki pierwsze, po czym bawić się nimi. Patrzyć, czy ładnie reagują z innymi substancjami... czy jednak nie. Najfajniej jest wtedy, gdy nie reagują. Czasami czuję się, jakbym siedziała na bombie.

Potrząsa oliwką w kieliszku.

– A ty jesteś bankierem?

Kiwam głową.

– Mniej więcej.

– To brzmi strasznie nudno.

Kręcę głową, gdy myślę nad jej komentarzem.

– Zależy od punktu widzenia. Niektóre umowy to gra o wysoką stawkę. Zarabianie pieniędzy nigdy nie bywa nudne.

Dee obraca się twarzą do mnie.

Mowa ciała jest istotna. Zazwyczaj ruchy wykonywane są podświadomie, ale zrozumienie emocji kryjących się za nimi może zaprowadzić was do ziemi obiecanej lub pozostawić wasz tyłek przed zamkniętymi drzwiami do raju. Jeśli dziewczyna krzyżuje ręce lub odchyła się w tył, oznacza to, że facet naciska zbyt mocno, a ona nie jest zainteresowana tym, co ten chce jej wcisnąć. Kontakt wzrokowy, otwarte ramiona, bezpośrednia uwaga – to znaki, że słucha i jest gotowa na więcej.

Spojrzeniem mierzy mnie z góry na dół.

– Nie wyglądasz jak bankier.

Uśmiecham się.

– A jak wygląda bankier?

Rozgląda się po barze, taksując klientów. Jej wzrok zatrzymuje się na łysiejącym facecie w średnim wieku, w tanim garniturze, który ma minę, jakby krach na giełdzie pozbawił go

oszczędności życia. Dee wskazuje na niego pomalowanym na czerwono paznokciem.

– Tak jak on.

– On wygląda jak pracownik zakładu pogrzebowego. Albo pedofil.

Dee śmieje się i dopija martini.

Przysuwając się do niej, pytam:

– A jeśli nie jak bankier, to jak wyglądam?

Uśmiecha się i powoli ściąga zębami oliwkę z wykałaczki.

– Wyglądasz jak striptizer.

Fantastyczna odpowiedź. Chyba nie muszę wyjaśniać wam dlaczego, prawda?

Cichym, uwodzicielskim głosem mówię:

– Znam kilka świetnych ruchów. Jeśli nie ułoży mi się w finansach, rozbieranie na scenie będzie planem B.

Kiwam na barmana, by podał kolejnego drinka. Delores przypatruje się uważnie jego pracy, ale najwidoczniej nic nie spieprzył, bo uśmiecha się do niego, gdy ten stawia kieliszek na blacie.

Po chwili Dee zwraca się do mnie:

– A ten twój kumpel, Drew, ostatnio pogrywa sobie z moją przyjaciółką. Niebyt to mądre.

– Drew ma dziwne podejście, jeśli chodzi o konkurencję. To go nakręca, a jednocześnie wkurza. Kate też nie pozwala sobą pomiatać.

Prowadzi w biurze własne gierki. Myślę, że sobie z nim poradzi.

– Cóż, możesz mu śmiało powiedzieć, żeby się pilnował. Jestem bardzo opiekuńcza, jeśli chodzi o Kate. Na studiach zawsze trzymałyśmy się razem.

– Ale jesteście teraz w Nowym Jorku. Tu „każdy dba o siebie”. To drugie w kolejności motto tego miejsca zaraz po „to miasto nigdy nie zasypia”.

Oczy jej błyszczą, gdy się śmieje. Myślę, że pierwszy drink uderzył jej do głowy.

– Jesteś słodki – mówi.

Odchylam głowę poirytowany.

– Supersłodki. To określenie, które pragnie usłyszeć każdy facet.

Dee znów się śmieje, a ja odkrywam jak bardzo mi się to podoba. Dee Warren jest fajną dziewczyną – jest bystra, zabawna, szczerą. Jeśli jej dzisiaj nie zaliczę, wieczór okaże się totalną klapą.

Muszę przyznać, że nie mogę się doczekać, by zabrać ją stąd i sprawdzić, co ma – lub raczej czego nie ma – pod tymi spodenkami. To będzie jednak wisienka na wypasionym torcie.

Wracam do rozmowy.

– Pochodzisz z Ohio?

Popija drinka, po czym mówi:

– Tak. Z małej, zabitej dechami dziury.

– Nie lubisz swojego miasteczka?

– Nie. Greenville było świetnym miejscem na dorastanie, ale jest jak Hotel California. Ludzie meldują się, ale przeważnie nie wyjeżdżają. Jeśli wszystko, czego chcesz od życia, to wyjść za mąż i założyć rodzinę, to miejsce zdecydowanie dla ciebie. Jednak... nie to było moim celem.

– A co jest twoim celem, Dee?

Rozważa przez chwilę potencjalną odpowiedź.

– Chcę... życia. Nowych doświadczeń. Odkryć. Zmian. Dlatego tak bardzo lubię Nowy Jork. On żyje i nie zatrzymuje się. Możesz iść tą samą ulicą tydzień po tygodniu, ale z pewnością nie będzie wyglądała tak samo, bo całkowicie się zmieni. Nowi ludzie, nowe szyldy, nowe zapachy... Nie zawsze pachnie dobrze, ale to niewielka cena. – Śmieję się, a ona ciągnie dalej: – Mama mawiała, że przypominam jej psa na smyczy, który nigdy nie zaznał wolności, który ciągnie z całej siły nakręcony, by biec. Jest taka piosenka country, którą lubię. Refren brzmi tak: „Nie chcę spokoju, chcę oszaleć”. – Wzrusza ramionami trochę nieśmiało. – Oto cała ja.

Wszystko, co powiedziała, to prawda o mieście, w którym się wychowałem. Życie jest za krótkie, by żyć bezpiecznie, by pozostawać w jednym

miejscu.

Brzęczy moja komórka, ale ją ignoruję. Sprawdzanie telefonu podczas rozmowy z dziewczyną, nawet jeśli na jedną noc, jest po prostu niegrzeczne. Bez klasy.

Dee pyta, jaki jest mój znak zodiaku, ale proszę, by najpierw ona zdradziła swój. Niektórzy naprawdę wierzą w horoskopy – nie raz już zostałem porzucony przez przerażoną laskę spod znaku Lwa czy Wodnika tylko dlatego, że jestem zodiakalnym Koziorożcem. Od tamtego czasu, jeśli nie muszę, nie zdradzam daty urodzin.

W tym przypadku nie mam się czego bać. Dee jest Skorpionem, więc związek z Koziorożcem powinien okazać się pełen żaru. Uważam, że to stek bzdur, ale jeśli chcecie grać, powinnyście znać zasady. Łącznie z potencjalnymi faulami.

Dee kończy drugiego drinka, gdy przechodzimy do tematu rodziny i przyjaciół. Bez wchodzenia w szczegóły opowiada mi o Billym, jej ni to kuzynie, ni to bracie, i o samotnej matce, która wychowywała ich oboje. Opowiada o zwariowanej przyjaźni z Kate Brooks i o zaskakujących przygodach, kiedy były dzikimi nastolatkami, zbyt zawstydzających, by wypomnieć je jutro Kate w pracy.

Rewanżuję się, opowiadając o dzieciństwie

z Drew, Stevenem i Alexandrą i o tym, jak ich towarzystwo sprawiało, że nie czułem się jedynakiem. Opowiadam jej o najfajniejszej czterolatce, jaką znam, czyli o Mackenzie, po czym mówię, że gdybym mógł, chciałbym z nią spędzać każdy dzień.

Wkrótce kończę czwarte piwo i orientuję się, że minęło dwie i pół godziny.

Kiedy Dee idzie do łazienki, wyjmuję telefon.

Mam sześć SMS-ów. Wszystkie od Stevena.

Cholera. *Call of Duty*. Zapomniałem.

Wiadomości różnią się stopniem paniki. Chcecie zobaczyć?

STARY, SPÓŹNIASZ SIĘ. ZACZYNAMY BEZ CIEBIE.

*

NO CO Z TOBĄ? GDZIE JESTEŚ? WPADŁEM W GÓWNO I BRAKUJE MI PRZEWAGI.

*

GDZIE JEST CHOLERNE WSPARCIE LOTNICZE? GINĄ MOI LUDZIE!

NIE DAM SIĘ. ZABIORĘ ZE SOBĄ ILU TYLKO ZDOŁAM. AAA!

*

DZIĘKI, KRETYNIE. NIE ŻYJĘ. PRZEJDZIESZ POD MOIM OKNEM, TO CIĘ

ZASTRZELEŃ.

*

Ostatni SMS niesie wymowną wiadomość:
SUKINSYN.

Śmieję się i wysyłam mu wiadomość z przeprosinami, mówiącą, że coś mi nagle wypadło. Steven jest świetny w czytaniu między wierszami.

CHYBA KUTAS CI NAGLE WYPADŁ.
STAWIASZ ŁASKI PONAD KUMPLAMI?
JESTEŚ MOIM DŁUŻNIKIEM, STARY.
OCZEKUJĘ, ŻE POSIEDZISZ Z MAŁĄ, ŻEBYM
MÓGŁ ZABRAĆ GDZIEŚ ŻONĘ... ALBO,
ŻEBYM MÓGŁ W NIEJ POBYĆ :)

Uważam, że zbyt wiele czasu spędza z żoną – o czym świadczy emotikon w SMS-sie.

Dee wraca z łazienki i staje przy mnie.

– Chcesz już iść?

Tak, bardzo.

Z rozbrajającym uśmiechem odpowiadam:

– Oczywiście. Chcesz iść do mnie? Chciałbym pokazać ci widok.

Spogląda na moje krocze.

– A jaki widok?

– Taki, od którego nie będziesz chciała oderwać spojrzenia, małeńka.

Dee chichocze.

– Myślałam raczej, żeby zmienić lokal i potańczyć.

– W takim razie myślimy podobnie. Horyzontalny taniec należy do moich ulubionych.

Przesuwa palcem po guzikach mojej czarnej koszuli.

– Wertykalny jest znakomitym preludium, wprawia mnie w dobry nastrój. Obok mojego mieszkania jest dyskoteka. W środy DJ daje czadu. Chcesz iść, łechtaczkowy chłoptasiu?

Opieram dłoń na jej dłoni i wolno kciukiem zataczam kółeczka.

– Niezbyt podoba mi się to przezwisko.

Bezwstydnie wzrusza ramionami.

– Szkoda. Nie można drugi raz zrobić pierwszego wrażenia. Będiesz łechtaczkowym chłoptasiem, póki nie sprawisz, że zapamiętam coś innego.

Przysuwam się do niej. Gęsia skórka pojawia się na jej dekolcie, gdy mój oddech pieści jej ucho.

– Nim ta noc się skończy, będziesz nazywała mnie bogiem.



[8] Nawiązanie do WikiLeaks (ang. *leak* – przeciek) – witryna internetowa umożliwiająca publikowanie w sposób anonimowy

dokumentów (często tajnych) rządowych i korporacyjnych przez informatorów chcących zasygnalizować działania niezgodne z prawem. *Dick* ang. – w mowie potocznej określenie penisa – fiut, kutas.

O AUTORCE

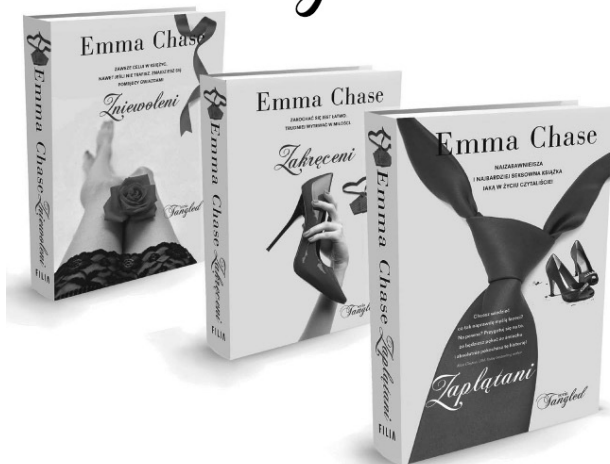


Za dnia Emma Chase jest oddaną żoną i matką dwójki dzieci. Mieszka w niewielkim, malowniczym miasteczku w stanie New Jersey. Nocą zmienia się w pogromczynię klawiatury, która niestrudzenie, przez wiele godzin ubarwia swoje postacie i prowadzi je przez niekończące się przygody. Pozostaje także w wieloletnim, opartym na miłości i nienawiści związku z kofeiną.

Emma jest zapaloną czytelniczką. Przed narodzinami dzieci potrafiła pochłonąć całą książkę w jeden dzień. Pisanie również zawsze było jej pasją. Publikacja jej debiutanckiej powieści i możliwość nazywania siebie autorką jest spełnieniem jednego z jej największych marzeń.

Emma Chase

seria
Tangled



**SEKSOWNA, ZABAWNA,
BŁYSKOTLIWA... GENIALNA!**

Zaplątani

Zakręcenii

Zniewoleni

ZAPRASZAMY NA FB
Seria Tangled, Zaplątani

Zapraszamy na FB serii
facebook.com/seriatangled

Aktualne informacje,
konkursy i prezenty.

seria
Tangled

BESTSELLEROWA SERIA

DZIESIĘĆ PŁYTKICH ODDECHÓW

K.A.Tucker



Jak sobie radzisz,
gdy na Twoich oczach świat rozsypuje się na kawałki?
Co robisz, gdy wszystko idzie źle?
Co robisz, gdy ból rozsądza Twoją duszę?
Po prostu oddychasz. Dziesięć płytkich oddechów...

TOM 3
CZTERY SEKUNDY DO STRACENIA

FILIA

SPIS TREŚCI

OKŁADKA

KARTA TYTUŁOWA

DEDYKACJA

PROLOG

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY
ROZDZIAŁ SZESNASTY
ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY
EPILOG
PODZIĘKOWANIA
ZAPOWIEDŹ
O AUTORCE

REKLAMA 1
REKLAMA 2
REKLAMA 3
KARTA REDAKCYJNA

Tytuł oryginału: Twisted

Copyright © 2014 by Emma Chase
Copyright for the Polish edition © 2015 by Wydawnictwo
FILIA

Gallery Books
A Division of Simon & Schuster, Inc.
1230 Avenue of the Americas
New York, NY 10020

First Gallery Books trade paperback edition March 2014

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w
jakiegokolwiek
formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to
także
fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za
pośrednictwem
nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2015

Projekt okładki: Olga Reszelska
Zdjęcia na okładce: © photobac/iStock, © kitzcorner/iStock

Przekład: Katarzyna Agnieszka Dyrek

Redakcja, korekta, skład i łamanie:
CAŁA JASKRAWOŚĆ
www.calajaskrawosc.pl

eISBN: 978-83-8075-003-6

FILIA

Wydawnictwo Filia
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
www.wydawnictwofilia.pl

Wszelkie pytania prosimy kierować na adres:
czytelnicy@wydawnictwofilia.pl

Dołącz do nas na Facebooku!

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

Emma Chase

ZAKOCHAĆ SIĘ JEST ŁATWO.
TRUDNIEJ WYTRWAĆ W MIŁOŚCI.

Zakrećeni



seria
Tangled